

Ciernie

Silverberg Robert



calibre 0.9.43

ROBERT SILVERBERG

CIERNIE

Rozdział 1 Pieśń, którą śpiewały neurony

– Ból jest pouczający – wysapał Duncan Chalk.

Wspinał się na wschodnią ścianę swego gabinetu po kryształowych szczeblach. Wysoko w górze oczekiwało jego polerowane biurko, a raczej centrala łączności, z której kontrolował swoje imperium. Chalk mógłby z łatwością wnieść się po ścianie na drążku grawitronu. Co rano jednakże narzucał sobie tę wspinaczkę.

Towarzyszyła mu grupa zauszników. Leontes d'Amore o ruchliwych, małpich ustach, Bart Aoudad, Tom Nikolaides znany ze swych szerokich barów, i paru innych. Chalk przeżywając jeszcze raz lekcję bólu stanowił centrum zainteresowania grupy.

Jego napięte ciało drżało z wysiłku. Wewnątrz tej wielkiej masy mięśni tkwiły białe rusztowania kości, żądające ulgi. Duncan Chalk to sześćset funtów mięsa. Wielkie, zwłókniałe serce pompowało rozpaczliwie, wlewając życie w masywne członki. Chalk wspinał się.

Jego droga wiła się wzwyż po ścianie, czterdzieści stóp, aż do tronu u szczytu. Wzdłuż jego szlaku jaśniały jak złocistoczerwone astry plamy światła termoluminescencyjnych porostów, rozsiewających wokół ciepło i blask.

Na zewnątrz trwała zima. Cienkie pasemka świeżego śniegu zasnuwały ulice. Ołowiane niebo zaczynało reagować na jonizację poranną, wysyłąną przez wielkie pylony dnia.

Chalk stękał. Chalk wspinał się.

– Ten idiota będzie tu za jedenaście minut – powiedział Aoudad – chce się pokazać!

– Nudzi mnie to – powiedział Chalk – ale spotkam się z nim.

– Możemy spróbować tortur – zaproponował chytry d'Amore łagodnym głosem – może wtedy jego talent matematyczny załśni pełniejszym blaskiem.

Chalk splunął. Leontes d'Amore cofnął się, jak gdyby w jego kierunku wystrzelono struzkę kwasu.

Wspinali się dalej. Białe, muskularne ręce wyciągały się, by uchwycić lśniące szczeble. Mięśnie trzeszczały i pulsowały pod zwałami tłuszczu. Chalk wspinał się po ścianie, prawie bez odpoczynku.

Wewnętrzne sygnały bólu oszołomiły go i wywołały zadowolenie.

Zwykle znosił namiastkę cierpienia. Tego ranka ściana stanowiła dla niego, wyzwanie. W górę. W górę. Na tron. Wspinał się szczebel po szczeblu. Serce protestowało, wnętrzności przelewały się pod powłoką mięśni, lędźwie drżały, a nawet kości gięły się, ustępując pod ciężarem.

Wokół oczekiwały szakale o świetlistych oczach. A co będzie, jeśli spadnie? Co nastąpi, gdy przeciążone serce odmówi posłuszeństwa? Co będzie, gdy jego oczy zajdą mgłą w chwili, kiedy oni będą patrzyli?

Czy po prostu ucieszą się, gdy jego potęgą rozplynie się w powietrzu?

Czy będą odczuwali radość, gdy jego uchwyt rozluźni się i osłabnie stalowy uścisk, w jakim utrzymywał ich życie?

Na pewno. Na pewno. Chłodny uśmiech wykrzywił usta Chalka.

Jego usta były ustami człowieka szczupłego, ustami beduina, spalonymi przez słońce. Dlaczego jego usta nie były pełne i soczyste?

Zbliżył się szesnasty szczebel. Chalk wczepił się weń.

Lał się z niego pot. Zatrzymał się na chwilę przenosząc ostrożnie ciężar ciała z palców jednej stopy na piętę drugiej. Nie stanowiło to nic przyjemnego dla stopy Duncana Chalka. Przez moment jego prawa kostka musiała wytrzymać niewyobrażalne obciążenie. Następnie Chalk pochylił się do przodu, chwytając gwałtownym ruchem ostatni szczebel, i wreszcie jego tron otwarł się, żeby go przyjąć.

Chalk zapadł się w czekającym na niego fotelu i poczuł, jak ten zaczyna się o niego troszczyć. W głębi fotela poruszyły się urządzenia masujące, uspokajając ciało. Widmowe wstęgi gąbczastych

linek wniknęły w jego odzież, by zebrać pot z wypukłości i zagłębień jego ciała. Ukryte igły prześlizgnęły się przez naskórek wprowadzając życiodajne płyny. Grzmot przeciążonego serca przemienił się w miarowy pomruk. Mięśnie zeszywniałe i skręcone z wysiłku, rozluźniły się. Chalk uśmiechnął się. Dzień się zaczął. Wszystko było w porządku.

– Nie mogę wyjść z podziwu, z jaką łatwością się pan wspina – powiedział Leontes d'Amore.

– Myślisz, że jestem zbyt tłusty, by się poruszać?

– Ależ ja...

– Fascynacja sprawami trudnymi – powiedział Chalk – jest siłą napędową świata.

– Sprowadzę tego idiotę – powiedział d'Amore.

– Idiotę mędrce – poprawił go Chalk. – Idiotami nie interesuję się.

– Oczywiście. Idiotę mędrce. Oczywiście. D'Amore wymknął się przez rozsuwającą się koncentrycznie szczelinę w tylnej ścianie.

Chalk rozparł się w fotelu składając ręce na brzuchu i piersi. Omiótł spojrzeniem wielką przestrzeń pokoju. Uderzyły go wysokość i głębia wnętrza. Rozległa, otwarta przestrzeń, w której latały robaczki świętojańskie. Chalk od dawna czuł sympatię do świecących organizmów. Niech się stanie światło, światło, światło. Gdyby miał czas, mógłby zadbać o to, żeby samemu świecić.

Daleko w dole, na podłodze sali, skąd Chalk rozpoczął wspinaczkę, poruszały się niestrudzenie sylwetki ludzi, działających w jego imieniu. Poza tym pokojem znajdowały się inne biura, wypełniające ośmiokątny budynek. Sala stanowiła centrum budynku.

Chalk stworzył wspaniałą organizację. Wykroił znaczącą prywatną niszę w wielkim, obojętnym świecie, ponieważ świat w dalszym ciągu czerpał przyjemność z bólu. Rozkosznie ponure doznania, płynące z roztrząsania szczegółów masowych mordów, strat wojennych, katastrof lotniczych i innych podobnych wydarzeń należały głównie do przeszłości, jednak Chalk był w stanie dostarczyć silniejszych, bardziej krańcowych i bezpośrednich substytutów cierpienia.

Pracował ciężko, nawet w tej chwili, żeby sprawić przyjemność licznym, ból niektórym oraz przyjemność i ból równocześnie – sobie.

Przypadek genetyczny szczególnie predysponował go do tego zadania. Był czuły na ból i na emocje z bólem związane i codzienna dawka cierpienia była mu tak samo potrzebna, jak innym chleb i mięso. Był wysublimowanym uosobieniem gustów swoich widzów i w związku z tym mógł w idealny sposób zaspokajać ich najniższe potrzeby. I chociaż jego możliwości kurczyły się z latami, wciąż mu było mało. Obecnie uczestniczył w ucztach duchowych, które sam organizował, by uszczknąć to czy owo, ale swój apetyt oszczędzał na bardziej groteskowe formy okrucieństwa, zawsze poszukując jakichś nowych, a zarazem niezmiernie starych doznań.

– Nie myślę, żeby ten idiota-mędrzec na wiele się przydał – powiedział zwracając się do Aoudada.

– Czy w dalszym ciągu obserwujesz tego astronautę Burrisa?

– Codziennie! – Aoudad był szorstkim mężczyzną o martwych, szarych oczach i wyglądzie budzącym zaufanie. Uszy miał prawie spiczaste. – Ciągłe go obserwuję.

– A ty, Nick? Co z dziewczyną?

– Jest nudna! – powiedział Nikolaides. – Ale obserwuję ją.

– Burris i dziewczyna – zastanawiał się Chalk – suma dwóch nieszczęść. Potrzebujemy czegoś nowego. Może... może...

Powrócił d'Amore, wynurzając się z przeciwległej ściany na wystający gzyms. Idiota-mędrzec stał spokojnie obok niego. Chalk pochylił się do przodu. Fałdy na jego brzuchu pogłębiły się. Udawał zainteresowanie.

– To jest David Melangio – powiedział d'Amore.

Melangio miał czterdzieści lat, wysokie czoło pozbawione zmarszczek, a w oczach dziecięcą ufność. Wyglądał blado i wilgotno jak coś, co wypęzło z ziemi. D'Amore ubrał go modnie w lśniącą szatę przetykaną stalową nicią, ale Melangio wyglądał w niej groteskowo. Elegancja i

wdzięk kosztownego stroju zniknęły.

Podkreślał jedynie bezbarwną, chłopięcą niewinność Melangio.

Niewinność nie jest towarem, za który publiczność jest gotowa zapłacić wysoką cenę. Zadanie

Chalka polegało na dostarczeniu publiczności tego, czego pragnęła. Jednakże niewinność w powiązaniu z czymś nieznanym mogła zaspokoić chwilową żądzę.

Chalk lewą ręką bawił się gałką komputera.

– Dzień dobry, Davidzie – powiedział – jak się dziś czujesz?

– Zeszłej nocy padał śnieg. Lubię śnieg.

– Śnieg szybko zniknie. Maszyny już go rozpuszczają.

– Chciałbym się bawić na śniegu – powiedział w zamyśleniu.

– Przemarząłbyś do kości. Davidzie, jaki dzień był 15 lutego 2002 roku?

– Piątek.

– A 20 kwietnia 1968 roku?

– Sobota.

– Skąd wiesz?

– Musi tak być – odparł Melangio – Trzynasty prezydent Stanów Zjednoczonych?

– Filimore.

– Co robi prezydent?

– Mieszka w Białym Domu.

– Tak, wiem – powiedział Chalk łagodnie – ale jakie są jego obowiązki?

– Mieszkać w Białym Domu. Czasami go wypuszczają.

– Jaki dzień był 20 listopada 1891 roku?

– Piątek – padła natychmiastowa odpowiedź.

– W którym miesiącu roku 1811 dzień piąty przypadał w poniedziałek?

- Tylko w sierpniu.
- Kiedy następny dzień 29 lutego wypadnie w niedzielę?
- To jest zbyt łatwe – zachichotał Melangio – 29 lutego przypada tylko raz na cztery lata, więc...
- Dobrze. Wyjaśnij rok przestępny. Cisza.
- Nie wiesz skąd bierze się rok przestępny, Davidzie?
- On może podać jakąkolwiek datę w ciągu dziewięciu tysięcy lat poczynając od roku 1 – wyjaśnił d'Amo-re – ale nic nie potrafi wytłumaczyć. Proszę spytać go o pogodę.

Cienkie wargi Chalka drgnęły.

- Opowiedz mi o dniu 14 sierpnia 2031 roku, Davidzie.
- Ranek był chłodny, ale temperatura na wschodnim wybrzeżu wzrosła do stu trzech o drugiej po południu, kiedy włączyły się obwody przeciążeniowe. O siódmej wieczorem temperatura spadła do osiemdziesięciu dwóch i utrzymała się na tym poziomie do północy.

Wtedy zaczęło padać – odparł Melangio piskliwym głosem.

- Gdzie byłeś tego dnia? – zapytał Chalk.
- W domu, z bratem, siostrą, matką i ojcem.
- Czy byłeś tego dnia szczęśliwy? _ ?
- Czy sprawił ci ktoś przykrość tego dnia? Melangio skinął głową.
- Brat kopnął mnie w łydkę. Siostra ciągnęła mnie za włosy.

Matka zmusiła mnie do zjedzenia chemifixu na śniadanie. Potem bawiłem się. Jakiś chłopak rzucił w mojego psa kamieniem. Później...

Jego głos pozbawiony był wszelkich emocji. Melangio wspominał troski swego dzieciństwa z taką samą obojętnością, z jaką odpowiadał na pytanie, którego dnia przypadł trzeci wtorek września 1794 roku.

Jednakże pod szklaną taflą przedłużonego dzieciństwa tkwił prawdziwy ból. Chalk to wyczuwał.

Pozwalał mu mówić dalej, zachęcając go od czasu do czasu pytaniami.

Chalk przymknął oczy. Łatwiej było w ten sposób wyczuwać ten pokład smutku, gdzieś w głębi niezwykłego mózgu Davida Melangio.

Zastarzałe żale przepływały przez pokój jak prąd: martwe złote rybki, krzyczący ojciec, naga dziewczyna, o bujających się piersiach z różowymi wierzchołkami, wymawiająca słowa, które zabijały. Było tu wszystko i wszystko można było obejrzeć dokładnie – całą cierpiącą, zmltretowaną duszę Davida Melangio, czterdziestoletnią ludzką wyspę oddzieloną żalem od otaczającego ją wzburzonego morza życia.

W końcu recytacja ucichła. Chalk nasycił się. Znużyło go przyciskanie guzików ożywiających Melangio. Powrócił do badania niezwyklej pamięci mędrca-idioty.

– Davidzie, zapamiętaj liczbę 96748759.

– Tak.

– A teraz 32807887.

– Tak.

– I jeszcze 33314187698. Melangio czekał.

– Teraz – powiedział Chalk.

Liczby popłynęły gładkim strumieniem.

– 9674875932807887333141187698.

– Davidzie, ile to jest siedem razy dwanaście? Cisza. – Sześćdziesiąt cztery?

– Nie. Odejmij dziewięć od szesnastu.

– Dziesięć?

– Jeżeli możesz zapamiętać cały kalendarz tam i z powrotem, dlaczego nie możesz nauczyć się arytmetyki?

Melangio uśmiechnął się mile, ale nic nie odpowiedział.

– Davidzie, czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego jesteś taki, jaki jesteś?

– Jaki? – zapytał Melangio.

Chalk był zadowolony. Jedyne przyjemności, jakie można wyciągnąć z Melangio były niskiego lotu. Chalk osiągnął swoją dozę przyjemności tego ranka, natomiast bezimienna publiczność mogła się zabawić dziwacznymi umiejętnościami Melangio – zapamiętywaniem dat, liczb i prognoz pogody. Nikt jednak przy Davidzie Melangio naprawdę się nie pożywi.

– Dziękuję, Davidzie – powiedział Chalk, pozbywając się go.

D'Amore wyglądał na przybitego. Jego cudowne dziecko nie wywarło większego wrażenia na wielkim człowieku, a przecież jego powodzenie w przyszłości zależało od tego, czy wyrze na nim dobre wrażenie. Ci, którym się to nie udało, nie pozostawali długo w służbie Chalka. Gzysms, na którym stali, cofnął się, zabierając d'Amore i Melangio.

Chalk przyglądał się lśniącom pierścieniom uwięzionym w fałdach tłuszczu na krótkich, grubych palcach. Rozparł się w fotelu zamykając oczy. Wyobraził sobie, że jego ciało składa się z koncentrycznych warstw jak cebula, a każda warstwa odizolowana jest od innych cienką warstewką rtęci.

Oddzielne warstwy Duncana Chalka ślizgały się jedna po drugiej, dobrze naoliwione, poruszając się powoli, w miarę jak rtęć poddawała się naciskom i spływała wzdłuż ciemnych kanałów...

Zwrócił się do Barta Aoudada.

– Musimy przyjrzeć się bliżej temu astronautcie. Aoudad skinął głową.

– Będę obserwował jego poczynania. Chalk zwrócił się do Toma Nikolaidesa.

– Ta dziewczyna. Ponura, mała dziewczynka. Zrobimy eksperyment. Synergia. Kataliza.

Zetkniemy ich ze sobą. Kto wie?

Może uda się nam wytworzyć jakiś ból. Jakies ludzkie uczucia. Z bólu możemy wyciągnąć jakies lekcje, Nick. Ból uczy nas, że żyjemy.

– Ten Melangio – zauważył Aoudad – wydaje się nie czuć bólu. Zauważa go, rejestruje w mózgu, ale nie czuje go.

– Właśnie o to mi chodzi – powiedział Chalk. – On nic nie czuje, tylko rejestruje i odpowiada. Bólu jest dość w nim, ale nie możemy do niego dotrzeć.

– A co by się stało, gdybyśmy ten ból wyswobodzili? – zaproponował Aoudad z niezbyt miłym uśmiechem.

– Za późno. Wypali się natychmiast, gdybyśmy dotarli teraz do tego bólu. Zostawmy go z jego kalendarzami. Nie niszczy go.

Zademonstruje swoje sztuczki i wszyscy będą klaskać. Po tym zostawimy go w jego własnym błotku. Natomiast astronauta to coś zupełnie innego.

– I dziewczyna – przypomniał mu Nikolaides.

– Tak. Astronauta i dziewczyna. To powinno być ciekawe. Wiele może nas nauczyć!

Rozdział 2. Jak w niebie, tak i na ziemi

Jeszcze później, kiedy świeża krew nada właściwą barwę jego dłoniom, a serce zacznie pompować nowe życie, może to wszystko wyda się tylko strasznym snem. Ale przedtem musi przekroczyć lśniący most Heimdalla. Teraz jednak żył wciąż w bólu i czuł się wciąż tak samo, jak wtedy, kiedy się to wszystko zdarzyło. Minner Burris wplątał się w sieć lęków.

Nie był człowiekiem, który łatwo poddaje się strachowi. Ale tego było już za wiele: wielkie, lśniące od tłuszczu kształty poruszające się wokół statku, złociste kajdanki, kasety z instrumentami chirurgicznymi otwarta i gotowa.

– powiedział potwór o gruzłowatej skórze, stojący z lewej strony.

– odparła istota stojąca z drugiej strony.

I rozpoczęli proces niszczenia Minnera Burrisa.

Wszystko minęło, ale Burris wciąż nosił w sobie ładunek bólu i obcości, który bez przerwy mu

przypominał, czy to we śnie, czy na jawie, co uczyniono z nim pod osłoną ciemności, gdzieś poza zastygłym chłodem Plutona.

Wrócił na Ziemię trzy tygodnie temu. Mieszkał obecnie w pojedynczym pokoju w Martlet Towers, utrzymując się z renty rządowej i podpierając się własną odpornością psychiczną. Starał się mimo wszystko, choć nie przyszło to łatwo, pogodzić się ze swoim losem człowieka przekształconego w potwora przez potwory.

Gdyby tylko ból nie był tak silny.

Badający go lekarze byli z początku pewni, że potrafią coś zrobić z bólem. Wystarczyło zastosować nowoczesną technikę medyczną – – przytłumić odczucia zmysłowe...

– zastosować minimalną dawkę środków psychotropowych dla zablokowania nerwów wiodących...

– chirurgiczny zabieg kosmetyczny...

Niestety, nerwy przewodzące w ciele Burrisa spleciono nie do rozwikłania. Zabieg wykonany przez chirurgów obcej cywilizacji przemienił Burrisa w coś, co przekraczało zdolności pojmowania, a tym bardziej możliwości nowoczesnej techniki medycznej. Zwykle środki przeciwbólowe tylko wzmacniały odczucia Burrisa. Jego reakcje nerwowe przebiegały przedziwnie. Odczucia zaskakiwały, przemieszczały się, zmieniały. Lekarze nie potrafili naprawić zniszczeń dokonanych przez obcych chirurgów. W końcu Burris porzucił wszystko – i zbolały, zmasakrowany i rozżalony skrył się w ciemnym pokoju tego podupadającego mrówkowca.

Siedemdziesiąt lat temu Martlet Towers stanowił najwyższe osiągnięcie budownictwa mieszkaniowego. Eleganckie, wysokie na milę budynki ustawione w zwartych szeregach na zielonych niegdyś stokach Adiron-dacks, znajdowały się niezbyt daleko Nowego Jorku.

Siedemdziesiąt lat to długi okres w życiu nowoczesnych budynków.

Towers były obecnie skorodowane, zniszczone przez czas, przeszyte strzałą rozkładu. Wspaniałe niegdyś mieszkania podzielono na jednopokojowe kawalerki. Idealne miejsce na kryjówkę –

pomyślał Burris. Człowiek wpełza do swojej celi, jak polip do wapiennej jaskini. Tutaj odpoczywał, myślał, pracował nad trudnym zadaniem pogodzenia się z tym, co wyrządzono jego bezradnemu ciału.

Burris słyszał odgłosy skrobania na korytarzu. Nie poszedł sprawdzić, co to jest. Trąbiki czy krewetki, które w cudowny sposób przystosowały się do życia na łodzi i wkradły się w zakamarki budynku? Stonogi poszukujące ciepła gnijących liści? Zabawki dzieci o oczach bez wyrazu? Burris pozostał w pokoju. Często myślał o tym,

by wyjść nocą i wędrować po korytarzach budynku niby własny duch, wzbudzający strach w przypadkowo spotkanych lokatorach. Ale nie opuścił swoich czterech ścian od dnia, w którym wynajął mieszkanie przez agenta. Była to jego strefa ciszy wśród burzy.

Leżał w łóżku. Bładozielone światło przesączało się przez ściany.

Lustra nie można było usunąć, gdyż stanowiło część konstrukcji budynku, ale wystarczyło zneutralizować. Burris wyłączył je i obecnie wyglądało jak matowy, brązowy owal na ścianie. Od czasu do czasu włączał je i wpatrywał się w swoje odbicie, by narzucić sobie dyscyplinę.

Może – pomyślał – zrobię to dzisiaj.

Kiedy wstanę z łóżka.

Jeżeli wstanę z łóżka.

Dlaczego miałbym wstawać z łóżka?

W mózgu tkwił jakiś wewnętrzny cień, szczypcy szarpały wnętrzości, niewidzialne gwoździe wbijały się w kostki. Powieki zdawały się być wypełnione piaskiem. Ból trwał nieprzerwanie. Był już jak stary znajomy.

Co takiego powiedział poeta? Stała obecność ciała...

Burris otworzył oczy. Nie otwierały się już z dołu do góry, jak oczy ludzkie. Obecnie błony, które zastępowały powieki odsuwały się na zewnątrz ku kąciom oczu. Dlaczego? Dlaczego obcy

chirurgdzy to zrobili? Nie służyło to żadnemu określönemu celowi. Powieki górne i dolne zupełnie wystarczały. To nie poprawiło działania oczu.

Zapobiegało jedynie nawiązaniu jakichkolwiek ściślejszych kontaktów pomiędzy Burrisem a innymi

ludźmi, każdym mrugnięciem przypominając o jego inności.

Oczy poruszyły się. Oko ludzkie porusza się drobnymi skokami, które mózg koryguje stwarzając wrażenie płynności. Oczy Burrisa poruszały się jak obiektyw idealnie ustawionej kamery – ruchem płynnym i ciągłym, bez żadnych drgnięć. Widok, jaki Burris oglądał, nie był atrakcyjny. Ściany, niski sufit, wyłączone lustro, wibracyjny zlew, pokrywa przewodu żywnościowego – monotonne atrybuty prostego, taniego, samowystarczalnego pokoju. Okno od czasu wprowadzenia się pozostawił matowe. Nie wiedział, jaka jest pora dnia, jaka pogoda, nawet jaka panuje pora roku. Gdy się tu sprowadził była zima i przypuszczał, że zima trwa nadal. Pokój był słabo oświetlony. Promyki pośredniego oświetlenia pojawiały się tu i ówdzie. Był to okres słabej reakcji Burrisa na światło. Całymi dniami świat, nawet w pełnym oświetleniu, wydawał się ciemny i ponury, jak gdyby Burris przebywał na dnie błotnistej stawu. Cykl ten potrafił zmienić się w sposób niespodziewany i wtedy nawet kilka fotonów wystarczało, by oświetlić jego umysł oślepiającym światłem.

Z mroku wyłonił się obraz Burrisa, który już nie istniał. Nie istniejący Minner Burris stał w kącie pokoju i przyglądał mu się.

Zaczął prowadzić dialog sam ze sobą.

– Znowu tu jesteś, wstrętna zjawo!

– Nigdy cię nie opuszczę.

– Jesteś wszystkim, co mam, prawda? Czuj się zaproszony.

Trochę koniaku? Czym chata bogata... Siadaj, siadaj!

– Postoję. Co u ciebie, Minner Słabiutko. Dużo cię to obchodzi.

– Rozczulamy się nad sobą?

– No, i co z tego?

– Cóż za postawa! Czy tak cię uczyłem?

Burriss nie mógł się pocić, ale chmurki pary pojawiły się nad jego porami skóry. Patrzył z uporem na swe dawne ja. Niskim głosem powiedział: – Wiesz, czego bym chciał? Chciałbym, żeby dopadli i ciebie, i zrobili to, co zrobili mnie. Wtedy zrozumiałbyś!

– Minner, Minner, przecież oni to już zrobili! Ecce homo! Ty właśnie jesteś dowodem, że przez to przeszedłem.

– Nie. Ty stoisz tam w kącie na dowód, że nic ci się nie stało.

Twoja twarz. Twoja śledziona. Twoja wątroba i płuca. Twoja skóra.

To boli, to boli! To boli mnie, a nie ciebie!

Zjawa uśmiechnęła się łagodnie: – Od kiedy zacząłeś tak się rozczulać nad sobą? To nowe zjawisko, Minner.

Burriss skrzywił się: – Może masz rację. Oczy płynnie rozejrzały się po pokoju od ściany do ściany.

– Obserwują mnie i w tym cały problem – mruknął.

– Kto?

– Skąd mogę wiedzieć? Oczy. Telesensory w ścianach. Szukałem ich, ale bez rezultatu. Mają średnicę dwóch molekuł. Jak ja mogę je znaleźć? A oni mnie widzą.

– No, to niech patrzą. Nie masz się czego wstydzić. Nie jesteś ani piękny, ani brzydki. Nie ma dla ciebie punktów odniesienia. Myślę, że już czas, żebyś wyjrzał na świat.

– Łatwo ci powiedzieć – warknął Burriss – nikt się na ciebie nie gapi...

– Ty się na mnie gapisz właśnie w tej chwili.

– Tak – przyznał Burriss – ale wiesz, dlaczego. Świadomym wysiłkiem wymusił zmianę fazy. Oczy

jego poradziły sobie ze światłem w pokoju. Były pozbawione siatekówek, ale płytki ostrości umieszczone w mózgu wystarczały. Przyjrzał się swemu dawnemu ja.

Wysoki mężczyzna o szerokich, ciężkich ramionach, dobrze rozwiniętych mięśniach i gęstych, płowych włosach. Tak kiedyś wyglądał. Tak wyglądał teraz. Chirurdzy z obcej cywilizacji pozostawili strukturę zewnętrzną nie naruszoną. Reszta była jednak zupełnie inna.

Zjawa stojąca przed nim miała twarz okrągłą z wydatnymi kośćmi policzkowymi, małymi uszami i szeroko rozstawionymi, ciemnymi oczami. Usta łatwo wykrzywiały się, tworząc grymas. Na skórze lekko przysypanej piegami pełno było delikatnych złocistych włosów. Stwarzało to ogólne wrażenie męskości. Mężczyzna o pewnej sile, pewnej inteligencji, pewnych umiejętnościach, który wyróżniał się w grupie nie ze względu na jakąś wybitną cechę, ale ze względu na cały szereg drobnych cech pozytywnych. Powodzenie u kobiet, sukcesy wśród mężczyzn i sukcesy zawodowe towarzyszyły tej niczym nie wyróżniającej się, triumfalnej atrakcyjności.

To wszystko należało już do przeszłości.

– Nie chcę sprawiać wrażenia, że lituję się nad sobą – powiedział spokojnie Burris. – Kopnij mnie, jeżeli odnosisz takie wrażenie. Ale pamiętasz, kiedy spotkaliśmy garbusa, człowieka bez nosa, okaleczoną dziewczynę, bez szyi i bez ręki? Ludzi niewydarzonych? Ofiary wypadków?

Zastanawialiśmy się wtedy, jak to jest, gdy wygląda się jak potwór.

– Nie wyglądasz jak potwór, Minner. Po prostu jesteś inny.

– Udław się swoją semantyką. Jestem czymś, na co każdy będzie się gapić. Jestem potworem.

Zostałem nagle wyrwany z twojego świata i znalazłem się w świecie garbusów. Oni świetnie wiedzą, że nie mogą ukryć się przed wzrokiem innych. Przystają żyć własnym życiem, żyją tylko faktem swojego wynaturzenia.

– Tak sobie tylko wyobrażasz, Minner. Skąd możesz wiedzieć?

– Ponieważ tak się stało ze mną. Moje całe życie obraca się obecnie wokół tego, co zrobiono ze

mną. Nie mam innego życia. To jest główny i jedyny fakt. Czy możemy osądzić człowieka w tancerzu tylko według jego tańca? Ja nie potrafię. Jeżeli wyjdę na zewnątrz, zrobię z siebie natychmiast widowisko.

– Garbus ma całe życie na to, żeby przywyknąć. Potrafi zapomnieć o swoich plecach. Dla ciebie to ciągle nowość. Bądź cierpliwy, Minner. Pogodzisz się z tym. Wybaczysz gapiom!

– Kiedy? Kiedy?

Zjawa jednak zniknęła. Zmieniając kilkakrotnie optykę oczu, Burris rozejrzał się po pokoju i stwierdził, że jest sam. Usiadł, czując jakby ukłucia igieł w końcówkach nerwów. W jego świecie niewygód zapanował bezruch. Pozostało z nim tylko jego ciało.

Wstał jednym, płynnym ruchem. To nowe ciało powoduje ból – pomyślał – ale jest efektywne.

Muszę je polubić.

Stał na środku pokoju.

Rozczulanie się nad sobą to fatalna rzecz – pomyślał. – Nie mogę się wahać. Muszę się z tym pogodzić, muszę się dostosować.

Muszę wyjść na zewnątrz.

Byłem silnym mężczyzną, nie tylko fizycznie. Czy cała moja siła, ta wielka siła, ulotniła się?

W jego ciele zwoje nerwów splatały się i rozplatały. Gruczoły wydzielaly tajemnicze hormony.

Komory serca wykonywały skomplikowany taniec.

Obserwują mnie – pomyślał Burris. – Niech obserwują. Niech się napatrzą.

Gwałtownym ruchem ręki włączył lustro i spojrzał na swe nagie ciało.

Rozdział 3. Podziemny grzmot

– Co by się stało, gdybyśmy się zamienili? – powiedział Aoudad. Ty będziesz obserwował Burrisa, a ja dziewczynę?

– Neeee – Nikolaides przeciągnął z rozkoszą ostatnią samogłoskę. – Chalk powierzył mi ją, a tobie

powierzył jego. Ona jest nudna. Czemu chcesz się zamienić?

– Jestem już nim zmęczony.

– Musisz się z tym pogodzić – poradził Nikolaides. – Nieprzyjemności kształtują charakter.

– Za długo słuchałeś Chalka.

– Tak jak wszyscy.

Uśmiechnęli się. Nie zamienią się odpowiedzialnością. Aoudad wcisnął przycisk i samochód, którym jechali, przerzucił się z jednej sieci prowadzącej na drugą. Zaczął mknąć na północ z szybkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę.

Aoudad sam ten pojazd zaprojektował specjalnie dla Chalka.

Samochód miał kształt macicy. Wyłożony był miękką, ciepłą, gąbczastą włókniną. Wyposażony we wszystkie możliwe udogodnienia z wyjątkiem grawitro-nów. Chalka znudził ostatnio samochód i chętnie udostępnił go podwładnym. Aoudad i Nikolaides często zeń korzystali. Obydwaj uważali się za najbliższych pracowników Chalka, a po cichu każdy uważał drugiego za sługusa. Było to obopólne złudzenie.

Cała sztuka polegała na stworzeniu sobie jakiejś formy egzystencji, niezależnej od Duncana Chalka. Chalk zajmował im większość dnia i nie wahał się wykorzystywać ich także w czasie snu. Zawsze jednak można było znaleźć jakąś dziedzinę życia niezależną od grubasa, w której jednostka ludzka mogła decydować o sobie.

Nikolaides wybrał wysiłek fizyczny. Pływanie ślizgaczem po jeziorach, wspinaczkę na czynne, buchające siarką wulkany, mięśnioloty, wyprawy pustynne. Aoudad też wybrał wysiłek fizyczny, ale łagodniejszego rodzaju. Jego kobiety, trzymając się za ręce, mogły połączyć kilka kontynentów. D'Amore i inni też mieli swoje sposoby ucieczki. Chalk niszczył tych, którzy takich sposobów nie znali.

Znowu zaczął prószyć śnieg. Delikatne płatki znikwały prawie natychmiast po zetknięciu się z

ziemią, ale jezdnia stała się śliska.

Serwomechanizmy szybko dopasowywały mechanizmy prowadzące, utrzymując samochód w pozycji pionowej. Jego pasażerowie reagowali w różny sposób. Nikolaides przyspieszył, wyczuwając możliwe, choć niewielkie niebezpieczeństwo, Aoudad zaś myślał ponuro o czekających na niego, chętnych udach, które go przyjmą, jeżeli przeżyje podróż.

– Jeżeli chodzi o tę zamianę... – powiedział Nikolaides.

– Zapomnij o tym! Powiedziałem, nie.

– Chciałem się tylko dowiedzieć. Powiedz mi, Bart, interesujesz się jej ciałem?

Aoudad zachnął się w odruchu nadmiernej niewinności.

– Coś ty! Myślisz, że kto ja jestem?

– Wiem, kto ty jesteś, i inni też wiedzą. Ja tylko się rozglądam.

Czy wpadł ci do głowy ten pomysł zamiany zadań, bo chciałbyś zająć się Łona, ażeby ją przelecieć?

– Do pewnych kobiet się nie zbliżam. Nigdy bym

z nią nie kombinował – powiedział Aoudad gwałtownie. – Na litość boską, Nick! Dziewczyna jest zbyt niebezpieczna.

Siedemnastoletnia dziewczina z setką dzieci – nigdy bym jej nie tknął' Czy naprawdę myślisz, że mógłbym to zrobić?

– Nie, nie myślę.

– To czemu pytasz?

- Nikolaides wzruszył ramionami i zapatrzył się na śnieg.

– To Chalk chciał, ażebyś się dowiedział, co zamierzam, prawda? Boi się, że będę się jej narzucać, prawda?

Nikolaides nie odpowiedział i nagle Aoudad zaczął drzeć. Jeżeli Chalk podejrzewał go o coś

takiego, musiał stracić do niego zaufanie.

Pracę i kobiety ściśle rozdzielano. Aoudad nigdy ich nie łączył i Chalk o tym wiedział. Czy coś było nie w porządku? W którym miejscu zawiódł grubasa? Dlaczego przestano mu ufać?

– Nick, przysięgam, że wcale nie miałem takich zamiarów proponując zamianę – powiedział Aoudad głucho. – Ta dziewczyna w ogóle nie pociąga mnie seksualnie. Zupełnie! Myślisz, że zainteresowałbym się takim groteskowym dzieciakiem? Po prostu miałem już dosyć gapienia się na to poprzestawiane ciało Burrisa.

Chciałem po prostu zmienić zajęcie, a ty...

– Przestań, Bart.

– ... dopatrujesz się jakichś dziwacznych i perwersyjnych...

– Niczego się nie dopatruję.

– Ale Chalk się dopatruje, a ty się z nim zgadzasz. Czy to jakiś spisek? Kto chce mnie dopaść?

Nikolaides nacisnął lewym kciukiem przycisk apteczki i pojawiła się tacka ze środkami uspokajającymi. Ze spokojem podał ją Aoudadowi, który wybrał cienką tubkę koloru kości słoniowej i przycisnął do przedramienia. W chwilę później napięcie opadło.

Aoudad poskrobał się w spiczasty wierzchołek lewego ucha. Ten atak napięcia i podejrzliwości był bardzo silny. Ataki tego rodzaju zdarzały mu się coraz częściej. Obawiał się, że dzieje się z nim coś złego i Duncan Chalk upaja się jego emocjami, odbierając doznania w miarę jak przechodził od paranoi i schizofrenii do osłupienia katatonicznego.

Nie pozwolę, żeby mi się coś takiego przydarzyło – zdecydował. – Chalk może mieć swoje przyjemności, ale bez wbijania kłów w moje gardło.

– Zostaniemy przy naszych zadaniach, dopóki Chalk nie zmieni decyzji – powiedział głośno.

– Tak – odparł Nikolaides.

– Może będziemy ich obserwować w czasie jazdy?

– Zgoda.

Samochód jechał przez tunel Appalachia. Wysokie, ślepe ściany otaczały ich zewsząd. Autostrada opadała tu stromo i samochód mknął z dużym przyspieszeniem. W oczach Nikolaidesa pojawił się błysk zmysłowej przyjemności. Rozparł się w ogromnym fotelu zaprojektowanym dla Chalka. Siedzący obok niego Aoudad włączył kanały łączności. Ekrany rozświetliły się.

– Twój – wskazał – i mój!

Spojrzał na swój ekran. Nie odczuwał już dreszczy, kiedy patrzył na Minnera Burrisa, chociaż widok był potworny. Burris stał przed lustrem, toteż Aoudad mógł widzieć jego dwie postaci.

– A więc zaczynamy od nowa – mruknął Aoudad. Jak zachowałbyś się, gdyby tobie coś takiego zrobili?

– Zabiłbym się natychmiast – powiedział Nikolaides – ale myślę, że dziewczyna jest jednak w gorszej sytuacji. Czy widzisz ją ze swojego miejsca?

– Co ona robi? Jest naga?

– Kąpie się – powiedział Nikolaides. – Setka dzieci, a mężczyzna nigdy jej nie miał! Sprawy, które uznajemy za normalne.

Popatrz!

Aoudad spojrzał. Niewielki, prostokątny ekran przedstawiał nagą dziewczynę, stojącą pod prysznicem wibracyjnym. Miał nadzieję, że Chalk właśnie w tej chwili obserwuje jego emocjonalny obraz, ponieważ patrząc na obnażone ciało Lony Kelvin, nie czuł nic. Zupełnie nic. Ani śladu zmysłowości.

Nie mogła ważyć więcej niż sto funtów. Ramiona miała spadziste, twarz bladą, oczy pozbawione blasku. Także małe piersi, wąską talię i szczupłe, chłopiące biodra. Gdy Aoudad patrzył, obróciła się demonstrując płaskie, pozbawione kobiecości pośladki i wyłączyła prysznic. Zaczęła się ubierać. Poruszała się ociężale, a jej twarz miała ponury wyraz.

– Może jestem uprzedzony, ponieważ pracowałem z Burrisem – powiedział Aoudad. – Wydaje mi się jednak, że jego przypadek jest znacznie bardziej skomplikowany niż jej. Jest po prostu tępym dzieciakiem, który miał trudne przejścia. Co on miałby w niej zobaczyć?

– Istotę ludzką – powiedział Nikolaides. – To może wystarczyć. Może. Warto spróbować zetknąć ich ze sobą.

– Zachowujesz się jak istota humanitarna – powiedział Aoudad ze zdumieniem.

– Nie lubię patrzeć, jak ludzie cierpią.

– A kto lubi, oprócz Chalka. W jaki sposób możemy nawiązać z nimi grę? Gdzie jest punkt zaczepienia? Są zbyt od nas oddaleni. Są groteskowi. Są barokowi. Nie wiem, jak Chalk chce sprzedać ich publiczności.

– W pojedynkę są barokowi – tłumaczył cierpliwie Nikolaides.

– Kiedy skontaktujemy ich z sobą, stworzymy Romea i Julię. Chalk ma talent do takich spraw.

Aoudad patrzył na pozbawioną wyrazu twarz dziewczyny i na niesamowitą, wykrzywioną maskę, którą Minner Burris posiadał zamiast twarzy. Potrząsnął głową. Samochód mknął jak igła przeszywająca czarną tkaninę nocy. Wyłączył ekran i przymknął oczy. Myślał o kobietach, prawdziwych kobietach, dorosłych, o miękkich zaokrąglonych ciałach.

Śnieg sypał teraz gęściej. Pomimo przytulnego wnętrza samochodu, Bart Aoudad czuł chłód.

Rozdział 4 Dziecię burzy

Łona Kelvin ubrała się. Dwie sztuki bielizny, dwie sztuki odzieży wierzchniej. Wszystko szare.

Podeszła do okna w swym pokoiku i wyjrzała. Padał śnieg. Białe tumany snuły się wśród nocy.

Śniegu można pozbyć się z łatwością, gdy już spadnie na ziemię. Nie można jednak zapobiec

śnieżycy. Jeszcze nie. Spacer w Arkadii – zdecydowała. Później spać! Tak minie kolejny dzień.

Włożyła kurtkę. Na myśl o spacerze przebiegł ją dreszcz.

Rozejrzała się wokół.

Wszędzie wisały starannie poprzyklejane na ścianach fotografie dzieci. Nie doliczyłyby się stu. Może sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu. To nie były jej dzieci. Sześćdziesiąt zdjęć dzieci to prawie tyle co sto, a dla matki takiej jak Łona, każde dziecko mogło być jej dzieckiem.

Wyglądały tak, jak dzieci zazwyczaj wyglądają. Zaokrąglone, nieukształtowane buzie, zadarte noski, lśniące, wilgotne wargi, niewidzące oczy. Maleńkie uszka o idealnym kształcie. Chwytne małe rączki o nieprawdopodobnie pięknych paznokciach. Miękka skóra. Łona wyciągnęła rękę i dotknęła fotografii wiszącej najbliżej drzwi i wyobraziła sobie, że dotyka aksamitnej skóry dziecka.

Następnie dotknęła własnego ciała. Dotknęła płaskiego brzucha.

Dotknęła małych, twardych piersi.

Dotknęła lędźwi, z których zrodził się i nie zrodził ten legion dzieci.

Potrząsnęła głową w geście goryczy, chociaż żal już prawie minął, pozostawiając jedynie osad zagubienia i pustki.

Łona wyszła. Drzwi cicho zamknęły się za nią.

Winda szybko zniosła ją na parter. Wiatr hulał w wąskim przejściu między wysokimi gmachami.

Sztuczne nocne oświetlenie rozpraszało ciemności. Barwne kule światła przemieszczały się bezszelestnie z miejsca na miejsce. Wokół nich tańczyły płatki śniegu. Chodnik był ciepły.

Gmachy wokół jasno oświetlone. Do Arkadii pokierowały ją stopy. Na spacer w blasku i ciepłe śnieżnej nocy.

Nikt jej nie rozpoznał.

Po prostu dziewczyna na wieczornym spacerze. Włosy mysiego koloru zachodziły na uszy. Cienka szyja, przygarbione ramiona, nie rozwinięte ciało. Ile miała lat? Siedemnaście. Wyglądała jednak na czternaście. Nikt o nic nie pytał. Dziewczyna bez wyrazu.

Bez wyrazu, jak myszka.

Dr Teh Ping Lin, San Francisco, 1966 r.: „W wyznaczonym terminie czarne samice myszy z

gatunku C3H/HeJ o hormonalnie wywołanym jajeczkowaniu zostały zamknięte w klatkach z samcami albinosami z gatunku BALB/C lub Cal A (dawniej A/Crgl/2). Dziewięć do dwunastu godzin po oczekiwanym zapłodnieniu wypłukano jajeczka z jajowodów.

Zapłodnione jajeczka zidentyfikowano, ujawniając obecność drugiego jądra w komórce." Dla doktora był to trudny eksperyment. Mikroiniekcje komórek nie były już wtedy niczym nadzwyczajnym, ale praca z jajeczkami ssaków raczej niewdzięczna. W trakcie doświadczeń trudno zachować strukturalną i funkcjonalną integralność jaja.

Nikt nigdy nie poinformował Lony Kelvin, że ,trudno dokonać iniekcji jaja ssaków ze względu na dość rozległą warstwę przejrzystej i grubej błony okołokomórkowej. Jej elastyczność utrudniała penetrację mikroinstrumentu, szczególnie gdy jajeczko nie zostało zapłodnione." Tłumy chłopców zebrały się, jak zwykle, w holu wiodącym do Arkadii. Niektórym towarzyszyły dziewczyny. Łona obserwowała je nieśmiało. Zima nie dotarła do holu. Dziewczyny pozrzucały ciepłe okrycia i stały dumnie prezentując swoje wdzięki. Jedna z nich miała sutki posmarowane fosforyzującą szminką. Druga zgoliła włosy, by zademonstrować kształtną czaszkę. Opośal zmysłowa rudowłosa dziewczyna w ostatnich miesiącach ciąży splótłszy ręce z dwoma wysokimi chłopakami, ze śmiechem wykrzykiwała różne świństwa.

Łona przyglądała się jej uporczywie. Duży, niezgrabny brzuch.

Czy może zobaczyć palce u nóg? Nabrzmiące piersi. Czy bolą?

Dziecko poczęte zostało starym sposobem. Łona zamruwała. Kilka westchnień, pchnięć i dreszczy w podbrzuszu, i dziecko gotowe.

Jedno dziecko. No, może dwoje. Łona wyprostowała swe wąskie ramiona. Napęliła płuca powietrzem, aż jej piersi uniosły się i wysunęły w przód. Policzki nabiegły rumieńcem.

– Idziesz do Arkadii? Chodź ze mną.

– Hej, ptaszku! Może poćwierkamy?

– Szukasz przyjaciela?

Szmer rozmów. Zaproszenia. Nie do niej. Nigdy do niej.

Jestem matką.

Jestem właśnie tą matką.

„Zapłodnione jajeczka zostały następnie umieszczone w środowisku składającym się w trzech częściach ze zmodyfikowanego systemu Locke'a i w jednej części z 2,9-procentowego roztworu cytrynianu sodu zawierającego również 25 mg bydlęcej gamma- globuliny (BGG, Armour) na mililitr roztworu. Do środowiska dodano penicylinę (100 jedn./ml) i streptomycynę (50 mikrogramów/ml). Lepkość środowiska przy 22°C wynosiła 1.159cp, a jego wskaźnik pH – 7,2. Jajeczka przeznaczone do mikromanipulacji i zaszczepienia, znajdujące się w kropli bydlęcej gamma- globuliny połączonej z roztworem Locke'a i cytrynianem (GCL), dobrze łączyły się z olejem mineralnym i wazeliną na płytce mikroskopu." Tego wieczora Łona przeżyła niewielkie zaskoczenie. Jeden z chłopaków przesiadujących w holu zbliżył się do niej. Był pijany?

Tak wygłodzony seksualnie, że stała się dla niego atrakcyjna?

Powodowała nim litość? A może wiedział, kim była i chciał, żeby nieco sławy spłynęło i na niego?

To ostatnie wydawało się najmniej prawdopodobne. Nie wiedział i nie chciałby wiedzieć. A sławy nie było żadnej.

Nie był zbyt przystojny. Ani też zdecydowanie odpychający.

Średniego wzrostu, z ciemnymi włosami gładko zaczesanymi do przodu, kończącymi się tuż nad brwiami, które zmienione nieco chirurgicznie miały kształt odwróconego V, co nadawało twarzy sardoniczny wyraz. Szare oczy rozjaśnione tanią przebiegłością.

Ostry, wydatny nos. Miał około dziewiętnastu lat. Pod bladożółtą skórą kryły się światłoczułe pasma i wzory, które w świetle słonecznym rozbłyskiwały całą gamą barw. Wyglądał na wygłodzonego. W jego oddechu czuć było mieszaninę taniego wina, aromatyzowanego chleba i

filtrowanego rumu (dla fasonu!).

– Hej, śliczna. Poznajmy się. Jestem Tom Piper. Syn Toma Pipera. A ty?

– Proszę... nie! – wymamrotała Łona. Chciała się odsunąć.

Stanął jej na drodze. Owionął ją jego oddech.

– Umówiona? Czeka ktoś na ciebie w środku?

– Nie.

– Zostań ze mną. Możesz trafić gorzej.

– Daj mi spokój – wyszeptała słabym głosem. Patrzył na nią lubieżnie. Jego małe oczka wpatrywały się w jej oczy.

– Jestem astronautą – powiedział. – Właśnie wróciłem z gwiazd. Usiądziemy gdzieś i wszystko ci opowiem. Nie wolno odtrącać astronauty!

Łona zmarszczyła czoło. Astronautą? Z gwiazd? Saturn tańczył wśród swych pierścieni, zielone słońca na dnie nocy, blade istoty o wielu ramionach? Nie był astronautą. Przestrzeń kosmiczna zostawia ślady w duszy. Syn Toma Pipera takich śladów nie miał. Nawet Łona potrafiła to wyczuć. Nawet ona.

– Nie kłam – powiedziała.

– Nie kłamię. Opowiem ci o gwiazdach. Ophiuchus, Rigel, Aldebaran. Byłem tam. Chodź, kwiatuszku! Chodź z Tomem!

Kłamał. Chciał przydać sobie blasku, powiększyć swój magnetyzm. Lonę przebiegł dreszcz. Nad jego masywy m ramieniem widziała światło Arkadii. Nachylił się bliżej. Sięgnął ręką do jej biodra, lubieżnie oplótł ramieniem jej pośladek i szczupły bok.

– Kto wie? – odezwał się szeptem. – Wszystko może się zdarzyć tej nocy. Może zrobię ci dziecko?

Założę się, że spodobałoby ci się. Miałaś już kiedyś dziecko?

Jej paznokcie rozorały mu policzek. Zatoczył się w tył zaskoczony, skrwawiony i przez chwilę

ozdobne wzory pod jego skórą rozblęły nawet przy sztucznym świetle. Jego oczy nabrały dzikiego wyrazu. Łona odwróciła się, ominęła go i zniknęła w tłumie przelewającym się przez hol. Łokciami utorowała sobie drogę do Arkadii.

Tomek, Tomek, syn kobziarza Zrobić dziecko mu się zdarza...

„Trzysta nowo zapłodnionych jajeczek przechowywano w preparatach wazelinowych i każde z nich zostało poddane jednemu z następujących procesów eksperymentalnych: (I) nie dokonano przebiccia i zaszczepienia, (II) dokonano przebiccia, a nie dokonano zaszczepienia, (UI) dokonano zaszczepienia 180 [i8 roztworu zawierające-

go ok. 5 pg BGG, (IV) dokonano zaszczepienia 770 (i8 roztworu zawierającego 20 pg BGG i wreszcie (V) dokonano zaszczepienia 2730 [i8 roztworu zawierającego 68 pg ipGG." Arkadia lśniła. Wszystkie tanie przyjemności zebrano tu pod jednym dachem. Przechodząc przez bramę Łona wcisnęła kciukiem przycisk licznika, żeby zarejestrować swą obecność i otrzymać rachunek. Wstęp nie był kosztowny. Ale ona miała pieniądze. Dużo pieniędzy. Już oni zadbali o to.

l. Stojąc mocno na nogach rozejrzała się po piętrach – bż ku dachowi wznoszącemu się sto stóp wyżej. Na |dworze sypał śnieg, ale nie padał na dach. Dmuchawy |usuwały go skutecznie ze sklepienia. Płatki śniegu opadały na rozgrzany chodnik, gdzie niknęły w kropelkach wody.

l*. Przyglądała się piętrom gier hazardowych, gdzie można zagrać w dowolną grę za dowolną stawkę. Stawiła na ogół nie były wysokie.

To miejsce przeznaczono Kila niezbyt zasobnej młodzieży i dla biedoty. Można było jednak i dużo przegrać, i takie przegrane t się zdarzały. Obracały się koła, migwały światła, trzaskały przyciski.

Łona nigdy nie mogła pojąć gier hazardowych.

Wyżej, wśród płataniny korytarzy ci, którzy pożąдали lub mieli taką ochotę, mogli zakupić cielesne uciechy. Kobiety dla mężczyzn, mężczyźni dla kobiet, chłopcy dla dziewcząt, dziewczęta dla chłopców i wszystkie inne możliwe kombinacje. Czemu nie? Istota ludzka mogła swobodnie

dysponować swoim ciałem, aby tylko nie przeszkadzać innym. Tych, którzy sprzedawali się, nie zmuszano do tego. Przecież mogli zająć się sprzedażą towarów. Łona nie weszła na tamto piętro. Tutaj, na głównym poziomie Arkadii, znajdowały się stoiska drobnych kupców. Za garść bilonu można było kupić mnóstwo niespodzianek. Na przykład krótki sznur żywego światła dla rozjaśnienia szarych dni lub zwierzątko rzekomo z innego świata, chociaż wiadomo, że te ropuchy o diamentowych oczach hodowano w laboratoriach Brazylii, poetycką skrzynkę śpiewającą kołysanki, fotografie wielkich ludzi, które uśmiechały się i mówiły. Łona zastanawiała się, przyglądała się. Niczego nie dotykała, nic nie kupowała.

„Żywotność jajeczek sprawdzono poprzez ich transplantację do biorców rasy albino BALB/c lub Cal A będących w stanie uśpienia.

U biorców hormonalnie wywołano owulację, zachodzącą równocześnie też u dawców aguti C3H zapłodnionych przez samców z tej samej rasy albino." Kiedyś przyjdą tu i moje dzieci – myślała Łona. – Będą kupować zabawki. Będą się cieszyć. I biegać wśród tłumów... same w tłumie.

Na karku poczuła czyjś oddech. Jakaś ręka otarła się o jej pośladki. Tom Piper? Odwróciła się w panice. Nie. To nie Tom Piper. Jakiś szczupły wysoki chłopak, który udawał, że przygląda się z zainteresowaniem górnym piętrům. Łona odsunęła się od niego.

„Cała procedura od chwili, gdy eksperymentalne jajeczka zostały wypłukane z jajowodów dawców do chwili ich umieszczenia w macicy biorców, trwała ok. 40 minut. W okresie przebywania in vitro w temperaturze pokojowej wiele jajeczek skurczyło się w swych płynnych otoczkach." Łona dotarła do części zoologicznej Arkadii. Zwierzęta w klatkach spacerowały, przyglądały się, o coś dopominały. Weszła.

Czy to były ostatnie zwierzęta na świecie? Ogromny mrówkojad.

Gdzie ogon, a gdzie głowa? Leniwiec z pazurami wbitymi w martwe drewno. Nerwowe ostronosy biegały po klatce. Zapach zwierząt usuwały z pomieszczenia pompy szumiące pod kamienną

podłogą.

„...skurczone jajeczka zazwyczaj przetrzymywały zabieg i nie odbiegały od normy...”

Łona bała się zwierząt. Wyszła z części zoologicznej i jeszcze raz obeszła główne piętra Arkadii.

Zdawało się jej, że zobaczyła Toma Pipera, który jej szukał. Otarła się lekko o napięty brzuch ciężarnej dziewczyny.

„...zbadano również ilość zdegenerowanych embrionów i miejsce resorpcji w czasie autopsji biorców...” Zdała sobie sprawę, że wcale nie ma ochoty dłużej tu zostać. W domu czuła się bezpieczna, ciepła, samotna. nie wiedziała, co bardziej ją przerażało – wielki tłum ludzi czy pojedyncze osoby.

„...duża część jajeczek przetrwała mikromanipulację inwazją obcej substancji...” Chce wyjść! – zdecydowała.

Wyjście. Wyjście. Gdzie jest wyjście? Wyjścia nie 'znakowano.

Właściciele chcieli, by odwiedzający pozostawali tu jak najdłużej. A co by się stało, gdyby wybuchł pożar? Roboty wysuną się spoza płyt ochronnych i stłumią ogień. Chce wyjść.

„...w ten sposób opracowano metodę przydatną...” „...stopień przeżycia jajeczek po poszczególnych manipulacjach przedstawiono w Tabeli 1...” : „...embriony, które rozwinęły się z jajeczek po mikromanipulacji, były w większości mniejsze niż embriony ^rozwinęte normalnie. Żadnych zniekształceń zewnętrznych nie zauważono...” Dzięki, doktorze Teh Ping Lin z San Francisco.

Łona uciekła.

Spiesznie obiegła rozświetlony parter Arkadii. Tom Piper znalazł ją ponownie. Zawołał coś.

Wyciągnął ręce. Zachowuje się przyjaźnie. Nie chce mi zrobić krzywdy. Jest samotny. Może naprawdę jest astronautą.

Łona uciekła.

Znalazła wyjście i wybiegła na ulicę. Szum Arkadii przycichł. Tu w ciemności poczuła się

spokojniejsza. Pot wywołany paniką wysyszał na jej skórze i chłodził. Przebiegł ją dreszcz.

Śpieszyła do domu oglądając się ciągle za siebie. Na udzie miała przypięte urządzenia, które miały odstraszyć gwałcicieli – syrenę alarmową, zasłonę dymną, laser pulsujący oślepiającym światłem. Nigdy nie ma zupełnej pewności. Ten Tom Piper mógł być wszędzie i być zdolny do wszystkiego. Dotarła do domu. Moje dzieci! – pomyślała. – Chcę moje dzieci!

Drzwi zamknęły się. Zapaliło się światło. Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt fotografii wisiało na ścianach. Łona głaskała je w niemej pieśczoce. Czy zmieniono im pieluszki? Pieluszki istniały zawsze. Czy ich różowe policzki były umazane mlekiem? Czy trzeba wyszczotkować im włoski? Miękkie, jeszcze nie zrosnięte czaszki, elastyczne kości, zadarte noski. Moje dzieci. Ręce Lony łagodnie gładziły ściany. Zrzuciła ubranie. Przyszła pora na sen.

Rozdział 5 CHALK I AOUDAD WKRACZAJĄ

Duncan Chalk studiował taśmy z nagraniami interesującej go pary od trzech dni, poświęcając im prawie całą swoją uwagę. Wydawało mu się, że zna Minnera irrisa i Lonę Kelvin lepiej niż ktokolwiek inny. Wydawało mu się również, że pomysł skontaktowania ich miał dziwne zalety. Intuicja podpowiadała mu to od początku, ale choć wierzył intuicji, rzadko kierował się nią w działaniu, zanim nie dokonał bardziej racjonalnej kalkulacji. Teraz miał to już za sobą. Aoudad i Nikolaides, którym powierzył wstępną fazę przedsięwzięcia, przedstawili wybór nagranych taśm. Chalk nie opierał się wyłącznie na ich cenie. Poleciał, aby inni również przejrżeli taśmy i przy-
Otawali własny spis znaczących epizodów. Z satysfakcją twierdził, że ich wybór był zgodny. Podbudowało to też jego wiarę w Aoudada i Nikolaidesa. To byli dobrzy fachowcy. Chalk bujał się w tył i w przód w swoim pneumatycznym fotelu i analizował sytuację, podczas gdy wokół niego organizacja, którą stworzył, pulsowała życiem.

| Pomysł. Przedsięwzięcie. Połączenie dwóch cierpiących istot ludzkich. Ale, czy były to istoty ludzkie? Kiedyś z pewnością tak.

Surowiec był ludzki. Sperma, jajo, kod genetyczny, płaczące dziecko.

Jak dotąd wszystko w porządku. Mały chłopiec, mała dziewczynka. Nie zapisane tabliczki, czekające, aż życie zostawi na nich swój znak. Tym dwojgu życie naprawdę dało się we znaki. Minner Burris. Astronauta. Inteligentny, energiczny, wykształcony. Pojmany na obcej planecie i przemieniony wbrew woli w istotę monstrualną. Burris był przygnębiony tym, co się z nim stało. To wydawało się oczywiste. Słabszy człowiek załamałby się.

Burris się tylko ugiął. To także wydawało się interesujące i godne pochwały z punktu widzenia tego, co publiczność mogła zyskać na historii Minnera Burrisa. Burris również cierpiał i to było interesujące z punktu widzenia Chalka.

Lona Kelvin. Dziewczyna. Wcześniej osierocona i wychowana przez państwo. Niezbyt ładna. Jednakże lata dojrzałości miała wciąż jeszcze przed sobą, i jeszcze coś może z niej wyrosnąć! Brak poczucia bezpieczeństwa. Wrogo nastawiona do mężczyzn. Niezbyt błyskotliwa (a może bardziej błyskotliwa, niż sama była gotowa przyznać – zastanawiał się Chalk). Miała jedną wspólną cechę z Burrisem. Zabrali się za nią naukowcy. Nie były to odrażające obce istoty, ale mili, pełni dobrej woli, bezstronni abstrakcyjniści w białych fartuchach, którzy nie powodując żadnych obrażeń pożyczili po prostu kilka zbędnych komórek znajdujących się w jej ciele i wykorzystali w doświadczeniach. To wszystko. Teraz setka dzieci Lony rozwijała się w lśniących, plastikowych macicach. Rozwijały się? Nie. Już się urodziły. W duszy Lony pozostała pustka. Cierpiała. Doprowadzenie do spotkania tych dwojga będzie aktem dobroczynnym – zdecydował Duncan Chalk.

– Przyślij tu Barta! – rzekł do swego fotela.

Aoudad wszedł natychmiast, jakby wjechał na kółkach, jakby w napięciu czekał w przedpokoju na wezwanie. Chalk zauważył to napięcie z pewnym zadowoleniem. Dawno temu Aoudad był samowystarczalny tryskał energią. Chalk wiedział jednak, że długotrwałe napięcie załamało go.

Świadczyło o tym jego nadmierne ^interesowanie kobietami.

Sprawiał jednak wrażenie innego. Chłodne oczy. Zdecydowany wyraz ust. Chalk yczuwał, że spod tej zewnętrznej powłoki emanowały strach i napięcie. Aoudad czekał.

– Czy możesz sprowadzić natychmiast Burrisa? – i pytał Chalk.

| – Nie wychodzi z pokoju całymi tygodniami.

– Wiem o tym. Moje odwiedziny u niego nic nie dadzą. Trzeba go skłonić, żeby znowu wyszedł na światło dzienne. Zdecydowałem kontynuować nasz program.

Od Aoudada wionęło przerażeniem.

– Odwiedzę go. Od pewnego czasu zastanawiałem się nad techniką nawiązania kontaktu. Wiem, jak go przekonać. Przyjdzie.

– Nie wspominaj jeszcze nic o dziewczynie.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Wiem, że to dobrze załatwisz, Bart. Mogę na tobie polegać. I ty o tym wiesz. Dużo od ciebie zależy, ale wiem, że załatwisz to dobrze.

Chalk uśmiechnął się. Aoudad uczynił to samo. Dla niego uśmiech był bronią, dla drugiego stanowił obronę. Chalk wyczuwał ten nastrój. Gdzieś w głębi jego ciała ustawione na odbiór gruczoły wyczuwały niepewność Aoudada. Reagował na nią przyjemnością.

Za chłodnymi oczami Aoudada czaiła się niepewność. A jednak Chalk mówił prawdę. Wierzył w umiejętności Aoudada w tej sprawie. To Aoudad nie ufał sobie samemu, a uwagi Chalka wbijały tylko głębiej nóż niepewności. Chalk wcześniej nauczył się tej taktyki.

– Gdzie jest Nick? – zapytał Chalk.

– Wyszedł. Myślę, że śledzi dziewczynę!

– Wczorajszego wieczora o mały włos nie popełnił błędu.

Dziewczyna odwiedziła Arkadię i nie była właściwie chroniona. Jakiś idiota ją tam obłapywał.

Nick miał szczęście, że dziewczyna się oparła. Chcę ją oszczędzić.

– Tak. Oczywiście.

– Naturalnie nikt jej nie poznał. Już o niej zapomniano. Ważna w zeszłym roku. Dzisiaj nie znaczy nic, Jednakże – komentował Chalk – można jeszcze wykroić z tego dobry materiał, jeśli sprawa zostanie odpowiednio zaaranżowana. A jeśli jakiś nieświadomy facet dostanie ją w swoje łapy i zepsuje, cała historia upadnie. Nick powinien jej lepiej pilnować. Powiem mu to, a ty zajmij się Burrisem!

Aoudad szybko wyszedł z "pokoju. Chalk siedział nucąc coś leniwie. Dobrze się bawił. To się powinno udać, Publiczność będzie zachwycona, jeśli romans rozwinie się. Oznaczało to forszę. Chalk oczywiście więcej pieniędzy nie potrzebował. Pieniądze były dla niego motywem działania kiedyś. Teraz już nie. Również zdobycie większej potęgi nie sprawiało mu właściwie przyjemności. Chalk uważał, że zdobył wystarczającą władzę i gotów byłby zrezygnować z dalszych zdobyczy, gdyby wiedział że będzie mógł zachować to, co już osiągnął. Teraz jednak było to coś innego. Jego decyzjami kierował obecnie jakiś wewnętrzny przymus. Kiedy miłość pieniądza i miłość władzy zostały już zaspokojone, pozostaje miłość do miłości.

Tylko że Chalk nie znalazł swojej miłości tam gdzie znajdowali ją inni. Miał jednak swoje potrzeby. Minner Burris i Łona Kelvin może byli w stanie je zaspokoić. Kataliza. Synergia. Później zobaczy. Zamknął oczy.

Wyobraził sobie, że jest nagi i unosi się swobodnie w błękitnozielonym morzu. Wysokie fale uderzały w jego gładkie, białe boki. Ogromne ciało poruszało się z łatwością, ponieważ znajdował się w stanie nieważkości, unoszony na łonie oceanu. Kości nie uginały się pod wpływem przyciągania ziemskiego. Chalk poruszał się szybko, tu i tam demonstrując w wodzie swą zwinność. Wokół niego igrały delfiny, ośmiornice i marliny. Obok z powagą poruszał się głupawy okoń. Sam nie był mały, ale tym razem przytłaczał go lśniący ogrom Chalka.

Na horyzoncie Chalk widział łodzie. Ludzie zbliżali się.

Uniesione, zacięte twarze. Teraz stał się dla nich zdobyczą. Zaśmiał się głośno. Gdy łodzie zbliżyły się, zwrócił się ku nim, drażniąc, zmuszając do wysiłku. Był tuż pod powierzchnią, lśniąc bielą w świetle południa. Fale omywały mu boki.

Łodzie zbliżały się. Chalk zawrócił. Wielkie harpuny uderzyły w wodę. Jedna z łodzi wyskoczyła nagle w powietrze, rozsypując się w drzazgi i wyrzucając do wody swój trzepoczący się ładunek ludzki.

Krótki wysiłek oddalił go od ścigających. Wyrzucił w górę gejzer wody dla uczczenia swego triumfu. Następnie zanurzył się, wydając radosne dźwięki, dążąc w głębię i po chwili jego biała sylwetka zniknęła w odmętach, gdzie światło nie miało prawa wstępu.

Rozdział 6. DZIĘKI, MODER POZWÓL MI UMRZEĆ!

– Powinieneś wyjść ze swego pokoju – zasugerowała zjawą łagodnie. – Pokaż się światu. Stań z nim twarzą w twarz. Nie ma się czego bać!

– Znowu ty? – jęknął Burris. – Zostaw mnie w spokoju!

– Jak mogę cię zostawić? – zapytało jego drugie ja.

Burris wpatrywał się w gęstniejącą ciemność. Dzisiaj jadł już trzy razy, więc pewnie nastąpiła już noc. Nie obchodziło go to. Lśniący podajnik dostarczał mu żywność, o jaką poprosił. Zmiany dokonane w jego ciele usprawniły system trawienny. Zmiany jednak nie były duże.

Niewielkie to szczęście, ale mógł jeść ziemskie jedzenie. Bóg jeden tylko wiedział, skąd brały się jego enzymy, ale były to te same enzymy. Renina, pepsyna, lipazy, amylaza, trypsyna, ptyalina.

Cały zestaw. Co się stało z jelitem cienkim? Jaki był los dwunastnicy i innych organów? Co zastąpiło krezkę i otrzewną? Wszystkie zniknęły, ale renina i pepsyna nadal wykonywały swoje zadania. Tak przynajmniej orzekli ziemscy lekarze. Burris czuł, że najchętniej przeprowadziliby sekcję, żeby bliżej poznać jego sekrety.

Jeszcze nie. Jednak jeszcze nie. Zbliżał się do tego momentu, ale to jeszcze potrwa.

Zjawa jego dawnej szczęśliwości nie chciała zniknąć.

- Spójrz na swoją twarz – powiedział Burris. – Twoje powieki poruszają się w głupi sposób – z góry na dół i mrugają. Oczy są tak prymitywne. Kurz dostaje ci się do gardła przez nos. Muszę przyznać, że jestem znacznie doskonalszy niż ty.

|- Oczywiście. Dlatego właśnie mówię – wyjdź!

! Niech ludzkość cię podziwia.

|- Kiedy to ludzkość podziwiała swoje udoskonalone modele! Czy pitekantropus zachwycał się pierwszymi (neandertalczykami? Czy neandertalczyki podziwiali człowieka rozumnego?

- Analogia nie jest właściwa. To nie ewolucja pozwoliła ci wyprzedzić ludzkość. Zmiana przyszła z zewnątrz. Nie mają powodu, żeby cię nienawidzić.

- Nie muszą mnie nienawidzić. Wystarczy, że się gapią. Poza tym czuję ból. Łatwiej jest zostać w domu.

- Czy naprawdę tak trudno znieść ból?

- Przyzwyczajam się – powiedział Burris. – Jednakże każdy ruch powoduje ból. Te istoty jedynie eksperymentowały. Popełniły błędy. Ta dodatkowa komora serca. Kiedykolwiek kurczy się, odczuwam to w gardle. to te lśniące, przepuszczalne jelita. Gdy tylko coś jem, odczuwam ból.

Powiniennem się zabić. To najlepsze rozwiązanie!

- Szukaj pocieszenia w literaturze – poradziła zjawa. – Czytaj!

Kiedyś czytałeś. Byłeś odcytany, Minner. I masz do dyspozycji trzy tysiące lat literatury. Znasz kilka języków. Homer. Chaucer.

Shakespeare.

Burris spojrzał w jasną twarz człowieka, jakim był kiedyś.

Moder, dzięki; – pozwól mi umrzeć zaczął recytować.

Kończ cytat!

Dalszy ciąg nie pasuje.

W każdym razie, dokończ!

Abym wykupił z piekłą Adama I ludzkość zatraconą – kontynuował Burris.

– Umrzyj zatem – powiedziała zjawa łagodnie – jeżeli potrafisz. W innym przypadku musisz żyć,

Minner. Czy myślisz, że jesteś Jezusem?

– On również cierpiał z rąk obcych.

– Żeby ich odkupić. Czy odkupisz te istoty, jeżeli wrócisz do Manipool i umrzesz na ich progu?

Burris wzruszył ramionami.

– Nie jestem odkupicielem. Sam potrzebuję odkupienia. Bardzo.

– Znowu biadolisz!

Widzę twe dato powieszzone, twoją pierś, twoje ręce, twoje stopy przebite.

Burris zachmurzył się. Jego nowa twarz była dobrze przystosowana do pochmurnego wyrazu. Jego wargi odchyłały się na zewnątrz jak muszla mięczaka, odsłaniając podzieloną na segmenty palisadę niezniszczalnych zębów.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytał.

– A czego ty chcesz, Minner?

– Zdjąć z siebie to ciało. Wrócić do dawnego!

– To byłby cud. I chcesz, żeby cud zdarzył się tobie tu, w tych czterech ścianach?

– Takie samo dobre miejsce, jak każde inne.

– Nie. Wyjdź na zewnątrz! Szukaj pomocy!

– Byłem na zewnątrz. Obstukiwano mnie i opukiwano. Nic nie pomogło. Co mam zrobić?

Sprzedać się do muzeum? Odejdź, przeklęty duchu! Won! Won!

– Twój zbawca żyje – powiedziała zjawa.

– Podaj mi adres!

Nie było odpowiedzi. Burris uświadomił sobie, że wpatruje się w ponury mrok. Pokój tchnął ciszą. Poczł w sobie niepokój. Ciało jego potrafiło obecnie utrzymywać się w dobrej formie, mimo beczynności. Było to ciało idealne dla astronauty, przygotowane do podróży i międzygwiezdnych i mogące wytrzymać długie okresy ciszy.

Tak właśnie dotarł do Manipool, które leżało na jego l drodze.

Człowiek był nowym przybyszem wśród gwiazd. [Dopiero co oderwał się od swoich planet.

Trudno było powiedzieć, co tam spotka i co się z nim stanie. Burris |nie miał szczęścia. Przeżył.

Inni leżeli w wesołych gromach pod plamistym słońcem. Włosi. Malcondotto i Prolisse nie przeżyli operacji. Byli ofiarami generalnej promy przed największym osiągnięciem Manipool – nim samym.

Burris widział Malcondotto – martwego po |operacji. Osiągnął spokój. Jeżeli potwór może wydawać |się spokojny, nawet po śmierci. Prolisse był pierwszą (ofiara). Burris nie widział, co z nim zrobili. Dobrze, że nie widział.

J.- Wyruszył do gwiazd jako człowiek cywilizowany, |umysłowo elastyczny, czujny. Nie zwykły załogant i pomocnik, ale oficer, najwyższy produkt rodzaju ludzkiego, zbrojny wyższą matematyką i topologią. Umysł |wypełniony skarbami literatury. Człowiek, który ko-[chał i który się uczył.

Burris był zadowolony, że nigdy się nie ożenił. Trudno jest żonatemu astronautcie. Jeszcze trudniej wrócić z gwiazd w postaci potwora i objąć l-ukochaną.

Zjawa powróciła. – Skontaktuj się z Aoudadem! – doradziła.

Będzie wiedział, jak ci pomóc. Zrobi z ciebie znowu mężczyznę!

– Aoudad?

– Aoudad.

– Nie spotkam się z nim! Znowu Burris był sam.

Patrzył na swoje ręce. Delikatne, spiczaste palce prawie nie zmienione poza tym, że wszczepiono

weń chwytną mackę przy zewnętrznym stawie palcowym. Ich kolejna zabawka. Mogli tak samo dobrze umieścić mu podobne macki pod pachami, albo dodać chwytny ogon, co uczyniłoby z niego co najmniej tak zgrabnego akrobatę jak brazylijska małpa. Te dwie macki podobne do sznura grubości ołówka, długie na trzy cale i złożone z mięśni... Do czego mogły służyć? Po raz pierwszy zauważył, że poszerzyli mu dłoń tak, by ten nowy palec zmieścił się bez naruszenia proporcji. Jak to miło z ich strony. Burris codziennie odkrywał jakiś nowy aspekt swojej inności. Myślał o martwym Malcondotto. Myślał o martwym Prolisse. Pomyślał o Aoudadzie. Aoudad? W jaki sposób mógł mu pomóc?

Położyli go na stole lub na czymś, co służyło za stół na Manipool, na czymś chwiejnym i niestabilnym. Zmierzyli. Co sprawdzali?

Temperaturę, puls, ciśnienie krwi, perystaltykę, rozszerzalność tęczówki, wchłanianie jodu, działanie naczyń włoskowatych – i co jeszcze? Mierzyli słoną warstewkę ochronną na gałkach ocznych.

Wyliczyli ilość komórek w nasieniowodach. Zbadali drogi sygnałów nerwowych tak, żeby można je przegrodzić.

Znieczulenie udane!

Operacja.

Odchylić skórę. Wyszukać przysadkę, grasicę, tarczycę. Uspokoić rozedrgane komory serca.

Wprowadzić do kanałów maleńkie, nieuchwytnie skalpele. Ciało. Ga-len podejrzewał, że był to po prostu worek z krwią. Czy znajdował się tam układ krwionośny? Na Manipool odkryto sekrety budowy człowieka w trakcie trzech łatwych lekcji. Malcondotto, Prolisse i Burris. Dwa eksperymenty nie udały się. Trzeci – tak.

Podwiązali naczynia krwionośne. Obnażyli szary, jedwabisty mózg. Tu znajdowały się komórki zawierające Chaucera, tu – Piersa Glowmana, tam agresja, mściwość, tu odczuwanie bodźców

zmysłowych. Współczucie. Wiara. W tej lśniącej wypukłości żyli Proust, Hemingway, Mozart, Beethoven, a tu Rembrandt.

Patrz, patrz jak krew Chrystusa spływa po firmamencie!

Czekał aż zaczną, wiedząc, że Malcondotto zginął w czasie zabiegu, że Prolisse obdarty ze skóry i pokrajany odszedł również.

Zatrzymajcie się sfery niebieskie, będące w ciągłym ruchu – tak, aby i czas stanął, a potem noc nigdy nie nadeszła. Północ nadeszła. Śliskie ostrza zagłębiły się w mózgu. Wiedział, że nie będzie bolało, a jednak bał się bólu. Jego jedyne, niezastąpione ciało. Przecież nie zrobił im krzywdy.

Przybył w dobrej wierze.

Kiedyś, w dzieciństwie, w czasie zabawy skaleczył się w nogę.

Głęboka, rozwierająca się rana, na dnie której widać było mięso. Rana – pomyślał. – Jestem ranny!

– Krew kapłała mu na stopy. Ranę wyleczono. Nie tak szybko, jak się to robi dzisiaj, ale gdy obserwował zasklepianie się czerwonej rany zastanawiał się nad zmianą, jaką spowodowała. Noga już nigdy nie będzie taka sama. Pozostanie na niej blizna. Poruszyło go to do głębi. Tak poważna, tak trwała zmiana zaszła w jego ciele. Myślał o tym w ciągu ostatnich chwil przed operacją przeprowadzaną przez obcych. Góry i wzgórza przybądźcie i zwalcie się na mnie, i ukryjcie mnie przed gniewem bożym! Nie, nie!

Zapadłbym się pod ziemię. Ziemi, otwórz się!

Bezczelowe wezwanie.

– Nie, ziemia mnie nie przyjmie!

Ciche noże wirowały. Jądra szpiku kostnego, impulsy z mechanizmu przedsionkowego, uda – wszystko zniknęło.

Podstawowe sploty nerwów. Zagłębienia i spirale. Oskrzela z ich chrząstkowymi pierścieniami.

Zębo-doły, zdumiewające tkanki gąbczaste. Nagłośnia. Naczynia krwionośne. Naczynia

limfatyczne. Dendryty i akjsony. Lekarze byli pełni ciekawości: jak działa ta wspaniała istota? Z czego jest zbudowana?

Rozłożyli go na poszczególne składniki i znieczulonego rozmieścili na stole, sięgając lancetami aż do nieskończoności. Czy wtedy jeszcze żył? Kłębki nerwów, całe pojemniki wnętrzości.

Teraz, ciało moje, przemieni się w powietrze, bo inaczej Lucyfer porwie cię do piekła! Duszo, zmień się w kroplę wody i wpadnij do oceanu, żeby nikt cię nie znalazł!

Odtworzyli go cierpliwie. Pieczołowicie zrekonstruowali – udoskonalając model pierwotny, tam gdzie uznali za stosowne.

Później dumnie Manipool odesłał go do swoich.

Nie przychodź, Lucyferze!

– Skontaktuj się z Aoudadem – powiedziała zjawą.

– Z Aoudadem? Z Aoudadem?

Rozdział 7. CZUJĘ ODDECH ŚMIERCI NA KARKU

Pokój cuchnął. Smród był odrażający. Zastanawiając się, czy ten człowiek kiedykolwiek wietrzył mieszkanie, Aoudad zażył środek ograniczający wrażenia węchowe. Jego umysł będzie funkcjonował jak zwykle. Musi. Nos natomiast przez pewien czas przestanie donosić o odbieranych wrażeniach.

Miał szczęście, że się tu dostał. Smród nie miał znaczenia.

Uzyskał ten przywilej w drodze cierpliwych zabiegów.

– Czy możesz na mnie patrzeć? – zapytał Burris.

– Z łatwością. Szczerze mówiąc fascynujesz mnie. Czy spodziewałeś się, że poczuję odrazę?

– Większość ludzi ją odczuwa.

– Większość to idioci – stwierdził Aoudad. Nie przyznał się, że obserwował Burrisa od wielu tygodni i miał dość czasu, żeby przygotować się na inność tego człowieka. Był wystarczająco

dziwny i odrażający, a jednak można było się do niego przyzwyczaić.

Aoudad zobojętniał już na deformacje Burrisa.

– Czy możesz mi pomóc? – zapytał Burris.

– Myślę, że tak.

– Pod warunkiem, że zechcę pomocy.

– Zakładam, że chcesz. Burris wzruszył ramionami.

– Nie jestem tego pewien. Można by powiedzieć, że przyzwyczajam się do swego wyglądu. W ciągu najbliższych kilku dni miałem zacząć wychodzić z domu.

Aoudad wiedział, że to było kłamstwo. Kogo Burris chciał oszukać? Tego Aoudad nie mógł stwierdzić. Niezależnie od tego, jak bardzo Burris chciał ukryć swą gorycz, jego gość wiedział, że wciąż w nim tkwiła. Burris chciał pozbyć się swego ciała.

– Pracuję dla Duncana Chalka. Znasz to nazwisko?

– Nie.

– Ale... – Aoudad był zaskoczony. – No tak. Wiele czasu spędziłeś poza Ziemią. Chalk zabawia świat. Może odwiedziłeś Arkadię albo Luna Tivoli?

– Słyszałem o nich.

– To są przedsięwzięcia Chalka. Spośród wielu innych. Daje miliardom ludzi szczęście w tym układzie planetarnym. Planuje rozszerzyć działalność na inne układy w najbliższym czasie.

Tę ostatnią informację wymyślił Aoudad, ale Burris nie musiał o tym wiedzieć.

– Cóż z tego? – powiedział Burris.

– Widzisz, Chalk jest bogaty. Chalk jest humanitarny. Taka kombinacja jest dobra. Tkwią w niej możliwości, które mogą okazać się korzystne dla ciebie.

– Już je widzę – rzekł Burris gładko pochylając się ku przodowi i splatając zewnętrzne macki, które wiły się u jego dłoni.

Wynajmiecie mnie jako eksponat w cyrku Chalka. Zapłacicie mi osiem milionów rocznie. Każdy mieszkaniec systemu, który lubi ciekawostki, przyjdzie mnie obejrzyć. Chalk wzbogaci się. Ja zostanę milionerem i umrę szczęśliwy, a ciekawość tłumu zostanie zaspokojona. Prawda?

– Nie – zaprzeczył Aoudad zaniepokojony dociekliwością Burrisa. – Jestem pewien, że żartujesz.

Chyba zdajesz sobie sprawę, że pan Chalk nie będzie korzystał z twojej... z twojego nieszczęścia w taki sposób.

– Czy myślisz, że to takie nieszczęście? – zapytał Burris. – W tej formie jestem całkiem sprawny.

Oczywiście jest jeszcze ból, ale za to mogę przez piętnaście minut przebywać pod wodą. A ty mógłbyś? Czy tak bardzo mi współczujesz?

E Nie mogę pozwolić, byśmy odeszli od tematu – zdecydował Aoudad. – Jest przebiegły. Dobrze się obrali z Chalkiem.

– Z przyjemnością słyszę, że swoją sytuację uznasz za dość zadowalającą – powiedział Aoudad. –

Ale chciałbym być szczery. Przypuszczam, że z chęcią powróciłbyś do normalnej, ludzkiej postaci.

– Tak myślisz? . – Tak.

– Pan jest niezmiernie przenikliwy, panie Aoudad. czy przyniósł pan ze sobą swoją magiczną pałeczkę? ; – Nie ma w tym żadnej magii. Jeżeli zechce pan "współpracować z nami, możliwe, że Chalk będzie mógł zyskać przeniesienie pana do bardziej konwencjonalnego ciała.

Zelektryzowało to natychmiast Burrisa. Odrzucił pozę obojętności. Odrzucił wyższość szydery, za którą, jak rozumiał Aoudad, kryło się cierpienie. Ciało jego drżało jak szklany kwiat na wietrze. Na chwilę utracił kontrolę nad mięśniami. Jego usta wykrzywił konwulsyjny uśmiech, a oczy mrugały nerwowo.

– Jak to można zrobić? – zapytał Burris.

– Chalk ci to wyjaśni.

Palce Burrisa wpiły się w udo Aoudada, który jednak ii drgnął w tym żelaznym uścisku.

- Czy to możliwe? – zapytał Burris chrapliwie.
- Może tak! Technika nie jest jeszcze doskonała.
- Czy teraz też mam służyć jako świnka morska?
- Ależ skąd. Chalk nie będzie chciał wystawić cię na dalsze cierpienia. Przeprowadzimy dalsze badania, zanim rozpocznie się proces. Porozmawiasz z nim?

Wahanie. Jeszcze raz usta i oczy wykonywały ruchy niezależne od woli Burrisa. Następnie astronauta opanował się. Wyprostował się, splótł palce rąk i założył nogę na nogę. Ile on ma stawów kolanowych? – zastanawiał się Aoudad. Burris milczał. Myślał.

Elektrony płynęły połączeniami umęczonego mózgu.

- Jeżeli Chalk może przenieść mnie do innego ciała... – powiedział Burris.
- Tak?
- Co on z tego będzie miał?
- Powiedziałem ci już. Chalk jest humanitarny. Wie, że cierpisz.

Chce coś z tym zrobić. Spotkaj się z nim, Burris! Pozwól sobie pomóc!

- A ty kim jesteś?
- Nikim. Narzędziem Duncana Chalka.
- Czy to pułapka?
- Jesteś zbyt podejrzliwy. Chcemy dla ciebie jak najlepiej.

Cisza. Burris wstał. Zaczął chodzić po pokoju niezwykle płynnym, posuwistym krokiem. Aoudad czekał w napięciu.

- Do Chalka! – mruknął wreszcie Burris. – Tak. Zabierz mnie do Chalka!

Rozdział 8 STABAT MATEŃ R DOLO ROSA

W ciemności łatwo było Łonie udawać, że jest martwa. Często stawiała w żałobie nad swoim grobem. Wyobrażała sobie, że leży na wzgórzu, wypukłym jak trawiasta pierś ziemi, z małą

plakietką u stóp: TU LEŻY OFIARA ZAMORDOWANA PRZEZ NAUKOWCÓW Naciągnęła kołdrę na swoje szczupłe ciało. Zacisnęła oczy hamując łzy. NIECH SPOCZYWA W SPOKOJU I W NADZIEI ZBAWIENIA. Co się robi z nieboszczykami w dzisiejszych czasach? Wsuwa się ich do pieca! Jasny, gorący błysk. Światło – jak słoneczne – i proch. |Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz!

Długi sen. | Kiedyś prawie umarłam – przypomniała sobie Lona – ale mnie zatrzymali, sprowadzili mnie z powrotem. | Sześć miesięcy temu w środku lata. Dobry czas na umieranie – pomyślała Lona. Jej dzieci się urodziły. Nie | trzeba było aż dziewięciu miesięcy przy sposobie, który | zastosowali. Trzymali je w butelkach. Wystarczyło sześć miesięcy. Eksperyment miał miejsce równo rok temu. ; Dzieciom wystarczyło sześć miesięcy na rozwój. Później ta niezdolna propaganda i otarcie się o zamierzoną śmierć.

Dlaczego ją wybrali?

Ponieważ była. Ponieważ była na podporządkowaniu. Ponieważ nie mogła się sprzeciwić. Ponieważ jej brzuch był pełen jajeczek, których pewnie nigdy nikt nie zapłodni.

– Jajniki kobiece zawierają kilkaset tysięcy jajeczek, panno Kelvin. W czasie normalnego okresu życia dojrzeje może około czterystu. Reszta jest w nadmiarze i właśnie te chcielibyśmy wykorzystać. Potrzeba nam tylko kilkuset.

– W imię nauki...

– Niezmiernie ważny eksperyment...

– Jajeczka występują w nadmiarze. Może się pani ich pozbyć i nie odczuje straty...

– W historii medycyny... pani nazwisko... na zawsze...

– Żadnego wpływu na przyszłą płodność. Może pani wyjść za mąż i mieć z tuzin normalnych dzieci.

Był to trudny eksperyment o wielu aspektach. Mieli około stu lat na udoskonalenie technologii i

teraz wszystkie te technologie połączono w jednym przedsięwzięciu. Naturalna ortogeneza połączona z syntetycznym dojrzewaniem jajeczek. Rozwój embrionów. Zapłodnienie zewnętrzne. Eksperymentalna inkubacja zapłodnionych jajeczek. Słowa. Dźwięki. Syntetyczna kapacytacja. Rozwój embrionu ex utero. Jednoczesność materiału genetycznego.

Moje dzieci! Moje dzieci!

Łona nie wiedziała, kto był „ojcem”. Wiedziała tylko, że będzie jeden dawca spermy, tak jak był jeden dawca jajeczek. Tyle rozumiała. Doktorzy szczegółowo wyjaśniali jej eksperyment, krok po kroku, jak dziecku. Większość z tego rozumiała. Odnosili się do niej z wyższością, ponieważ nie miała wykształcenia i z bojaźnią odnosiła się do nowych idei. Wystarczyła jednak trzeźwa inteligencja.

Jej udział w przedsięwzięciu był prosty i zakończył się w pierwszej fazie. Wypłukano z jej jajników kilkaset niedojrzałych jajeczek. Od tej chwili Łona mogła dla nich przestać istnieć. Ona jednak musiała wiedzieć i śledziła kolejne etapy.

Jajeczka przechowywano w sztucznych jajnikach aż osiągnęły dojrzałość. U kobiety mogły dojrzewać jednocześnie jedynie dwa lub trzy jajeczka, gdzieś w ukrytej cieplarni jej wnętrza. W maszynach dojrzewały setki. Później nastąpił trudny, ale nie nazbyt nowatorski proces mikroiniekcji jajeczek, by je wzmocnić, a następnie zapłodnienie. Pływające plemniki zmierzały do celu. Jeden dawca, jeden wytrysk czasu żniw. Wiele jajeczek stracono we wcześniejszych stadiach. Pozostało wiele niedojrzałych lub nie zapłodnionych. Ale sto zapłodniono. Drobniutki, wijący się plemnik dotarł do celu.

Reimplantacja zapłodnionych jajeczek. Mówiło się o znalezieniu stu innych kobiet, by donosiły rozwijające się płody. Kukułcze płody, powodujące brzemiennosc niewłaściwych brzuchów. W końcu uznano ten pomysł za nieodpowiedni. Około tuzina kobiet zgłosiło się na ochotnika. Reszta zapłodnionych jajeczek trafiła do inkubatorów.

Tuzin bladych brzuchów skąpanych w jasnym świetle. Dwanaście par gładkich ud otwierających się nie dla kochanka, ale aby przyjąć srebrzystoszary aluminiowy instrument. Powolne zagłębianie się.

Wytrysk. Zakończenie implantacji. Niektóre eksperymenty nie udały się. Osiem płaskich brzuchów stało się jednak wkrótce wypukłymi.

– Chciałabym zgłosić się na ochotnika – powiedziała Łona dotykając swego płaskiego brzucha. – Chciałabym nosić jedno z tych dzieci!

– Nie!

Delikatnie wyjaśnili jej, że takie rozwiązanie nie było konieczne w ramach eksperymentu. Nie musiała przejść trudnego okresu ciąży.

Już dawno stwierdzono, że jajeczko można wydobyć z kobiecego ciała, zapłodnić zewnątrz, a następnie umieścić z powrotem, by przeszło normalny proces rozwoju. Po co taki eksperyment powtarzać?

Zostało to już sprawdzone i potwierdzone. Może sobie darować te kłopoty. Chcieliby dowiedzieć się, jak matka reaguje na obcy embrion, a do tego celu Łona była niepotrzebna.

Czy ktokolwiek teraz jej potrzebował?

Nikt jej nie potrzebował.

Nikt. Łona pogodziła się z tym, co się działo.

Osiem ochotniczych matek sprawiło się dobrze. Okres ich ciąży został sztucznie przyśpieszony. Ich ciała przyjęły intruzów, karmiły własną krwią, otulały łóżyskiem. Cud medyczny? Tak. O ile bardziej fascynujące zupełne zerwanie z macierzyństwem!

Rząd lśniących pudeł. W każdym dzieląca się zygota. Szybkość podziału komórek zapierała oddech w piersiach. Łonie kręciło się w głowie. Wzrost odbywał się w korowej cytoplazmie zygoty w miarę ich podziału, a następnie w organach centralnych. „W miarę postępu procesu gastrulacji

osłona mezodermy rozszerza się ku przodowi od blastoporu, a jego przednia krawędź opiera się tuż za przyszłą soczewką ektodermy. Krawędź ta to w przyszłości serce i ono działa również jako induktor soczewki. W stadium, kiedy płaty nerwowe rozwijają się, przyszłe komórki soczewek lokalizują się w dwóch rejonach epidermy, które leżą równolegle do przedniego płata mózgowego. Gdy płat nerwowy zwija się w rurkę, przyszłe komórki siatkówki wysuwają się z przyszłego mózgu jako część nerwu wzrokowego." W ciągu sześciu miesięcy setka ruchliwych dzieci. Słowo, którego nigdy przedtem nie stosowano do ludzi, pojawiło się nagle na ustach wszystkich – „storaczki”.

Czemu nie? Jedna matka, jeden ojciec. Reszta nie była ważna.

Zastępcze matki, inkubatory – dawały ciepło i pożywienie, ale dla dzieci nie były matkami.

Kto był matką?

Ojciec nie liczył się. Sztuczne zapłodnienie nie wzbudzało zainteresowania. Statystycznie biorąc jeden mężczyzna mógł zapłodnić wszystkie kobiety na świecie (w ciągu dwóch popołudni.

Cóż z tego, że sperma jednego mężczyzny zapoczątkowała narodziny setki dzieci? Ale matka...

Jej nazwisko nigdy nie miało zostać ujawnione. Anonimowy dawca... Takie wyznaczono jej miejsce w historii medycyny. Sprawa była jednak zbyt interesująca, szczególnie, że nie miała jeszcze siedemnastu lat, szczególnie, że była samotna, szczególnie, że (jak przysięgali 1'lekarze) praktycznie była dziewicą. J W dwa dni po tym, jak narodziły się storaczki, E nazwisko i osiągnięcia Lony stały się tajemnicą publiczną.

Szczupłutka i wystraszona stała w światłach kamer.

– Czy sama nadasz dzieciom imiona?

– Jakie to uczucie, gdy wydobywa się jajeczka?

– Jakie to uczucie wiedzieć, że jesteś matką naj-1 większej rodziny w historii ludzkości?

– Czy wyszłabyś za mnie za mąż?

- Czy zamieszkałabyś ze mną?
- Pół miliona za wyłączność na twoją historię!
- Nigdy nie byłeś z mężczyzną?
- Jak zareagowałaś, gdy powiedziano ci, co będzie istotą eksperymentu?
- Czy poznałaś ojca?

I tak cały miesiąc. Jasna skóra zaróżowiona od blasku jupiterów.

Oczy rozszerzone, zmęczone, nabiegłe krwią. Pytania. Lekarze wokół niej kierujący odpowiedziami. Jej chwila sławy, oszałamiająca, zdumiewająca. Lekarze nie lubili tego tak samo jak ona. Nigdy nie ujawniliby jej nazwiska. Jeden z nich zrobił to za pieniądze i tama runęła. Teraz chcieli uniknąć dalszych błędów ucząc ją, jak ma udzielać odpowiedzi. Łona mówiła mało. Jej milczenie wynikało po części ze strachu, a po części z niewiedzy. Cóż mogła powiedzieć światu. Czego świat mógł chcieć od niej?

Przez krótki czas była cudem świata. Śpiewano o niej piosenki.

Głębokie, wibrujące akordy – smutny lament matki storaczków.

Słyszało się go wszędzie. Nie mogła już ich słuchać. Przyjdź, zrób mi dziecko! Zrób mi jeszcze sto! Jej niewielu przyjaciół wyczuło, że była naprawdę zakłopotana mówiąc o tym, więc celowo rozmawiali o innych rzeczach, o czymkolwiek, a w końcu w ogóle przestali rozmawiać. Zamknęła się w sobie. Zupełnie nieznani ludzie chcieli się dowiedzieć, jak to było z tą setką dzieci. Cóż mogła powiedzieć?

Sama przecież nie wiedziała. Dlaczego ułożyli o niej piosenkę?

Dlaczego plotkowali i byli tacy dociekliwi? Czego od niej chcieli?

Dla niektórych stanowiło to bluźnierstwo. W kościołach grzmiało.

Łona poczuła w nozdrzach zapach siarki. Dzieci płakały, przeciągały się i bulgotały. Raz je odwiedziła i rozplakała się. Jedno podniosła i przytuliła. Dziecko odebrano jej i ponownie

umieszczono w jego aseptycznym środowisku. Więcej nie pozwolono jej na odwiedziyny.

Storaczki. Sto sióstr i braci o tym samym kodzie genetycznym.

Jakie będą? Na kogo wyrosną? Czy można żyć w świecie, w którym będzie się miało stu braci i sióstr? To stanowiło część eksperymentu.

Miał on trwać całe życie. Wkroczyli psychologowie. Wiele wiedziano o pięcioraczkach, badano również sześcioraczki. Trzydzieści lat wcześniej urodziły się siedmioraczki. Ale storaczki?

Otwierało się nowe, niekończące się pole badań!

Ale bez Lony. Jej rola skończyła się już pierwszego dnia.

Uśmiechnięta pielęgniarka przetarła jej uda czymś chłodnym i szczypiącym. Mężczyźni patrzący obojętnie na jej ciało. Narkotyk.

Senna mgła, poprzez którą odczuła penetrację. Żadnych innych odczuć. Koniec. Dziękuję, panno

Kelvin. Jest pani wolna. Chłodny dotyk pościeli. Gdzieś zajmowano się już pożyczonymi komórkami jajowymi.

Moje dzieci. Moje dzieci. Światło w oczy!

Kiedy przyszedł czas na samobójstwo, Łonie nie całkiem się udało. Lekarze, którzy potrafili tchnąć życie w maleńki skrawek materii, potrafili również utrzymać życie w źródle, skąd ten skrawek pobrali. Przywrócili ją do zdrowia, a następnie o niej zapomnieli.

Dziewięciodniowy cud zapadł w niepamięć dnia dziesiątego.

Niepamięć, ale nie spokój. Spokoju nie można darować. Trzeba go zdobyć, wybierając tę trudną drogę wewnętrzną. Znowu życie w ciemności. Łona jednak nigdy nie będzie ta sama. Przecież gdzieś setka dzieci rosła i tyła. Dotarli nie tylko do jej jajników, ale do samej tkanki życia, żeby wydrzeć te dzieci, i wciąż drżała jeszcze w szoku.

W ciemności przebiegł ją dreszcz. | Niedługo spróbuję jeszcze raz – obiecywała sobie. | Tym razem nikt mnie nie zauważy. Tym razem pozwolą [ani. Zapadnę w długi sen.

Rozdział 9. NA POCZĄTKU BYŁO SŁOWO

Burrisowi wydawało się, że narodził się od nowa. Przez tak długie tygodnie nie opuszczał swego pokoju, że wydał mu się stałym schronieniem.

Aoudad tak zorganizował przejazd, żeby był dla niego jak najmniej bolesny. Wyruszyli w środku nocy, kiedy miasto spało.

Burris był ubrany w płaszcz z kapturem. Nadało mu to tak konspiracyjny wygląd, że nie mógł powstrzymać uśmiechu. Uznał jednak przebranie za konieczne. Kaptur dobrze go osłaniał i tak długo, jak trzymał głowę schyloną, chronił od przypadkowych spojrzeń. Gdy opuszczali budynek, Burris pozostawał w najdalszym kącie szybu zjazdowego modląc się, żeby nikt więcej nie zechciał z niego skorzystać. Nikogo na szczęście nie było. Przy wyjściu z budynku oświetliła go jednak na chwilę swobodnie unosząca się kula, właśnie gdy jeden z mieszkańców powracał do domu.

Mężczyzna zatrzymał się zaglądając pod kaptur. Twarz Burrisa pozostała bez wyrazu.

Przechodzień zamrugał nerwowo na ten niespodziewany widok. Surowa, zniekształcona twarz Burrisa spoglądała na niego zimno i mężczyzna ruszył dalej. Będzie go tej nocy prześladować mara senna. To było jednak lepsze, pomyślał Burris, niż gdy senna mara na stałe zagości w życiu, jak to zdarzyło się jemu.

Samochód czekał tuż za rogiem budynku.

– Chalk zazwyczaj nie odbywa spotkań o tej porze – trajkotał Aoudad – ale musisz zrozumieć, że to coś wyjątkowego. On chce okazać ci wszelkie względy.

– Wspaniale – powiedział Burris ponuro. Wsiadli do samochodu. To było jak wymiana jednej macicy na drugą, mniej przestronną, ale bardziej przytulną. Burris rozsiadł się na kanapce, która starczyłaby dla kilku osób, ale wyraźnie była ukształtowana dla jednej pary ogromnych pośladków.

Aoudad usiadł obok niego na innym siedzeniu. Samochód sunął gładko z szumem turbin. Jego transpondery pochwytyły emanacje najbliższej autostrady. Wkrótce pozostawili miasto za sobą i

mknęli drogą o ograniczonym dostępie.

Okna samochodu na szczęście nie były przejrzyste. Burris zrzucił kaptur. Zaczął przyzwyczajać się po trochu do pokazania się innym ludziom. Aoudad, który zdawał się nie zwracać uwagi na zniekształcenia Burrisa, okazał się dobrym obiektem treningowym.

– Napijesz się? – zapytał Aoudad. – Zapalisz? A może jakiś środek podniecający? i – Nie.

Dziękuję.

– Możesz korzystać z takich rzeczy w twoim stanie? Burris uśmiechnął się ponuro.

– Mój metabolizm jest w zasadzie taki sam jak twój, i nawet w tym stanie. Kanalizacja jest tylko inna. Jem naszą żywność i piję nasze napoje, ale teraz dziękuję. I – Tak się tylko zastanawiałem.

Wybacz moją cieka-Iwość!

– Oczywiście.

– A inne funkcje?

– Poprawili erekcję. Nie wiem, co zrobili z reprodukcją. Organy są na miejscu, ale czy funkcjonują? Nie miałem ochoty przeprowadzać takiej próby. Mięśnie lewego policzka Aoudada ściągnęły się w dziwnym skurczu. Ta reakcja nie uszła uwagi Burrisa.

Dlaczego jest tak zainteresowany moim życiem seksualnym?

Chorobliwa ciekawość czy coś więcej?

– Wybacz moją ciekawość – powiedział Aoudad.

– Już wybaczyłem – Burris odchylił się do tyłu i poczuł, że fotel wyczynia z nim dziwne rzeczy.

Pewnie masaż. Oczywiście był spięty i nieszczęsny fotel robił, co mógł. Był jednak zaprogramowany na człowieka o większej tuszy. Dobywało się z niego brzęczenie, jak gdyby obwody były przeciążone. Czy problem wynikał tylko z różnicy rozmiarów – zastanawiał się Burris – czy też wywołany został zmianami anatomicznymi?

Zwrócił uwagę Aoudada na fotel. Aoudad szybko go wyłączył. Z uśmiechem Burris pogratulował

sobie, że osiągnął stan łagodnego odprężenia. Nie użył żadnych gorzkich sformułowań od czasu, gdy pojawił się Aoudad. Był spokojny, nie czuł żadnych zaburzeń, utrzymywał się w równowadze. Dobrze. Dobrze. Zbyt wiele czasu spędził w samotności, pozwalając się niszczyć swoim nieszczęściem.

– No, to jesteśmy w biurze Chalka.

Budynek był stosunkowo niski. Miał najwyżej trzy lub cztery piętra, ale dobrze odbijał od wieżowców, które go otaczały. Jego pozioma bryła kompensowała brak wysokości. Posągi aniołów stały po lewej i po prawej stronie, na szeroko rozstawionych nogach.

Burriss, korzystając ze swych rozbudowanych możliwości widzenia, starał się zajrzeć za rogi budynku i stwierdził, że gmach jest prawdopodobnie ośmiokątny. Ściana zewnętrzna, wykonana z matowego, brązowego metalu, była starannie wykończona i ozdobiona wzorami ułożonymi z kamieni. Nie było widać żadnych świateł. Budynek nie miał okien.

Jedna ze ścian otwarła się nagle przed nimi, gdy ukryta brama uniosła się cicho. Samochód przemknął przez wjazd i zatrzymał się we wnętrzu budynku. Właz otworzył się. Burriss zdał sobie sprawę, że niski człowiek o jasnych oczach zagląda do samochodu i przypatruje mu się.

Przeżył chwilę szoku, gdy tak niespodziewanie stanął oko w oko z obcym człowiekiem. Opanował się jednak i sam zaczął się przyglądać obcemu. A warto było mu się przyjrzeć. Odrażająco brzydki i bez udziału chirurgów. Prawie bez szyi. Gęste, ciemne, posklejane włosy opadały mu na kołnierz. Duże, odstające uszy. Wąski nos. Cienkie usta skrzywione teraz odrażającą fascynacją. Nie był piękną.

| – Minner Burriss, Leontes d'Amore z personelu | Chalka – przedstawił ich Aoudad. | – Chalk nie śpi. Czeka – powiedział d'Amore. Nawet głos miał brzydki.

A jednak codziennie wychodzi na miasto – pomyślał Burriss.

Ponownie osłonięty kapturem pozwolił się prowadzić płataniną pneumatycznych przewodów aż do

ogromnej hali, w której miejsca pracy rozrzucone zostały na różach poziomach. W tej chwili prawie nikt nie pracował. przy biurkach nie było nikogo, ekrany milczały. Salę zalewało łagodne światło termoluminescencyjnych postów. Obracając się wolno, Burris powiódł wzrokiem i sali i u szczytu kryształowych szczebli dostrzegł ogromną sylwetkę ludzką siedzącą pod sufitem, jak na mię. Oczywiście Chalk.

Burris znieruchomiał pochłonięty tym widokiem, zapominając o milionach ukłuc bólu, jakie mu stale towarzyszyły. Taki wielki?

Taki opasły? Musiał pożreć całe stado bydła, żeby dorobić się takiej wagi.

Stojący obok Aoudad delikatnie popchnął go w przód, wpychając się przed dotknięciem łokcia Burrisa.

– Chciałbym cię zobaczyć – powiedział Chalk cichym, przyjaznym głosem. – Wejdź tu do mnie na górę, Burris.

Jeszcze chwila i stanęli twarzą w twarz. Burris zrzucił kaptur i płaszcz.

Niech popatrzy. Nie mam się czego wstydzić przed tą górą mięsa.

Łagodny wyraz twarzy Chalka nie uległ zmianie. Oglądał Burrisa uważnie, z dużym zainteresowaniem i bez najmniejszej oznaki odrazy.

Odprawił Aoudada i d'Amore'a niedbałym ruchem mięsistej dłoni.

Pozostali sami w ogromnej, mrocznej sali.

– Odwalili z tobą kawał roboty – zauważył Chalk. – Czy chociaż wiesz, dlaczego to zrobili?

– Czysta ciekawość, a także dążenie do doskonałości. Są bardzo ludzcy na swój nieludzki sposób.

– Jak oni wyglądają?

– Gruzłowaci, skórzaści. Wolałbym o tym nie mówić.

– Dobrze.

Chalk nie wstał. Burris stał przed nim z założonymi rękami. Małe zewnętrzne macki zwijały się i

rozwijały. Poczul za sobą krzesło.

Usiadł nie proszony.

– Masz tu wspaniałe biuro – powiedział. Chalk uśmiechnął się, ale pozostawił uwagę Burrisa bez odpowiedzi.

– Czy bolą? – zapytał.

– Co?

– Te... zmiany.

– To duża uciążliwość. Nasze środki przeciwbólowe niewiele pomagają. Musieli coś zrobić z łańcuchami nerwowymi i nikt teraz nie wie, gdzie można zastosować blokadę. Ale można wytrzymać.

Mówiono mi, że po amputacji ludzie przez całe lata odczuwają ból w nieistniejącej kończynie.

Myślę, że to takie samo odczucie.

– A czy usunięto ci jakieś kończyny?

– Wszystkie. Później przyłączono je znowu, ale w inny sposób.

Lekarze, którzy mnie badali, byli bardzo zadowoleni z moich stawów, ścięgien i więzadeł. To są moje własne, oryginalne ręce, tylko nieco zmienione.

Moje stopy. Nie jestem zupełnie pewien, ile z tego jest moje, a ile dodali oni. – A wewnątrz?

- Wszystko zmieniono. Chaos. Raport jest w przyzwaniu. Na ziemię wróciłem niedawno. Przez pełn czas badali mnie, ale w końcu zbuntowałem – Dlaczego?

- Zaczynałem być rzeczą nie tylko dla nich, ale i dla siebie. Nie jestem rzeczą. Jestem istotą ludzką, której połowę zmieniono, ale przecież jestem nadal człowiekiem. Jak się skaleczę, to polecą krew.

Co możesz zrobić dla mnie, Chalk?

- Cierpliwości, cierpliwości – powiedział Chalk gestykułując mięsistą dłonią. – Chciałbym wiedzieć coś o tobie. Byłeś oficerem floty kosmicznej? Tak. Akademia i tak dalej?

Naturalnie.

Musiałeś być dobry. Otrzymałeś trudne zadanie. pierwsze lądowanie na planecie istot inteligentnych – zawsze niezawodny. Ilu było w twoim zespole?

- Trzech. Wszyscy byliśmy operowani. Prolisse ri pierwszy.

Później Malcondotto. Mieli szczęście.

- Nie lubisz swego obecnego ciała?

- Ma swoje zalety. Lekarze twierdzą, że będę mógł [około pięciuset lat. Jest bolesne, a także kłopotliwe. i y nie chciałem być potworem.

- Nie jesteś tak brzydki, jak sobie wyobrażasz – ważył Chalk. – No, tak. Dzieci uciekają od ciebie eykiem i tak dalej. Dzieci są konserwatywne. Boją się tej nowości. Twarz twoja jest pod pewnymi względami całkiem atrakcyjna. Założyłbym się, że sporo kobiet oby u twoich stóp.

Nie wiem. Nie próbowałem.

Groteskowość może pociągać, Burris. Po urodzeniu ważyłem ponad dwadzieścia funtów. Waga nigdy i nie przeszkadzała. Myślę o niej jako o atucie.

– Miałeś całe życie, żeby się do niej przyzwyczać powiedział Burris. – Dostosowujesz się do niej na tysiąc sposobów. Również jest to kwestia twojego wyboru. stałem się ofiarą niezrozumiałego kaprysu. Zostało zgwałcony, Chalk.

– Chciałbyś to wszystko odwrócić?

– A jak myślisz?

Chalk kiwnął głową. Opuścił powieki i wydawało się że zapadł w sen. Burris czekał, zaskoczony, ponad minutę. Nie poruszając się Chalk odezwał się znowu.

– Chirurdzy na Ziemi mogą przeprowadzić trać plantację mózgu z jednego ciała do drugiego.

Burris poderwał się opanowany nerwowym podnieceniem.

Jakiś nowy organ w głębi jego ciała wystrzelił dawkę nieznanego hormonu w plątaninę dziwności

dwóch serc. Poczul zawrót głowy.

Przewalał się wśród fal bijących o brzeg, które raz po raz wyrzucały go na ostry piasek – Czy technologia tego procesu interesuje cię? ciągnął Chalk spokojnie.

Macki na rękach Burrisa wiły się w niekontrolowany sposób.

Chalk mówił dalej gładko: – Mózg musi zostać chirurgicznie odizolował wewnątrz czaszki poprzez oddzielenie wszystkich przyległych tkanek. Sama czaszka będzie zachowana do podtrzymania i ochrony mózgu.

Naturalnie pełna homostatyka zostanie zachowana podczas całego długiego okresu antykoagulacji.

Istnieją techniki z mknięcia dna czaszki i kości czołowej w celu powstrzymania krwotoku. Funkcje mózgu nadzorowane są prą system elektrod i sond termicznych.

Cyrkulacja krwi zapewniona przez połączenie wewnętrznych arterii szyjnej i szczękowej. Pętla naczyniowa, rozumiesz Oszczędzę ci szczegółów, w jaki sposób usuwa się by pozostawić tylko żywy mózg. W końcu rdzeń pacierzowy zostaje przecięty i mózg całkowicie odizolowany.

Odżywiany jest przez własny system szyjny. Tymczasem przygotowuje się ciało biorcy. Tętnice szyjne zostają przecięte, podobnie jak główne mięśnie kar-k. Mózg. Umieszczony na miejscu po uprzedniej kąpieli roztworze antybiotyków. Tętnice szyjne przeszczepia-Igo mózgu połączone są z tętnicami ciała biorcy. Wszystko to dokonuje się w zamrożeniu, by zminimalizować ból uszkodzenia.

Kiedy już cyrkulacja przeszczepianego mózgu zostanie połączona z ciałem biorcy, temperaturę doprowadza się do normalnej i rozpoczyna normalną procedurę pooperacyjną. Konieczny jest długi okres rehabilitacji, zanim przeszczepiony mózg obejmie kontrolę nad funkcjami ciała biorcy. Niezwykłe.

Niewielkie to osiągnięcie w porównaniu z tym, co zrobiono – przyznał Chalk. – Dokonywano tego eksperymentu z powodzeniem na wyższych ssakach, naczelnych. A z ludźmi? Nie. Więc...

Używano pacjentów w bardzo złym stanie. Mózgi wszczepiano niedawno zmarłym. W tej sytuacji trudno o sukces. Mimo tego w kilku przypadkach sukces wydaje się pewny. Jeszcze trzy lata i ludzie będą wymieniać mózgi tak łatwo, jak dziś ręce i nogi. Burris źle znosił uczucia gwałtownej nadziei, jakiej używał.

Temperatura jego skóry nieprzyjemnie się uniosła. W gardle pulsowało.

- Zbudujemy dla ciebie syntetyk – zaproponował. Postaramy się odtworzyć możliwie wiernie twój dawny wygląd. Zestawimy golema z banku organów, ale połączymy mózgu. Będą oczywiście różnice, ale idzie będziesz integralny. Jesteś zainteresowany?

– Nie zniżaj się nade mną, Chalk.

– Daję ci słowo, że mówię poważnie. Przeszkadzają nam dwa problemy techniczne. Musimy opanować technikę pełnego montażu ciała-biorcy i musimy utrzymać jego procesy życiowe do chwili, kiedy będziemy mogli dokonać z powodzeniem transplantacji mózgu. Dwa lata zajmie nam stworzenie golema. Pięć lat, Burris, i będziesz znowu człowiekiem.

– Ile to będzie kosztować?

– Może sto milionów. Może więcej. Burris zaśmiał się chrapliwie. Jego język obecnie podobny do węzowego mignął w ustach.

– Jestem gotów pokryć cały koszt pańskiej rehabilitacji – powiedział Chalk.

– Pan fantazjuje!

– Proszę wierzyć w moje możliwości. Czy chce pozbyć się swego obecnego ciała, jeżeli dostarczę < bardzo zbliżonego do ciała ludzkiego?

Było to pytanie, którego Burris nigdy się nie spodziewał. Był tak zaskoczony, że się zawahał. Nie znosił tego ciała. Był przytłoczony wagą tej rzeczy, którą mu narzucono. Czyżby zaczynał lubić tę obcość?

– Im prędzej się go pozbędę, tym lepiej – powiedział po chwili milczenia.

– Dobrze. W takim razie stajemy wobec problemu pańskiego przeżycia tych pięciu lat. Proponuję dokonanie kilku modyfikacji twarzy tak, żeby mógł się pan poruszać wśród ludzi. Czy to pana interesuje?

– Tego nie można zrobić. Zastanawialiśmy się o tym z lekarzami, którzy badali mnie po powrocie. Mam w sobie mnóstwo nieznanymi antyciał i odrzucam każdy przeszczep, i – Czy myślisz, że to prawda, czy też że mówili ci prostu wygodne kłamstwa? i – Myślę, że to prawda.

– Wyślę cię do szpitala – zaproponował Chalk. i

Przeprowadzimy próby dla sprawdzenia wcześniejszej diagnozy.

Jeżeli to prawda, no to trudno. Jeżeli nie, ułatwimy ci nieco życie.

– Dlaczego to robisz, Chalk? O co tu chodzi? Tłusty człowiek obrócił się i pochylił do przodu tak, że jego oczy znalazły się o kilka cali od twarzy Burrisa. Burris przyglądał się dziwnie delikatnym wargom, zgrabnemu nosowi, ogromnym policzkom i zapuchniętym powiekom. Cichym głosem Chalk wyszeptał: – Cena jest wysoka. Będziesz czuł odrazę. Odrzucisz całą transakcję.

– Jaka jest cena?

– Dostarczam popularnej rozrywki. Oczywiście moje nakłady się nie zwrócą, ale chciałbym odzyskać, co się da.

– A cena?

– Prawo wyłączności na twoją historię – powiedział Chalk. – Poczynając od schwytania ciebie przez obcych, poprzez twój powrót na Ziemię i trudny okres | przystosowywania się do nowych warunków oraz cały okres rehabilitacji. Świat już wie, że trzech ludzi dotarło | do planety zwanej Manipool, dwóch zginęło, a trzeci [wrócił, ale padł ofiarą medycznych eksperymentów. (Tyle ujawniono, a potem zniknąłeś z horyzontu. Chcę, |żebyś znów się ukazał. Chcę pokazać, jak na nowo [odkrywasz swą ludzką naturę, jak nawiązujesz kontakty |z ludźmi, jak wydostajesz się z piekła i w końcu pokonujesz swoje nieszczęście i wychodzisz z tego oczyszczony. Będzie to

naruszała twoją prywatność i jestem przygotowany na twoją odmowę.

Ostatecznie można się spodziewać...

– Czy to nowa forma tortur? | – To jest ciężkie przejście – przyznał Chalk. Jego szerokie czoło pokryte było potem. Był zaczerwieniony napięty jak gdyby przeżywał jakieś wewnętrzne przesilenie.

– Oczyszczony – szepnął Burris. – Oferuje czyściec.

– Możesz to tak nazwać.

– Ukrywani się od wielu tygodni, a teraz mar nać nagi przed światem na pięć lat?

– Wszystkie koszty zostaną pokryte.

– Wszystkie koszty pokryte – powiedział Burris. Tak. Tak! Zgadzam się na tę torturę. Będę twoją z; ką, Chalk. Tylko istota ludzka mogłaby odrzucić ofertę. Ale ja ją przyjmuję. Tak, przyjmuję!

Rozdział 10 PODRYW

Jest w szpitalu – powiedział Aoudad. – Rozpoczęli już badania.

Odociągnął ją za sukienkę.

Zdejmij ją, Elise!

Elise Prolisse odtrąciła jego natarczywą rękę. Czy rzeczywiście Chalk przeniesie go do ciała

Nie mam co do tego wątpliwości. Gdyby Marco powrócił żywy, mógłby również uratować.

Loudad nie dał się sprowokować.

- Za dużo tu gdyby. Marco nie żyje. Rozepnij sukienkę kochanie!

Poczekaj. Czy mogę odwiedzić Burrisa w szpitalu? Myślę, że tak. Czego ty od niego chcesz?

Pogadać. Był ostatnim, który widział mojego męża żywego. Pamiętasz? Może mi powiedzieć, jak

umarł. Lepiej, żebyś nie znała szczegółów – powiedział id łagodnie. – Marco umarł, kiedy chcieli

zrobić z niego istotę, jaką stał się Burris. Gdybyś zobaczyła Burris zdałabyś sobie sprawę, iż lepiej

się stało, że umarł. Wszystko jedno... Lepiej, żebyś nie wiedziała. Chciałam się z nim spotkać –

mówiła Elise z rozmarzeniem – kiedy tylko wrócił. Chciałam rozmawiać o Marco i o tym drugim, Malcondotto. On również zostawił żonę. Nie dopuścili mnie do niego. A późni Burris zniknął.

Mógłbyś mnie tam zawieźć?

– Dla twojego dobra powinnaś trzymać się z dala stwierdził Aoudad. Jego ręce błądziły po jej ciele, poszukując, wynajdując magnetyczne zapięcia, rozłączając je. Sukienka otwarła się, ujawniając ciężkie białe piersi o ciemnoczerwonych wierzchołkach.

Poczuł ukłucie pożądania. Chwyciła go za ręce, sięgające ku jej piersiom – Pomożesz mi spotkać się z Burrisem? – spytał – Ja...

– Pomożesz mi spotkać się z Burrisem. – Ty: razem nie było to pytanie.

– Tak. Tak!

Ręce blokujące mu drogę ustąpiły. Drżąc Aouda zdjął z niej suknię. Była przystojną kobietą. Nie pierwszej młodości, obfitych kształtów, ale przystojna. (Włosi! Biała skóra, ciemne włosy.

Sensualissima\ Niech się spotka z Burrisem, jeżeli chce. Czy Chalk będzie się sprzeciwiał? Chalk już dał do zrozumienia, czego oczekiwał. Burris i ta dziewczyna – Kelvin. Ale może przedtem Burris i wdowa Prolisse? W głowie mu wirowało.

Elise patrzyła z zachwytem na jego szczupłe, mocne ciało unoszące się nad nią.

Ostatnia część jej ubrania opadła. Patrzył na l białość z wyspami czerni i czerwieni.

– Jutro to załatwisz – powiedziała.

– Tak. Jutro.

Opadł na jej nagość. Wokół lewego uda nosiła czarną aksamitną opaskę. Żałoba po Marco

Prolisse, który zginął niezrozumiałą śmiercią, zadaną przez niezrozumiałe istoty na niezrozumiałej planecie. Pover'uomo Ciało jej płonęło. Zachodziła w nim reakcja łańcuchowa. Tropikalna dolina tylko na niego czekała. Wszedł. Prawie natychmiast wydała zduszony okrzyk ekstazy.

Rozdział 11 DZIEJE WŚRÓD NOCY

Szpital leżał na skraju pustyni. Długi i niski budynek w kształcie litery U, którego ramiona otwierały się ku dołowi. Promienie wschodzącego słońca ślizgały się wzdłuż nich, dopóki nie natrafiły na część poprzeczną łączącą oba skrzydła. Cały budynek pokryty był szarym piaskowcem o lekkim czerwonym odcieniu. Tuż na chód od budynku, czyli za jego główną częścią, ciągnął się wąski pas ogrodu, a zaraz za nim zaczynała się sucha, brązowawa pustynia.

Pustynia nie była pozbawiona życia. Gęsto pojawiały się sztywne kępki bylicy. Pod spaloną powierzchnią wiły się tunele gryzoni. Przy odrobinie szczęścia można było zobaczyć skoczki pustynne, a w dzień świerszcze. Kaktusy, euforbie i inne pustynne rośliny pokrywały nie.

Niektóre przejawy życia pustynnego dotarły również na teren szpitala. Ogród na tyłach szpitala był ogrodem pustynnym pełnym suchych, kolczastych roślin. Dziedziniec pomiędzy ramionami budynku również porastały kaktusy. Rósł tu kaktus saguaro sześciokrotnie wyższy od człowieka, o przysadzistym pniu z pięcioma wyciągniętymi ku niebu ramionami. Po obu jego stronach stały dwa pokraczne okazy kaktusa o solidnym pniu i dwóch niewielkich ramionach, jak gdyby wzywających pomocy, i garstce powykęcanych wyrostków na wierzchołku.

Dalej przy ścieżce rosły trzy groteskowe kaktusy cholla, a naprzeciw nich przysadziste, mocne najeżone kolcami kaktusy wodne. Wysokie laski opuncji piękne zwoje cereusa. Te ogromne, najeżone kolcami przysadziste potwory potrafiły również zrodzić delikatne, blade kwiaty – żółte, fioletowe i różowe. Ale te w innej porze roku. Teraz jednak trwała zima. Powie trze było suche, niebo błękitne i bezchmurne, chociaż śnieg i tak nigdy tu nie padał. To miejsce jakby ponadczasowe.

Wilgotność powietrza bliska zera. Wiatr bywa chłodny, niezmienny, mimo skoków temperatury sięgających pięćdziesięciu stopni.

Tu właśnie latem, sześć miesięcy temu przywiezione Lonę Kelvin, po próbie samobójstwa. Wiele kaktusów wtedy już przekwitło. Teraz Łona wróciła i znowu nie trafiła na okres kwitnienia.

Przyjechała trzy miesiące za późno. Byłoby dla niej lepiej, gdyby swoje instynkty samobójcze lepiej korelowała z porami roku.

Lekarze stali nad jej łóżkiem i rozmawiali o niej, jak gdyby jej tu wcale nie było.

– Tym razem będzie ją łatwiej wyleczyć. Nie ma potrzeby leczyć złamań. Wystarczy przeszczep tkanki płucnej i będzie jak nowa.

– Do następnego razu.

– Tym ja się nie będę martwić. Niech ją wyślą na psychoterapię.

Ja mogę tylko wyleczyć ciało.

– Które nie jest chore. Raczej nadużyte.

– Uda jej się, wcześniej czy później. Każdemu zdeterminowanemu samobójcy w końcu się udaje.

Mogą wejść do konwertera jądrowego lub innego urządzenia, albo wyskoczyć z pięćdziesiątego piętra. Mokrej plamy z molekuł już nie skleimy.

– Nie obawiasz się, że podsuwasz jej pomysły?

– Jeżeli słucha. Sama mogłaby na to wpaść, gdyby chciała.

– Może masz rację. Może w rzeczywistości nie jest aż tak zdeterminowana. Może to autoreklama.

– Mogę się z tobą zgodzić. Dwa zamachy samobójcze w ciągu sześciu miesięcy i oba nieudane, podczas gdy wystarczyło otworzyć okno i wyskoczyć...

– Oddech pęcherzykowy?

– Ale nie najgorszy.

– Ciśnienie krwi?

– Rośnie. Wydzielanie gruczołów nadnercza spadło. Następuje poprawa.

– Za trzy dni wyjdzie na spacer po pustyni.

– Będzie potrzebowała odpoczynku, kogoś, z kim będzie mogła porozmawiać... Dlaczego, u diabła, ona chce umrzeć?

– Kto wie? Nie myślałem, że będzie na tyle inteligentna, żeby chcieć się zabić.

– Bojaźń i drzenie. Śmiertelna choroba.

– Anomia jest podobno zastrzeżona dla bardziej skomplikowanych...

Odeszli od łóżka pogrążeni w rozmowie. Łona nie otworzyła oczu. Nie potrafiła nawet zorientować się, ilu ich tam było. Trzech – pomyślała. Więcej niż dwóch, mniej niż czterech. Tak jej się przynajmniej wydawało. Ich głosy były tak do siebie podobne.

Właściwie się ze sobą nie kłócili. Po prostu wymieniali opinie.

Dlaczego ją ocalili, skoro mieli o niej tak złą opinię?

Tym razem była pewna, że umrze.

Jest mnóstwo sposobów, żeby się zabić. Łona była na tyle bystra, że potrafiła wymyślić najbardziej pewne, a jednak nie potrafiła się zdobyć na skorzystanie z jednego z nich i to nie ze względu na spotkanie ze śmiercią, ale ze względu na strach przed tym, co może spotkać na drodze. Poprzednim razem rzuciła się pod ciężarówkę. Nie na autostradzie, gdzie pojazdy pędziły w jej kierunku z szybkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę, i szybko i skutecznie mogły obrócić ją w krwawą miazgę,

ale na ulicy w mieście, gdzie została przewrócona; połamana, ale nie zmiażdżona zupełnie i odrzucona na ścianę budynku. Odbudowano jej kości. Po miesiącu mogła już chodzić i nie miała żadnych zewnętrznych blizn.

A wczoraj... to wydało się takie proste. Przejść przez hol budynku do pomieszczenia, w którym likwidowano odpadki, i omijając przepisy otworzyć wlot, wsadzić głowę i zrobić głęboki oddech, wciągając gryzące opary...

Gardło, płuca, pulsujące serce powinny się były rozpuścić.

Gdyby przez godzinę pozostawiono ją leżącą w drgawkach na podłodze, pewno by się rozpuściły, ale już po kilku minutach nadeszła pomoc. Wlano jej w gardło jakąś substancję neutralizującą,

wepchnięto ją do samochodu. Stacja pierwszej pomocy. Potem szpi- tal o tysiąc mil od domu.

Żyła.

Była zraniona. Spaliła sobie przewody nosowe, uszkodziła gardło, straciła dużą część płuca.

Zeszłej nocy naprawili drobniejsze uszkodzenia. Nos i gardło już się goiły. Za kilka dni znowu będzie miała zdrowe płuca. Śmierć tu już nie panowała.

Blade słońce oświetliło jej policzki. Było późne popołudnie.

Słońce zniknęło za bryłą szpitala, dążąc nad Pacyfik. Łona otworzyła oczy. Białe fartuchy, białe prześcieradła, zielone ściany. Kilka książek. Kilka taśm. Jakiś sprzęt medyczny starannie przykryty warstewką przejrzystego, natryskowego tworzywa. Prywatny pokój!

Kto za to płaci? Ostatnim razem płacili rządowi naukowcy. A teraz?

Z okna widać było powykręcane, kolczaste kształty kaktusów tylnego ogrodu. Mrużąc oczy wypatrzyła dwie postaci, poruszające się między rzędami sztywnych roślin. Jedną był wysoki mężczyzna w płowożółtym szlafroku szpitalnym. Jego ramiona były niezwykle szerokie,

Ręce i twarz zabandażowana. Poparzył się – pomyślała Łona.

Biedak. Obok niego siedł niższy mężczyzna w garniturze, szczupły i nerwowy. Ten wyższy pokazywał drugiemu jakiś kaktus. Coś mu opowiadał. Może o botanice kaktusów. Teraz sięga zabandażowaną dłonią. Dotyka długich, ostrych kolców. Uważaj! Pokaleczysz się!

Wbija swą rękę na kolce! Odwraca się do niższego. Pokazuje. Niższy potrząsa głową. Nie, on nie chce nadziać się na kolce.

Ten wysoki musi być trochę szalony – pomyślała Łona.

Patrzyła, jak zbliżali się do okna. Zauważyła spiczaste uszy niższego i szare, małe oczka. Twarzy wyższego wcale nie mogła dojrzeć. Tylko cienkie szparki widniały w białej ścianie bandaża.

Łona szybko wyobraziła sobie szczegóły jego okaleczeń: zmarszczona skóra, ciało po-brużdżone i powypalane płomieniami, usta wykrzywione w zastygłym wyrazie szyderstwa. Ale to można

naprawić. Tu na pewno mogą mu stworzyć nową twarz. Wyjdzie z tego.

Łona czuła głęboką zazdrość. Tak. Ten mężczyzna przeżył ból.

Ale doktorzy wkrótce to naprawią. Jego ból był jedynie bólem zewnętrznym. Odeślą go wysokiego, silnego i ponownie przystojnego do żony, do... dzieci.

Drzwi otworzyły się. Weszła pielęgniarka. Kobieta, a nie robot.

Zachowywała się jednak jak robot. Jej uśmiech był pusty, bezosobowy.

– O, obudziłaś się już, moja droga? Dobrze spałaś? Nie staraj się mówić. Skiń głową. Tak, to bardzo dobrze. Przyszłam przygotować cię. Będziemy naprawiać twoje płuca. Nic nie poczujesz.

Zamkniesz tylko oczy, a jak się obudzisz, będziesz oddychać jak nowo narodzona.

Była to, jak zwykle, prawda.

Kiedy ją odwieźli do pokoju, wstawał ranek. Stąd Łona wiedziała, że pracowali nad nią kilka godzin, a następnie spędziła pewien czas w pokoju pooperacyjnym. Teraz i ją całą zabandażowano.

Otworzyli jej ciało. Dali nowe fragmenty płuc, a następnie zaszyli ranę. Nie czuła bólu. Jeszcze nie.

Pulsujący ból przyjdzie później. Czy będzie miała bliznę? Po operacjach zdarzały się blizny, nawet w dzisiejszych czasach. Łona spostrzegła poszarpaną, czerwoną kreskę, biegnącą od dołka u nasady szyi w dół między piersiami. Proszę, żeby nie było blizny!

Miała nadzieję, że umrze na stole operacyjnym. Wydawało się, że to jej ostatnia szansa. Teraz będzie musiała wrócić do domu żywa, nie zmieniona.

Wysoki mężczyzna znowu spacerował w ogrodzie. Tym razem był sam. Już bez bandażu. Chociaż był odwrócony tyłem, Łona widziała jego odsłoniętą szyję i zarys szczęki. Znowu przyglądał się kaktusom. Co w tych okropnych roślinach tak go przyciągało? Ukląkł teraz. Dotyka kolców.

Wstaje. Odwraca się.

– Och, biedny człowiek!

Łona wstrząśnięta i zadziwiona wpatrywała się w jego twarz. Stał zbyt daleko, żeby mogła dostrzec

szczególności, ale to, że z nią coś nie w porządku – było oczywiste.

To musiało wynikać z operacji – pomyślała. Po pożarze. Ale dlaczego nie mogli dać mu zwyczajnej twarzy? Dlaczego mu to zrobili?

Nie mogła oderwać od niego oczu. Widok tych sztucznych rysów fascynował ją. Szedł w kierunku budynku poruszając się wolno, z dużą pewnością siebie. To silny mężczyzna. Mężczyzna, który może cierpieć i znieść to cierpienie. Żał mi go. Chciałabym mu pomóc.

Pomyślała, że zachowuje się głupio. Miał rodzinę. Da sobie radę.

Rozdział 12 NIEGROŻNE PIEKŁO

Zła wiadomość dotarła do Burrisa piątego dnia jego bytu w szpitalu. Przebywał jak zwykle w ogrodzie. wyjechał Aoudad.

– Nie może być żadnych przeszczepów skóry. Tak twierdzą lekarze. Jesteś pełen zwariowanych antyciał.

– To już wiem – odparł spokojnie.

– Nawet twoja własna skóra odrzuca twoją skórę.

– Trudno ją za to winić. – Minęli saguaro. E– Możesz nosić jakąś maskę. To może być trochę niewygodnie, ale w dzisiejszych czasach robią dobre maski. Nie utrudniają oddychania skóry.

Porowaty plas- – Przyzwyczaiłbyś się w ciągu tygodnia.

– Pomyślę o tym – powiedział Burris. Ukląkł obok wielkiego kaktusa. Wypukłe rzędy kolców wspinały 'Spiralnie ku wierzchołkowi. Wydawało się, że tworzą pączki kwiatów. Niewielka lśniąca tabliczka przed nimi informowała: Echinocactus grusonii. Burris głośno przeczytał nazwę.

– Dlaczego te kaktusy tak bardzo cię fascynują? Co nich widzisz? – zapytał Aoudad.

– Piękno.

– W nich? To same kolce!

– Kocham kaktusy. Chciałabym żyć na wieki w ogrodzie pełnym kaktusów.

Czubkiem palca dotknął kolca.

– Czy wiesz, że na Manipool mają prawie wyłącznie kolczaste kaktusy? Nie wyglądają oczywiście jak kaktusy, ale efekt jest ten sam. To pustynna planeta. Pasy opadów wokół biegunów, a im bliżej równika, tym suchszy klimat. Na równiku pada raz na miliard lat.

Może trochę częściej w strefach umiarkowanych.

– Czyżbyś tęsknił za tym?

– Nie. Ale tam nauczyłem się piękna cierni.

– Ciernie? Przecież one kłują.

– To jest częścią ich piękna.

– Brzmi to zupełnie, jakbym słuchał Chalka – mruknął Aoudad. – On zawsze mówi: cierpienie uszlachetnia, ból to korzyść.

A teraz ciernie są piękne. Wolę róże.

– Róże mają kolce – zauważył Burris spokojnie.

– No, to tulipany. Tak, tulipany. Aoudad wydawał się zakłopotany.

– Cierń jest tylko odmienną formą liścia. Dostosowanie się do nieprzyjaznego środowiska. Kaktusy nie mogą tak oddychać, jak oddychają rośliny liściaste. Muszą się przystosować. Przykro słyszeć, że tak elegancką formę dostosowania się uważasz za brzydką.

– Nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałem. Słuchaj, Burris.

Chalk chciałby, żebyś został tu jeszcze tydzień lub dwa. Jest jeszcze kilka testów do zrobienia.

– Ale jeżeli chirurgia twarzy jest niemożliwa...

– Chcieliby zrobić kilka badań ogólnych pod kątem transplantacji mózgu.

– Rozumiem – Burris skinął głową. Odwrócił się do słońca pozwalając, żeby słabe zimowe promienie oświetlały jego przemienioną twarz. – Jak to przyjemnie znowu przebywać na słońcu.

Jestem ci wdzięczny, Bart. Czy wiesz o tym? Wyciągnąłeś mnie z tego pokoju, z tej nocy, w którą

zapadła moja dusza. Czuję, że wszystko we mnie topnieje, uwalnia się, porusza. Czy niewłaściwie używa metafory? Czy widzisz, że jestem znacznie mniej usztywniony?

– Czy czujesz się na tyle rozluźniony, żeby przyjąć gościa?

– Kogo? – Burris stał się natychmiast podejrzliwy.

– Wdowę po Marco Prolisse.

– Elise? Myślałem, że jest w Rzymie!

– Rzym to tylko godzina lotu stąd. Bardzo chciałaby ' z tobą zobaczyć. Twierdzi, że to władze nie dopuściły waszego spotkania. Nie zmuszam cię, ale myślę, że winieneś się z nią spotkać. Mógłbyś założyć bandaż.

– Nie, już nigdy więcej ich nie założę. Kiedy tu będzie?

– Już jest. Powiedz słowo, a sprowadzę ją.

– A zatem przyprowadź ją. Spotkam się z nią w ogrodzie. On mi tak przypomina Manipool.

Aoudad milczał przez chwilę. W końcu powiedział: – Spotkaj się z nią w twoim pokoju.

Burris wzruszył ramionami. – Jak chcesz.

Pogładził kolce kaktusa.

Pielęgniarki, salowe, lekarze, technicy, pacjenci, wszyscy przypatrywali mu się, kiedy wchodził do budynku. Nawet dwa roboty zlustrowały go podejrzliwie, nając się dopasować go do swojej zaprogramowanej wiedzy o ciele ludzkim i jego kształtach.

Burrisowi to nie przeszkadzało. Jego zakłopotanie zniknęło szybko, z dnia dzień. Bandaże, które nosił pierwszego dnia pobytu szpitalu, wydały mu się teraz absurdalne. To zupełnie jak chodzenie nago wśród tłumu – pomyślał. Z początku wydawało się nie do pomyślenia. Z czasem stało się znośne, w końcu zwyczajne. Trzeba się tylko przyzwycząić.

Czekając na Elise Prolisse nie czuł się jednak pewnie. ? Stał przy oknie patrząc na ogród na dziedzińcu, kiedy łyssał pukanie.

Nagły impuls (takt czy obawa?) kazał

mu odwrócić się plecami do wejścia. Drzwi zamknęły się cicho. Nie widział jej od pięciu lat.

Pamiętał ją jednak jako wyzywającą, nieco zbyt obfita, przystojną kobietę. Jego wyostrzony słuch powiedział mu, że przyszła sama. Jej oddech był nierówny, chrapliwy. Usłyszał, jak zamyka drzwi.

– Minner? – powiedziała łagodnie. – Minner, odwróć się i spójrz na mnie. Jestem na to przygotowana.

Było to jednak coś innego niż pokazywanie się bezimiennemu personelowi szpitalnemu. Ku swemu zaskoczeniu Burris stwierdził, że spokój osiągnięty w ciągu kilku ostatnich dni szybko znika.

Poczuł panikę. Chciał się ukryć. Z przerażenia zrodziło się jednak okrucieństwo, lodowata gotowość zadawania bólu. Odwrócił się na pięcie i zaprezentował się w całej okazałości ciemnym oczom Elise Prolisse.

Trzeba przyznać, że była odporna.

– Och – szepnęła. – Och, Minner, to jest... Tu nastąpiła zwinna zmiana nastroju.

– ...to nie jest takie straszne. Myślałam, że będzie gorzej.

– Myślisz, że jestem przystojny?

– Nie przerażasz mnie. Myślałam, że będziesz przerażający.

Podeszła do niego. Ubrana była w obcisłą, czarną sukienkę zakładaną natryskowo. Wysoko podniesione piersi były znowu twarde. Piersi Elise jak gdyby wykwiwały z obojczyków.

Rozdzielone głęboką doliną. Wynik chirurgii plastycznej. Piersi całkowicie przykrywała sukienka, ale cóż może przykryć mikron natryskowego plastiku? Biodra miała rozłożyste, uda jak kolumny.

Straciła jednak trochę na wadze. Ostatnie miesiące napięcia i bezsenności zdjęły bez wątpienia całą czy dwa z jej kontynentalnych pośladków. Teraz stała bardzo blisko. Poczuł oszałamiający zapach perfum i zupełnie nieświadomie zneutralizował ich oddziaływanie.

Ujęła jego rękę w obie dłonie. Oczy ich się spotkały. Wzdragła się może przez ułamek sekundy.

– Czy Marco umarł dzielnie? – spytała. | – Umarł jak mężczyzna. Jak dzielny mężczyzna, którym był.

– Czy widziałeś?

– Nie, ostatnich chwil nie widziałem. Tylko jak go zabierali, podczas gdy my czekaliśmy na naszą kolej.

– Czy myślałeś, że umrzesz?

– Byłem tego pewien. Modliłem się za Malcondotto. on modlił się za mnie. Ja jednak wróciłem.

– Minner, Minner, to musiało być straszne! Wciąż trzymała go za rękę. Głaskała palce, nawet tę małą mackę przy małym palcu.

Burris poczuł zdumienie, gdy dotknęła tej odrażającej rzeczy. Miała oczy szeroko otwarte, poważne, pozbawione łez. Miała dwoje dzieci.

A może troje? Ciągle była jednak młoda i pełna życia. Pragnął, żeby puściła jego rękę. Jej bliskość była uspokajająca. Wyczuwał promieniowanie ciepła z jej ud. promieniowanie takie sytuowało się bardzo nisko w widie promieniowania elektromagnetycznego, a jednak je wyczuwał. Najchętniej zagryzłby wargi, żeby opanować pięcie, ale obecnie nie mógł uchwycić wargi zębami. – Kiedy

dostałaś wiadomość o nas? – zapytał. się Jak tylko została nadana ze stacji obserwacyjnej Ganimede. Przekazali mi ją bardzo delikatnie. Wyrażałam sobie jednak straszne rzeczy. Muszę ci to powiedzieć. Chciałam się dowiedzieć od Boga, dlaczego Marco umarł, a ty żyjesz. Przykro mi, Minner. - Nie powinno ci być przykro.

Gdybym mógł wybierać ja bym umarł, a on by żył. Marco i Malcondotto, . Wierz mi. To nie jest pusta gadanina, Elise. Naprawdę zamieniłbym się.

Czuł się jak hipokryta. Lepiej być martwym niż leczonym.

Oczywiście! Ale ona nie zrozumie. Ona po tu pomyśli, że gotów byłby oddać swe życie za życie mężów i ojców. Cóż miał jej powiedzieć? Zaprzysiął sobie, że nie będzie się nad sobą uzalać.

– Powiedz mi, jak to było – poprosiła, wciąż trzy mając go za rękę. – Jak was złapali. Jak was traktowali Jak to wszystko wyglądało. Muszę wiedzieć!

– Normalne lądowanie – zaczął opowiadać Burris. – Normalna procedura lądowania i nawiązywani; kontaktu. Nie najgorsza planeta. Sucha. Z czasem mogła by być jak Mars. Za jakieś dwa miliony lat. Teraz wygląda jak Arizona lub Sonora z dużym dodatkiem Sahary.

Spotkaliśmy ich. Oni spotkali nas.

Jego powieki zatrzasnęły się. Poczul parzący oddech wiatru z Manipool. Ujrzał kaktusy i szare, wijące się jął węże rośliny, leżące z najeżonymi kolcami na piaski i rozciągnięte na setki metrów.

Pojazdy obcych znowu przyjeżdżały po niego.

– Byli bardzo uprzejmi. Już wcześniej ich odwiedza no. Znali procedurę kontaktu. Sami nie wyruszyli w kosmos. Nie są zainteresowani. Znali kilka języków. Malcondotto mógł się z nimi porozumiewać. Miał zdolność językowe. Znał jakiś dialekt siriański.

Rozumieli. Był serdeczni, a jednak dalecy... obcy. Zabrali nas.

Sufit, na którym wyrastały jakieś istoty. Nie proste gatunki ani termoluminescencyjne porosty. Ze sklepionego sufitu wyrastały istoty posiadające kręgosłup.

Pojemniki z jakąś fermentującą masą, w których również rosły żywe istoty. Małe, różowe, rozwidlone istoty o ruchomych odnóżach.

– Dziwne miejsce, ale nie wrogie. Oglądali nas, opukiwali.

Rozmawialiśmy. Prowadziliśmy obserwacje Po pewnym czasie zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy uwięzieni, i Oczy Elise zwilgotniały. Wpatrywała się w usta Burrisa i wsłuchiwała w jego słowa. ,

– Bez wątplenia rozwinięta kultura naukowa. Może nawet postnaukowa. Z pewnością postindustrial

Malcondotto był zdania, że korzystają z energii owej, ale nie byliśmy pewni. Po trzech czy czterech ich nie mieliśmy już możliwości sprawdzić. Nagle zrozumiał, że jej to wcale nie interesowało.

Prawie nie słuchała. Po co zatem przyszła? Czemu się wypytywała? Te wydarzenia, które stały się istotą jego a powinny również i ją interesować. A jednak stała skupiona, wpatrzona w niego, jak gdyby nie słysząc. Przecież musiała słyszeć. tak ciągnął dalej starzec, żeglarz o jasnych oczach.

– Szóstego dnia przyszli i zabrali Marco. Ddruch zainteresowania. Szczelina w gładkiej powierzchni zmysłowej uprzejmości.

– Nigdy nie zobaczyliśmy go żywego. Wyczuliśmy, zrobią z nim coś złego. Marco wyczuł to pierwszy. Zawsze miał takie zdolności.

– Tak, trochę.

– Opuścił nas. Malcondotto i ja zastanawialiśmy się. Minęło parę dni i przyszli po Malcondotto. Marco nie chciał. Malcondotto rozmawiał z nimi, zanim go zabrali. Dowiedział się, że przeprowadzali z Marco jakieś eksperymenty zakończone niepowodzeniem. Zakopali go, nam nie pokazując. Potem zabrali się do Malcondotto. Zauważył, że znowu nie słuchała. Po prostu jej to nie obchodzi. Niewielki przejaw zainteresowania, kiedy opowiadałem o śmierci Marco, a później nic. Przecież musi słyszeć.

– Minęły dni. Przyszli po mnie. Pokazali mi Malconto martwego. Wyglądał... no... tak jak ja teraz. . Gorzej. Nie mogłem zrozumieć, co do mnie mówią. brzęczenie, trzeszczenie, terkotanie. Jaki dźwięk wydałyby kaktusy, gdyby mogły mówić?

Odprawdzili mnie i pozwolili czekać jeszcze przez pewien czas.

Myślę, że analizowali swoje dwa poprzednie eksperymenty, usiłując stwierdzić, gdzie popełnili błąd i które organy należy pozostawić w spokoju. Wydawało mi się, że czekanie na ich powrót trwało milion lat. Przyszli. Położyli mnie na stole. Resztę możesz zobaczyć sama.

– Kocham cię – powiedziała.

– ?

– Chcę cię, Minner, ja płonę!

– Wracalem samotnie. Wsadzili mnie na statek. Moglem go obslugiwac. Dokonali rehabilitacji.

Wyruszyłem w kierunku naszego systemu. To była zła podróż.

– Ale wróciłeś na Ziemię...

Jak to się stało, że wyszedłeś z piekła? Nie, to jest piekło i wciąż jestem w nim.

– Wróciłem. Spotkałbym się z tobą, Elise, zaraz po powrocie, ale musisz zrozumieć, że nie wszystko ode mnie zależało. Najpierw zatrzymali mnie. Później wypuścili i ukryłem się. Musisz mi wybaczyć.

– Wybaczam ci. Kocham cię.

– Elise...

Dotknęła czegoś przy szyi. Łańcuchy polimerów utrzymujących jej strój utraciły swoją spoistość.

Jego czarne strzępki leżały u jej stóp. Stała przed nim naga.

Tyle ciała. Wibrujące życiem. Gorąco buchające odeń oszałamiało.

– Elise...

– Chodź i dotknij mnie. Dotknij mnie tym swoim dziwnym ciałem. Tymi rękami. Chcę poczuć, jak dotykają mnie te wijące się macki, które masz na rękach.

Miała szerokie ramiona. Jej piersi tkwiły mocno, jak gdyby podparte całym jej atletycznym ciałem.

Biodra, jakby należały do samej matki Ziemi, uda kurtyzany. Była niezmiernie blisko i aż zadrżał od buchającego od niej żaru. Potem cofnęła się, żeby mógł ją całą zobaczyć.

– To nie jest w porządku, Elise.

– Przecież cię kocham. Nie czujesz siły mojej miłości?

– Tak. Tak.

– Jesteś wszystkim, co mam. Marco odszedł. Ty widziałeś go ostatni. Jesteś jedynym ogniwem, które mnie z nim łączy. Jesteś taki... Jesteś Heleną – pomyślał.

– ... piękny.

– Piękny? Czy jestem piękny?

Chalk to powiedział. Duncan Korpulentny. Wiele kobiet padnie ci do stóp... groteskowość pociąga.

– Elise, proszę, ubierz się.

W jej łagodnych, ciepłych oczach pojawił się nagle gniew.

– Nie jesteś chory! Jesteś dość silny!

– Może.

– Odmawiasz mi? – wskazała gestem na jego ciało – Te potwory nie zniszczyły cię. Ciągłe jesteś...

Mężczyzną.

– Może.

– A zatem...

– Elise, tyle przeżyłem...

– A ja nie?

– Straciłaś męża. To się często zdarza. Mnie przydano się coś zupełnie nowego. Nie chcę...

– Boisz się? ,– Nie.

– To pokaż mi swoje ciało. Zdejmij szlafrok. Łóżko czeka.

Zawahał się. Z pewnością znała jego tajemnicę. Pożądał jej od lat.

Nie należy jednak zabawiać się z żonami przyjaciół. Ona należała do Marco. Teraz Marco nie żył.

Elise wpatrywała się w niego prawie omdlewając z pożądania, a równocześnie spięta z gniewu.

To Helena. I Rzuciła się na niego. Jej piersi drżały w intymnym kontakcie, twardy brzuch przylegał doń ciasno, ręce obejmowały go wokół ramion. Była wysoka. Dostrzegł blask jej zębów. Całowała go, pochłaniała jego usta mimo ich twardości.

Jej usta wysysają mą duszę: spójrzcie dokąd ulatuje Jego ręce dotknęły atłasowej gładkości jej pleców Paznokcie zagłębiły się w jej ciało. Małe macki wiły się zataczając niewielkie koła.

Popychała go do tyłu do łóżka, jak modliszka chwytająca samca. Heleno, oddaj mi moją duszę.

Upadli razem. Pot poprzyklejał jej czarne włosy do policzków.

Piersi jej chwiały się. Chwyliła za jego szlafrok.

Są kobiety, które poszukują garbusów, mężczyzn, którzy przeżyli amputację, sparaliżowanych, kulawych, chorych. Elise poszukiwała jego. Opanował go gorący przypływ pożądania. Jego szlafrok opadł i ich nagie ciała przywarły do siebie.

Pozwolił jej oglądać się. Była to próba, której, miał nadzieję, nie wytrzyma. Jednak przetrzymała. Widok ten jeszcze bardziej rozpalił w niej płomień. Widział, jak jej nozdrza rozszerzają się, jak skóra zabarwia się rumieńcem. Był jej niewolnikiem, jej ofiarą.

Zwyciężyła. Ale on też coś z tego będzie miał.

Odwrócił się do niej, ujął za ramiona, położył na materacu i przykrył ją sobą. To był jej prawdziwy triumf, triumf kobiecy, przegrana w momencie zwycięstwa, poddanie się w ostatniej chwili.

Jej uda objęły go. Jego zbyt gładkie ciało chłonęło jej jedwabistość.

Nagłym, gwałtownym wybuchem demonicznej energii posiadł ją i wdarł się do wnętrza.

Rozdział 13 RÓŻANOPALCA JUTRZENKA

Tom Nikolaides wszedł do pokoju. Dziewczyna nie spała już i wyglądała przez okno do ogrodu.

Nikolaides przyniósł w doniczce mały, brzydki kaktus, bardziej szary niż zielony i uzbrojony w groźne kolce.

– Czy czujesz się lepiej?

– Tak, znacznie lepiej. Czy pojedę już do domu?

– Jeszcze nie. Czy wiesz, kto ja jestem?

– Nie.

– Tom Nikolaides. Możesz mi mówić Nick. Jestem dziennikarzem, zajmuję się reakcją na informacje. | Przyjęła tę wiadomość obojętnie. Postawił kaktus na (stoliczku koło łóżka.

| – Ja wiem o tobie wszystko. W niewielkim stopniu uczestniczyłem w eksperymencie z dziećmi w

zeszłym roku. Może już zapomniałaś, ale robiłem z tobą wywiad. Pracuję dla Duncana Chalka.

Wiesz, kto to jest?

– A powinnam?

– To jeden z najbogatszych ludzi na świecie. Jest właścicielem dzienników, stacji telewizyjnych, Arkadii. Brdzo się tobą interesuje.

– Dlaczego przyniosłaś mi tę roślinę?

– Później ci powiem. Ja...

– Jest bardzo brzydka. Nikolaides uśmiechnął się.

– Słuchaj Łona, czy chciałabyś mieć dwoje z tych dzieci, które urodziły się z twojego nasienia?

Sama je wychowywać?

– Ten żart nie był zbyt zabawny.

Nikolaides obserwował rumieniec rozlewający się po jej zapadłych policzkach, zauważył błysk pożądania pojawiający się w jej oczach. Poczł się paskudnie.

– Chalk może to dla ciebie załatwić – powiedział. – Przecież jesteś ich matką. Mógłby zdobyć dla ciebie chłopca i dziewczynkę.

– Nie wierzę.

– Musisz mi uwierzyć, Łona. Nikolaides pochylił się ku niej.

Przybrał wyraz szczeroci.

– Wiem, że jesteś nieszczęśliwa. Wiem również dlaczego.

Chodzi o te dzieci. Sto dzieci wyrwanych z twego ciała. Zabraných. A później zostałaś odsunięta na bok i zapomniana, jakbyś była robotem, inkubatorem. Była zainteresowana, ale nadal sceptyczna. Wziął do ręki maleńki kaktus i bawił się lśniącą doniczką, wsuwając i wyjmując palec z niewielkiego' otworu odpływowego.

– Możemy załatwić ci dwójkę dzieci. Nie będzie to łatwe. Chalk będzie musiał wykorzystać różne

swoje kontakty. Zrobi to, ale chce, żebyś i ty zrobiła coś dla niego.

– Jeżeli jest taki bogaty, to co mogę dla niego zrobić?

– Możesz pomóc innemu nieszczęśliwemu człowiekowi. Pan Chalk potraktuje to jako osobistą przysługę. Wtedy pomoże tobie.

Jej twarz straciła wszelki wyraz. Nikolaides znowu pochylił się ku niej.

– Tu, w tym szpitalu jest mężczyzna. Może widziałaś go. Może o nim słyszałaś. To astronauta.

Dotarł do obcej planety i pochwyciły go jakieś potwory. Pokaleczyły go, pokroiły go na części, a później złożyły w niewłaściwy sposób.

– Ze mną zrobili to samo – powiedziała Łona. – tylko wcześniej mnie nie pokrajali.

– Tak. On wychodzi do ogrodu. Wysoki mężczyzna. i daleka może nawet nie widać, że coś z nim nie w porządku. Dopiero, jak się zobaczy jego twarz... Jego czy otwierają się... o tak... na boki. A jego usta... Trudno ni powiedzieć, jak wyglądają, ale nie są ludzkie.

Z bliska wygląda strasznie. Wewnątrz jest jednak wciąż człowiekiem, wspaniałym człowiekiem.

Oczywiście jest bardzo wzburzony tym, co z nim zrobiono. Chalk chce mi pomóc. Jednym ze sposobów tej pomocy jest znalezienie kogoś, kto będzie dla niego miły. Ty... Ty wiesz, co to jest cierpienie. Spotkaj się z nim.

Bądź dla niego miła. Udowodnij mu, że wciąż jest człowiekiem, że ktoś może go pokochać. Może się ze sobą pogodzi. Jeżeli to zrobisz, Chalk zadba o to, żebyś dostała te dzieci.

– Czy mam się z nim przespać?

– Masz być dla niego miła. Trudno mi powiedzieć, co nasz robić. Zrób, co według ciebie sprawi mu przyjemność. Sama musisz zdecydować. Przeanalizuj własne uczucia. Sama zrozumiesz, co on przeżywa.

– Bo zrobili z niego wybryk natury, tak jak i ze mnie?

Nikolaides nie wiedział, jak można odpowiedzieć taktownie na to pytanie. Po prostu skinął głową.

– Ten człowiek nazywa się Minner Burris. Jego pokój znajduje się po drugiej stronie korytarza.

Bardzo lubi kaktusy. Bóg jedynie wie, dlaczego. Pomyślałem, że mogłabyś wysłać mu ten kaktus w prezencie. To taki miły gest. Może prowadzi do rzeczy większych, prawda? – Jakie to było nazwisko?

– Nikolaides.

– Nie twoje. Jego.

– Minner Burris. Wiesz, co! Mogłabyś załączyć do niego karteczkę. Nie drukuj jej. Napisz odręcznie. Podyktuję ci. Będziesz mogła coś zmienić, jak będziesz chciała. Tu masz pióro...

Zaschło mu w ustach.

Rozdział 14. ODTĄD DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE

Ze względu na to, że jego dwóch najbliższych współpracowników przebywało gdzieś daleko na zachodzie, wykonując skomplikowane, baletowe pas de quatre z Burrisem i Łona, Duncan Chalk musiał polegać prawie wyłącznie na usługach Leontesa d'Amore. D'Amore był człowiekiem zdolnym. Inaczej nigdy by nie zaszedł tak daleko.

Brakowało mu jednak stabilności charakteru Nikolaidesa i palącej ambicji i braku poczucia bezpieczeństwa Aoudada. D'Amore był błyskotliwy, ale zmienny jak ruchomy piasek.

Chalk przebywał w swoim pałacu nad jeziorem. Wokół pracowały aparaty odbierające wiadomości, ale Chalk wyciszył je z łatwością.

Mając d'Amore'a u swego (t)oku, szybko załatwiał bieżące sprawy.

Mówi się, że cesarz Chin Shih Huang Ti wystawiał dziennie sto pięćdziesiąt funtów dokumentów i miał jeszcze dość czasu, żeby zbudować Wielki Mur. W tamtych czasach dokumenty sporządzano, co prawda, na tabliczkach bambusowych, które były znacznie cięższe niż obecnie losowane mini notatniki. Starego cesarza należy jednak podziwiać. Był on jednym z bohaterów Chalka.

– O której Aoudad przetelefonował swój raport? – spytał.

Godzinę przed twoim obudzeniem się.

– Należało mnie obudzić. Wiesz o tym. I on wie. Usta d'Amore'a przybrały elegancki wyraz zasmucenia.

– Ponieważ nie było kryzysu, myśleliśmy...

– Źle myśleliście...

Chalk odwrócił się i przygwoździł d'Amore'a wzrokiem.

Zakłopotanie d'Amore usatysfakcjonowało Chalka do pewnego stopnia, ale nie w sposób zadowalający. Zakłopotanie podwładnych nie miało odżywczego posmaku. Potrzebował czegoś mocniejszego.

– A zatem Burris i dziewczyna poznali się?

– Tak. To był sukces.

– Szkoda, że tego nie widziałem. Jak im to idzie?

– Oboje są ostrożni. Współczują sobie. Aoudad przypuszcza, że wszystko pójdzie dobrze.

– Czy ustaliliście jakiś program?

– Nabiera kształtów. Księżycowe Tivoli, Tytan. Pełna tura międzyplanetarna. Zaczynamy od Antarktydy. Rezerwacja, szczegóły – wszystko pod kontrolą.

– Dobrze. Kosmiczny miodowy miesiąc. Może i jeszcze coś dla ubarwienia tej historii. Taby było coś! Gdyby jeszcze okazał się płodny! Wiemy, że ona jest, oczywiście.

– Jeżeli o to chodzi – powiedział d'Amore ze zmartwieniem – to ta Prolisse przechodzi obecnie badania.

– To macieja? Wspaniale. Wspaniale! Czy się sprzeciwiała?

– Wcisnęliśmy jej wystarczająco prawdopodobną historyjkę.

Myśli, że badamy ją na obecność obcych wirusów. Zanim się obudzi, będziemy już mieli analizę

spermy.

Chalk skinął energicznie. D'Amore wyszedł, a Chalk chwycił taśmę nagraną w czasie wizyty Elise u Burrisa, żeby ponownie ją przejrzeć. Z początku sprzeciwiał się pomysłowi jej odwiedzin, mimo że Aoudad gorąco ją zalecał. Ale wkrótce zrozumiał, jakie korzyści mogą z niej wyniknąć. Burris nie miał kobiety od czasu powrotu na Ziemię. Signora Prolisse, według informacji Aoudada, który takie rzeczy wiedział dobrze, intensywnie pożądała zniekształconego ciała towarzysza podróży jej męża. Niech się spotkają. Zobaczymy, jak Burris zareaguje. Byk rozplodowy nie powinien być kierowany | do szeroko rozgłoszonego pokrycia bez wcześniejszego | sprawdzenia.

Taśma była wyraźna i jednoznaczna. Trzy ukryte | kamery o średnicy soczewki nie większej niż kilka molekuł zanotowały wszystko. Chalk przeglądał taśmę już trzy razy, ale za każdym razem odkrywał nowe szczegóły. Obserwowanie nieświadomych par w akcie miłosnym nie sprawiało mu większej satysfakcji. Swoje przyjemności zdobywał w bardziej wyrafinowany sposób, a widok bestii o dwóch plecach był interesujący tylko dla nastolatków. Warto było jednak dowiedzieć się czegoś o możliwościach Burrisa.

Przyspieszył bieg taśmy, na której zapisana była następna rozmowa.

Wydawała się wielce znudzona, gdy opowiadał jej o swoich przygodach. Gdy obnażała się, on wyglądał na przestraszonego. Co go tak przestraszyło? Przecież miewał kobiety. No, tak, ale to działa się dawnym życiu. Może obawiał się, że w najważniejszej chwili uzna jego ciało za odrażające. Chwila prawdy. Chalk zastanawiał się nad tym.

Kamery nie mogły ujawnić myśli Burrisa, nawet jego stanu emocjonalnego. Chalk też nie poczynił żadnych kroków, żeby poznać jego najgłębsze uczucia. Wszystko zatem pozostawało w sferze domysłów.

Pewne było, że Burris się ociągał. Ona zaś wydawała się zdeterminowana. Chalk studiował nagą tygrysicę zbliżającą się do swej zdobyczy. Przez chwilę wydawało | ę, że ją odepchnie, nie będąc

zainteresowany seksem |b nie interesując się Elise. Zbyt szlachetny, żeby robić z wdową po swoim przyjacielu? Może wciąż nie chciał morzyć się przed nią, nawet wobec jej niezaprzeczalnego pragnienia? No, tak. Teraz był już nagi. Elise w dalszym ciągu nie zniechęcona. Lekarze, którzy badali Burrisa po powrocie, twierdzili, że jest zdolny do odbycia aktu płciowego i teraz widać było, że się nie mylili.

Ręce i nogi Elise unosiły się w górze. Chalk skubał się w podbródek, podczas gdy maleńkie figurki na ekranie wykonywały rytualne ruchy. Tak. Burris mógł się kochać nawet teraz.

Zainteresowanie Chalka osłabło w momencie, gdy kopulacja osiągnęła szczyt. Taśma skończyła się po przedstawieniu ostatniej sceny bezwładnych, wyczerpanych ciał na rozgrzebanym łóżku. Mógł się kochać, ale co z dziećmi? Ludzie Chalka zatrzymali Elise prawie zaraz po wyjściu z pokoju Burrisa. Kilka godzin temu ta krzepka dziewczyna leżała na stole operacyjnym z rozłożonymi nogami.

Chalk czuł jednak, że tym razem rozczaruje się. Wiele spraw miał pod kontrolą, ale nie wszystkie.

Wrócił d'Amore.

– Mamy raport.

– No, i?

– Nie ma płodnej spermy. Nie są pewni, co tam mają, ale gotowi są przysiąc, że reprodukcja jest niemożliwa. Obcy musieli dobrać się i tam.

– Niedobrze – westchnął Chalk. – To jedno z podejść, z którego musimy zrezygnować. Przyszła pani Burris nie będzie miała z nim dzieci.

D'Amore roześmiał się.

– Ona ma i tak dość dzieci.

Rozdział 15 ZWIĄZEK CZYSTYCH DUSZ

Dziewczyna nie pociągała Burrisa w przeciwieństwie Elise Prolisse, ale ją lubił. Była miłym,

wzruszającym, delikatnym dzieckiem. Chciała dobrze. Kaktus w doniczce wzruszył go.

Wydawał się zbyt skromnym prezentem, aby oznaczał coś więcej niż przyjaźń. Jego wygląd nie odpychał jej. Była wzruszona, owszem, pewna, tak, ale patrzyła mu prosto w twarz ukrywając wszelkie zaskoczenie.

– Czy pochodzisz z tych okolic? – zapytał.

– Nie, ze wschodu. Usiądź. Nie musisz stać ze względu na mnie.

– W porządku, jestem wystarczająco silny.

– Czy przechodzisz jakieś zabiegi tu w szpitalu? – Nie, tylko badania. Podobno mogą mnie wyjąć z tego ciała i przełożyć do ludzkiego. – To wspaniałe!

– Nie mów o tym nikomu, ale mnie się wydaje, że się nie uda. Cała ta sprawa jest wciąż w świecie teorii ta im sprawdzi się w praktyce...

Obrócił kaktus na stoliczku przy łóżku.

– A ty dlaczego jesteś w szpitalu, Łona?

– Musiałam wyleczyć płuca, a także nos i gardło.

– Dlaczego?

– Wsadziłam głowę do zsypu – powiedziała po prostu.

Bernie

Pod nogami Burrisa otworzyła się przepaść. Starał się zachować równowagę. Nie tyle wzburzyła go sama informacja, ile sposób, w jaki to powiedziała, jak gdyby wystawienie przewodów oddechowych na działaniem kwasu było niczym.

– Chciałaś się zabić? – wykrzyknął.

– Tak, ale szybko mnie znaleźli.

– Ale dlaczego? W twoim wieku? Przecież masz całe życie przed sobą.

Burriss nienawidził się za ten protekcjonalny ton. Jej oczy rozszerzyły się. Brakowało im jednak

głębi. Burri nie mógł powstrzymać się od porównywania ich z gorącymi jak węgle oczami Elise.

– Nic o mnie nie wiesz? – spytała cichym głosem – Obawiam się, że nie – uśmiechnął się Burris.

– Łona Kelvin. Może nie dosłyszałeś nazwiska. Mo że zapomniałeś. Och, wiem! Byłeś wciąż w kosmosie kiedy to się wydarzyło.

– Rzeczywiście wiele uszło mojej uwagi.

– Uczestniczyłam w eksperymencie. Nazywali go(transplatacja multiembrionalna. Pobrali ode mnie kil kaset jajeczek, zapłodnili je i wyhodowali. Niektón w ciałach innych kobiet, a niektóre w inkubatorach Urodziło się około setki dzieci.

Wystarczyło sześć miesięcy. Eksperyment miał miejsce mniej więcej rok temu.

Ostatnie fałszywe założenia Burrisa rozwiały się Burris wyobrażał sobie, że jest to dziewczyna ze szkół] średniej, uprzejma, pusta, zainteresowana w jakiś sposób tą dziwną istotą po przeciwnej stronie korytarza, al(przede wszystkim zajmująca się modą i innymi rozrywkami swych rówieśników. Może usuwała ślepą kizkę albo pryszcz na nosie. Któż mógł wiedzieć. Teraz jedna] wszystko się zmieniło i zaczął ją widzieć w zupełnie innym świetle, jako ofiarę wszechświata.

– Setka dzieci? Nic o tym nie słyzałem.

– Musiałeś być w podróży. To była głośna sprawa

– Ile masz lat?

– Już siedemnaście.

– Ale sama nie urodziłaś żadnego z tych dzieci?

– Nie. I w tym tkwi właśnie kłopot. Zabrali mi moje jajeczka i na tym moja rola się skończyła.

Oczywiście sprawa była głośna. Zbyt głośna. Nudzę cię. Ciągłe gadam o sobie – spojrzała na niego wstydliwie.

– Chciałbym się dowiedzieć więcej!

– To nic ciekawego. Pokazywano mnie w telewizji, Wszędzie. Nie chcieli mnie zostawić w

spokoju. Niewiele miałam do powiedzenia, bo przecież właściwie nic nie zrobiłam. Byłam dawcą. Kiedy jednak ujawniono moje nazwisko, wszyscy się do mnie zlecieli. Wszędzie reporterzy. Nigdy nie byłam sama, a równocześnie ciągle byłam sama.

Rozumiesz? Nie mogłam już tego wytrzymać. Wszystko, czego chciałam, to dwoje dzieci z mego własnego ciała, a nie setka dzieci z maszyny. Dlatego nałam się zabić.

– Wsuwając głowę do zsypu?

– Nie. To było za drugim razem. Wcześniej rzuciłam pod ciężarówkę.

– Kiedy to było?

– Zeszłego lata. Przywieźli mnie tutaj i wyleczyli.

– Wróciłam na wschód. Mieszkałam w jednym pokoiku. Wszystkiego się bałam. Stałam się zbyt strachliwa i pewnego dnia poszłam do pomieszczenia, w którym usuwają odpadki, otworzyłam zsyp i...

znowu mi się nie udało. I ciągle żyję.

– I w dalszym ciągu tak bardzo chcesz umrzeć?

– Nie wiem...

Jej chude ręce wykonywały jakieś gesty w powietrzu.

– Gdybym choć miała jakiś punkt zaczepienia... Ale – mieliśmy mówić o mnie. Chciałam tylko wyjaśnić, dlaczego tu jestem. To ty jesteś ten...

– Nie mieliśmy mówić o tobie? Kto tak powiedział? Rumieńce wypłynęły na jej zapadłe policzki.

– Och, nie wiem. Chciałam tylko powiedzieć, że n jestem ważna. Mówmy o kosmosie, pułkowniku.

– Tylko nie pułkowniku. Minner.

– A tam...

– ...są istoty, które cię chwytają i przemieniają. Łono. To jest właśnie kosmos.

– To straszne!

– Ja też tak myślę. Nie wzmacniaj moich przekonań.

– Nie rozumiem.

– Strasznie się nad sobą rozczulałem – powiedzie Burris. – Gdybyś mi dała szansę, napełniłbym twe uszy mnóstwem złych wiadomości. Powiedziałbym ci, że według mnie to nie w porządku, że tak ze mną postąpił Gadałbym o niesprawiedliwości ślepego wszechświat; Nagadałbym mnóstwo głupstw.

– Przecież masz prawo być rozżalony. Przecież ni chciałeś zrobić im nic złego. Wzięli cię po prostu i...

– Tak.

– To nie było w porządku!

– Wiem, Łona. Powtarzałem to już wielokrotni i sobie, i każdemu, kto chciał mnie słuchać. To jest właściwie jedyna rzecz, o jakiej myślę i mówię. W te sposób przeżyłem drugą transformację.

Z człowiek w potwora, a następnie z potwora w ucieleśnienie nit sprawiedliwości.

Wyglądała na zagubioną. Nie rozumie mnie – pomyślał.

– Chodzi mi o to – powiedział – że dopuściłem do tego, że to, co się ze mną stało, stało się mną.

Stałem się rzeczą, towarem, wydarzeniem moralnym. Inni mężczyźni mają ambicje, pragnienia, dokonania, osiągnięcia. Ja mam swoje okaleczenia i to mnie pożera.

Požerało. Chcę się z tego wyrwać, ja – Chcesz mi powiedzieć, że wolisz nie rozmawiać o tym, co się z tobą stało? – spytała Łona.

– Coś w tym rodzaju.

Skinęła głową. Zobaczył, że nozdrza jej się rozdyma- usta drżą z ożywienia. W końcu wykwit! na nich niech.

– Wiesz, puł... Minner, ze mną dzieje się coś podobno. Chodzi mi o to, że jest się ofiarą i tak dalej.

Rozlałam się nad sobą. Ze mną także zrobili coś złego i od chwili ciągle do tego wracam, myślę o tym i złość i albo czuję się chora. A naprawdę, to powinnam f m wszystkim zapomnieć i zająć się czymś innym.

– Tak.

– Ale nie mogę. Zamiast tego usiłuję popełnić samobójstwo, bo uznaję, że już tego nie mogę wytrzymać. Spuściła oczy.

– Czy ty... czy ty kiedykolwiek próbowałaś...

– Zabić się? Po tym wszystkim? Nie. Nie, Łono. Po prostu rozmyślałam o tym. To takie powolne samobójstwo.

– Powinniśmy zawrzeć umowę – powiedziała. – zamiast rozczulać się, ty nad sobą i ja nad sobą, zamienimy się. Mnie będzie żal ciebie, a tobie mnie. Opowiemy ale nawzajem, jak świat nas źle potraktował, ale nie będziemy mówić o sobie. Zdaje się, że wszystko poplątałam, ale rozumiesz, o co mi chodzi?

– Towarzystwo wzajemnego współczucia. Ofiary wszechświata łączcie się! – zaśmiał się. – Tak, rozumiem. To dobry pomysł, Łono! To jest właśnie to, czego potrzebujemy, czego ty potrzebujesz.

–I ty.

Wyglądała na zadowoloną z siebie. Uśmiechała się od tła do ucha i Burris wydawał się zaskoczony zmianą, a w niej zaszła, gdy blask zadowolenia rozjaśnił jej twarz. Zdawało się, że nabierała sił i godności. Nawet kobiecości. Przez chwilę nie była tak wychudzona i patetyczna. Wkrótce jednak blask przygasł i znowu stała się da dziewczynką.

– Czy lubisz grać w karty?

– Tak.

– Umiesz grać w dziesięć planet?

– A nauczysz mnie?

– Przyniosę karty.

Wybiegła z pokoju. Szlafrok powiewał wokół jej szczupłego ciała. Wróciła po chwili z talią lśniących kar i usiadła obok niego na łóżku. Bystre oczy Burrisi wpatrywały się w nią w chwili, gdy środkowy zaczep jej koszuli stracił na chwilę swe własności magnetyczne. Przez mgnienie oka widział jej małą, twardą pierś. Poprawiła jednak zaraz zapięcie. Jeszcze nie jest w pełni kobietą – pomyślał Burris – ale i nie jest już dzieckiem. Przypomniał sobie jednak zaraz: jest przecież matką setki dzieci.

– Nigdy nie grałeś w tę grę?

– Chyba nie.

– To całkiem proste. Rozdaje się po dziesięć kart..

Rozdział 16 SOWA ZMARZŁA MIMO PIÓR

Stali obok siebie przy przezroczystej ścianie szpital-j elektrowni i zaglądali do środka. Wewnątrz coś włóknistego wiło się i obracało, pobierając energię z największego pylonu i przekazując ją do stacji transferitorów. Burris wyjaśniał jej, w jaki sposób energia jest przekazywana bezprzewodowo. Lona usiłowała słuchać, i nie bardzo ją to obchodziło. Trudno skoncentrować na czymś takim, co jest tak bardzo oddalone od codziennej rzeczywistości, szczególnie, gdy on stał obok 3.

– To duża różnica w porównaniu z dawniejszym totemem – mówił Burris. – Cały kraj pokrywały linie wysokiego napięcia.

Mówiło się nawet o podniesieniu pięcia do półtora miliona...

– Wiesz tyle rzeczy. Kiedy zdążyłeś nauczyć się tego wszystkiego o elektryczności, jeżeli miałeś zostać ironautą?

– Jestem już strasznie stary.

– Założyłabym się, że nie masz nawet osiemdziesiąt. Żartowała, ale on zdawał się tego nie

rozumieć. Jego twarz skrzywiła się na swój śmieszny sposób. Wargi (jeżeli można było je wciąż nazywać wargami) rozdziły się na zewnątrz ku policzkom.

– Mam czterdzieści lat – powiedział martwo. – M; ślę, że dla ciebie czterdzieści lat to już niedaleko do osiemdziesiątki.

– Niezupełnie.

– Chodźmy do ogrodu.

– Tyle tam tych kolczastych rzeczy!

– Nie lubisz ich.

– Nie, nie, nie – zaprzeczyła gwałtownie.

Lubi kaktusy – myślała. – Nie wolno mi krytykę wać rzeczy, które lubi. Potrzebuje kogoś, kto będzie li bił te same rzeczy, co on.

Nawet jeśli nie są zbyt piękne Poszli w kierunku ogrodu. Było południe. Błąd słońce rysowało ostre cienie na twardej, suchej ziemi Lonę przebiegł dreszcz.

Narzuciła płaszcz na szlafrok szpitalny, ale mimo to na pustyni odczuwała zimno Burris był lekko ubrany, ale wydawało się, że nie czuj chłodu. Łona zastanawiała się, czy jego nowe ciało posiada możliwości dostosowywania się do temperatur} jak wąż. Nie pytała jednak. Starła się nie rozmawia z nim o jego ciele. Im więcej się nad tym zastanawiali tym większą miała pewność, że w czasie chłodów weź gdzieś się kryły i zasypiały. Dała temu wreszcie spokój Opowiadał jej dużo o kaktusach. Chodzili tam i z powrotem po ogrodzie, alejkami wśród kolczastych roślin Nigdzie nie dostrzegła liścia ani nawet pączka. Nigdzie nie widziała kwiatów. Burris twierdził jednak, że pnąca są. Ten będzie miał w czerwcu piękny, czerwony owoc podobny do jabłka. Z tego robi się cukierki. Ze wszystkiego, i z kolców? Nie, z kolców nie! – zaśmiał się. Ona też się śmiała. Chciała wziąć go za rękę. Jakie to byłoby uczucie wyczuć palcami tę dodatkową rzecz?

Spodziewała się, że będzie się go lękać. Dziwne, ale nie odczuwała strachu.

Burris wskazał nagle na zamazany kształt, unoszący się nad jednym z groźniej wyglądających kaktusów.

– Popatrz tam!

– Duża ćma?

– Nie, koliber. Musiał się zgubić. Burris ruszył naprzód, wyraźnie podniecony. Łona zauważyła, że macki na jego dłoniach zaczęły poruszać się kuliście. Jak to często miało miejsce, kiedy przestawał się kontrolować. Ukląkł przyglądając się ptaszkowi. Patrzyła na jego profil, obserwując silną szczękę, skórę napiętą jak na bębenu w miejscu, w którym powinno być ucho. Następnie, wiedząc iż chciałby, żeby to zrobiła, zaczęła obserwować ptaka.

Spostrzegła maleńkie ciało długi, cienki dziób. Ptaszek był otoczony, jakby szarą rurką.

– Czy to są skrzydła? – spytała.

– Tak. Porusza nimi bardzo szybko. Nie możesz zobaczyć skrzydeł, prawda?

– Nie. Tylko cień.

– A ja je widzę! To nie do wiary! Widzę skrzydła tymi oczami!

– To wspaniałe, Minner!

– On się zabłąkał. Pewnie pochodzi z Meksyku.

– Pewnie chciałby tam wrócić. Umrze tu, zanim znajdzie kwiat.

Chciałbym mu pomóc.

– Złapać go, żeby ktoś zabrał go do Meksyku? Burris spojrział na swoje ręce, jak gdyby rozważał możliwość schwymania kolibra błyskawicznym ruchem.

Potrząsnął głową.

– Moje ręce nie są tak szybkie nawet teraz. Zresztą zgniótlbym go pewnie, gdyby nawet udało mi się go schwytać. Ja... go patrz!

Koliber odleciał. Łona śledziła wzrokiem brązowawy cień znikający w końcu ogrodu.

Przynajmniej poleli na południe – pomyślała. Zwróciła się do Burrisa.

– Czasami sprawia ci przyjemność, prawda? – spyta. – Czasami je lubisz... trochę? – Co lubię?

– Twoje nowe ciało.

Przebiegł go dreszcz. Łona zaczęła żałować, że o nim wspomniała. Burris zdawał się powstrzymywać słowa cisnące mu się na usta. W końcu odezwał się.

– Muszę przyznać, że czasami ma swoje zalety.

– Minner, zimno mi.

– Wracamy?

– Jeżeli nie masz nic przeciw temu.

– Cokolwiek sobie życzysz, Łona.

Poszli razem ku drzwiom. Ich cienie odchyłały się pod ostrym kątem w lewo. Był znacznie wyższy od niej, prawie o stopę. I bardzo silny. Chciałabym, żeby mnie objął!

Wcale nie odstręczał jej jego wygląd.

Oczywiście widziała tylko głowę i dłonie. Na piersiach może mieć ogromne, gapiące się oko albo usta pod pachami, ogon, jakieś wielkie, czerwone plamy. W miarę jak te pomysły przychodziły jej do głowy, stwierdziła, że nawet i one nie przerażały jej. Jeśli mogła tak szybko przyzwycząić się do jego twarzy i rąk, cóż mogą znaczyć pozostałe różnice? Nie miał uszu. Jego nos nie był nosem, jego oczy i usta były dziwne, a język i zęby, jak coś ze złego snu. Na każdej dłoni miał tę dodatkową rzecz. Szybko przestała je zauważać. Głos miał miły i normalny. Był taki inteligentny, taki interesujący. Wydawało się, że ją lubi. Czy był żonaty? Jak miała go zapytać?

Drzwi szpitalne wygięły się do wnętrza, gdy się zbliżyli.

– W moim pokoju, czy w twoim? – zapytał.

– Co będziemy robić?

– Siedzieć, gadać, grać w karty...

– Nudziłeś się grając w karty.

– Powiedziałem tak?

– Nie, byłeś zbyt uprzejmy, ale mogłam to wyczuć. Widziałam, że to ukrywałeś. To było wypisane na twojej... – tu głos jej urwał się – ...twarzy.

To wraca – pomyślała.

– Tu jest mój pokój – powiedziała.

Nieważne, do którego pokoju poszli. Były identyczne. Jeden wychodził na ogród za szpitalem, gdzie przed chwilą byli, a drugi na dziedziniec. Łóżko, biurko, sprzęt medyczny. Usiadł na krześle, ona na łóżku. Chciała, żeby zbliżył się i dotknął jej ciała, ogrzał je. Bała się jednak to zaproponować.

– Minner, kiedy wyjdiesz ze szpitala?

– Wkrótce. Za kilka dni. A ty?

– Myślę, że już mogłabym wyjść. Co będziesz robił po wyjściu?

– Nie jestem pewien. Myślę, że będę podróżować. Zobaczę świat i pozwolę, żeby świat mnie zobaczył.

– Zawsze chciałam podróżować – powiedziała. To było zbyt czytelne – pomyślała. – Właściwie, to nigdzie de byłam.

– Jak to nigdzie?

– Luna Tivoli. Kryształowa Planeta... no, nigdzie, ani w Chinach, ani na Antarktydzie.

– Nietrudno się tam wybrać. Wsiadasz na statek jedziesz.

Przez chwilę twarz jego stała się zamknięta. Nie siedziała, co ma o tym myśleć. Jego usta zacisnęły się, oczy zamknęły. Przypominał jej żółwia. Po chwili jednak rozchmurzył się i zaskoczył ją propozycją: – A może wybralibyśmy się tam razem?

Rozdział 17 ROZBIERAĆ SKORUPY

Chalk unosił się nieco ponad atmosferą. Patrzył na swój świat i stwierdził, że jest dobry. Morza były niebieskozielone albo zielononiebieskie. Wydawało mu się, że może dostrzec góry i lodowce. Ziemia brązowała w okowach zimy na północy. Zieleń lata pojawiła się dopiero poniżej wypukłego środka.

Wiele czasu spędzał w przestrzeni kosmicznej. Był to najlepszy, najbardziej estetyczny sposób pokonywania grawitacji. Jego pilot może nie był zachwycony, bo Chalk nie zezwalał na używanie grawitronów na orbicie ani nawet wirowania, żeby przywrócić wrażenie ciężaru. Pensja pilota była jednak tak wysoka, że znosił te niewygodny, o ile to były niewygodny.

Dla Chalka natomiast nie stanowiło to niewygodny. W dalszym ciągu miał swoją wagę, swoją wspianą wagę brontozaura, ale nie odczuwał niedogodności z nią związanych.

– Jest to jeden z niewielu przypadków – zwrócił się do Burrisa i dziewczyny – kiedy całkiem legalnie dostajesz coś za nic.

Zastanówcie się. Przy starcie neutralizujemy siłę ciężenia przy zastosowaniu grawitronów.

Nadmierne ciężenie zostaje pokonane i startujemy wygodnie. Nie dokonujemy żadnego wysiłku, dostając się tutaj. Nie płacimy wcześniejszą nadwagą, żeby znaleźć

się w nieważkości. Przy lądowaniu możemy w ten sam sposób poradzić sobie z hamowaniem.

Normalna waga– nieważkość – normalna waga. Żadnych przeciążeń. ; – Ale czy to nic nie kosztuje

– spytała Łona – przecież włączenie grawitronów musi mnóstwo kosztować. Jeżeli się wszystko weźmie pod uwagę, koszt | startu i lądowania, to nie zyskuje się czegoś za nic. Chalk rozbawiony spojrzał na Burrisa.

– Zauważyłeś, że jest bardzo sprytna.

– Właśnie widzę. Łona zarumieniła się.

– Żartujecie sobie ze mnie.

– Nie. Wcale nie – odparł Burris. – Trafiłaś prosto | w problem zachowywania grawitacji. Ale jesteś

zbyt rygorystyczna wobec naszego gospodarza. On patrzy na rzeczy ze swojego punktu widzenia. Nie musi odczuwać narastającej siły ciężenia, nic go to nie kosztuje. Nie odczuwa przyspieszeń. Pochłaniają je gawitrony. Widzisz, Łono, to tak, jak z popełnieniem zbrodni i zapłaceniem komuś za przejście procesu rehabilitacyjnego. To oczywiście kosztuje pieniądze, znalezienie kogoś w zastępstwie, gdy to ty popełniłaś zbrodnię, a on odbywa karę. Ekwiwalent pieniężny...

– Daj my temu spokój – powiedziała Łona. – W każdym razie tu jest przyjemnie.

– Lubisz nieważkość? – zapytał Chalk. – Byłaś już kiedyś w stanie nieważkości?

– Właściwie nie. Kilka krótkich podróży.

– A ty, Burris? Czy brak grawitacji pomaga ci?

– Tak, dziękuję. Trochę pomaga. Nie ma takiego nacisku na organy, które są w innym miejscu, niż być powinny. Nie czuję takiego nacisku w piersiach. Nie-ivielka ulga, ale jestem wdzięczny.

Chalk widział jednak, że Burris w dalszym ciągu cierpi. Może mniej, ale to jeszcze za mała ulga.

Jak to właściwie jest, stale czuć się źle? Chalk trochę to rozumiał, sam odczuwał wysiłek dźwigania swego ciała przy pełnej grawitacji. Ale przecież trwało to już tak długo. Był przyzwyczajony do stałego, bolesnego nacisku. A Burris? Ból wywołany wbijanymi paznokciami w ciało. Nie protestował. Tylko od czasu do czasu uczucie buntu wypływało na powierzchnię. Stan Burrisa ulegał po- prawie. Przyzwyczajają się do nowych warunków. Chalk wyczuwał emanacje bólu. Nie tylko bólu psychicznego, ale również fizycznego.

Burris stał się spokojniejszy, wydobył się już z czarnej dziury depresji, w jakiej zastał go Aoudad. Życie jego nie było jednak usłane różami.

W porównaniu z nim dziewczyna znajdowała się w znacznie lepszym stanie – pomyślał Chalk. Nie była tak skomplikowanym mechanizmem. Stojąc obok siebie, Burris i dziewczyna wyglądali na szczęśliwych. To z upływem czasu oczywiście ulegnie zmianie.

– Widzicie Hawaje? – zapytał Chalk. – A tam, na skraju globu, widać Chiny. Wielki Mur.

Odbudowaliśmy jego dużą część.

Widać go. Biegnie w głąb lądu tuż ponad tą zatoką. Przebiega na północ od Pekinu, o w tamtych górach, środkowej części brak. To ta część, która przecinała pustynię Ordos. Ten odcinek jednak nie przedstawiał większej wartości. Był to wał ziemny. Dalej jednak w Sinkiangu... o, właśnie już go widać. Mamy kilka ośrodków wzdłuż Muru. Wkrótce otworzymy nowy po stronie mongolskiej. Pałac Rozkoszy Kubilaja – zaśmiał się Chalk – ale w żadnym przypadku nie będzie majestatyczny. Chalk zauważył, że trzymali się za ręce. Skoncentrował się na analizowaniu ich uczuć. Jeszcze nic ciekawego. Z dziewczyny emanowało łagodne, niespójne zadowolenie, jak gdyby matczyne. Ale rozwinie się. A u Burrisa? Prawie nic, jak dotąd. Był zrelaksowany bardziej niż kiedykolwiek. Burris lubił tę dziewczynę.

Wyraźnie bawiła go. Przyjemnie mu było, że zwracała na niego uwagę. Nie żywił jednak do niej żadnych sil-

niejszych uczuć. Chyba nie miał o niej zbyt pochlebnej opinii. Ona wkrótce się w nim zakocha.

Chalk uważał, że o uczucie nie będzie raczej odwzajemnione. Ta różnica potencjałów może spowodować interesujący przepływ prądu. Powstał jakby termoelement. No, zobaczymy!

Statek mknął na zachód nad Chinami, nad Kansu, nad starym jedwabnym szlakiem.

– Słyszałem, że jutro wyruszacie w podróż – posiedział Chalk.

– Mówił mi Nick.

– Tak, cały program jest już ułożony – powiedział Burris.

– Nie mogę się już doczekać! Jestem strasznie podniecona! – wykrzyknęła Łona.

Ten dziewczęcy okrzyk wprowadził Burrisa w zakłopotanie. Chalk dobrze rozumiejący ich zmieniające się na-troje, odebrał chwilę poirytowania i przełknął ją łapczywie. Wybuch uczucia był gwałtowny i rozdarł gładką osłonę. Ciemna, poszarpana krecha na perłowszarej gładzi. To początek – pomyślał Chalk. Tak, to początek! – To będzie wyprawa! Miliardy ludzi dobrze wam życzą.

Rozdział 18 WYSTAWA ZABAWEK

Gdy tylko człowiek znalazł się w rękach Duncana Chalka, to rzeczywiście mógł poruszać się szybko. Agenci Chalka przewieźli ich bezpośrednio ze szpitala do prywatnego portu kosmicznego, a następnie, po locie dookoła świata, dostarczono ich wygodnie do hotelu. Był to najwspanialszy hotel na Półkuli Zachodniej.

Oszalałoby to Lonę, a u Burrisa wywoływało niejasny niepokój.

Wchodząc do holu Burris poślizgnął się na posadzce.

Zdarzało mu się to coraz częściej, od kiedy zaczął pojawiać się publicznie. Nigdy właściwie nie nauczył się używać swoich nóg.

Jego kolana były skomplikowanymi urządzeniami opartymi na zasadzie kuli i panewek, działającymi prawie bez tarcia.

Niespodziewanie jednak przestawały go podierać. Tak właśnie stało się i teraz. Odniósł wrażenie, że lewa noga rozpada się i zaczął!

osuwać się na gruby, żółty dywan.

Czuje hotelowe roboty skoczyły mu na pomoc. i Aoudad, którego refleks nie był tak szybki jak refleks robotów, usiłował go schwycić zbyt późno. Łona była jednak najbliżej. Przygięła kolana i podparła go ramieniem, podczas gdy Burris walczył o zachowanie równowagi. Zaskoczyła go jej siła. Podtrzymała go, dopóki nie nadbiegli inni.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała bez tchu.

– Mniej więcej.

Poruszył nogą w tył i w przód, dopóki nie upewnił się, że kolano wskoczyło na swoje miejsce.

Poczuł palący ból w udzie i w biodrze.

– Jesteś silna. Przytrzymałaś mnie.

– To wszystko wydarzyło się tak szybko. Nawet nie wiedziałam, co robię. Zareagowałam i już.

– Jestem przecież ciężki.

Aoudad podtrzymał go za ramię. Powoli zdał sobie sprawę z tego, co robi, i puścił go.

– Dasz sobie radę sam? Co się stało? – zapytał.

– Przez chwilę zapomniałem, jak działają moje nogi – wyjaśnił Burris.

Ból prawie go oślepił, ale opanował się i wzięwszy Lonę za rękę, poprowadził wszystkich w kierunku zespołu grawitronów.

Nikolaides załatwiał formalności związane z rejestracją. Spędzą tu dwa dni. Aoudad wszedł z nimi do najbliższego szybu windowego i pojechali na górę.

– Osiemdziesiąt dwa – powiedział Aoudad do tablicy kontrolnej w windzie.

– Czy to duży pokój? – spytała Łona.

– To apartament – powiedział Aoudad. – Mnóstwo pokoi.

Pokojów było siedem. Kilka sypialni, kuchnia, pokój wypoczynkowy i sala konferencyjna, w której mieli później spotkać się z przedstawicielami prasy. Na cichą prośbę Burrisa Łona otrzymała sąsiednią sypialnię. Nie doszło jeszcze między nimi do zbliżenia fizycznego. I Burris wiedział, że im dłużej będzie czekać, tym będzie i trudniej w przyszłości. A jednak się wstrzymywał. Nie był w stanie ocenić głębi jej uczucia, a miał również poważne wątpliwości odnośnie własnych.

Chalk nie szczędził wydatków, żeby zapewnić im wygodne pomieszczenie. Apartament urządzone bogato, udekorowano draperiami pochodzącymi z innych planet

i pulsującym wewnętrznym światłem. Ornamenty z włókna szklanego wydawały słodkie dźwięki przy podgrzaniu dłonią. Kosztowały majątek. Łóżko w jego pokoju było tak szerokie, że mogło pomieścić pułk wojska. W jej pokoju okrągłe łoże obracało się po dotknięciu przełącznika. Na sufitach sypialni rozmieszczono lustra. Można było nimi sterować tak, że układały się w ozdoby podobne do diamentów lub wyglądały jak potrzaskane odłamki. Przy odpowiednim ustawieniu dawały ostre, powiększone odbicie. Burris był pewien, że pokoje wyposażono i w inne sztuczki.

– Dzisiejsza kolacja zostanie podana w Sali Galaktycznej – oznajmił Aoudad. – Konferencja prasowa jutro o jedenastej. Po południu spotkanie z Chalkiem. Następnego dnia rano wyjeżdżacie na biegun.

– Świetnie – powiedział Burris.

– Czy chcesz, żeby lekarz obejrzał twoją nogę?

– To nie jest konieczne.

– Wracam za półtorej godziny i zabieram was na kolację.

Ubrania są w szafach.

Aoudad wyszedł.

Oczy Lony lśniły. Poruszała się jak w krainie czarów. Na Burrisie luksus nie wywierał większego wrażenia, choć lubił wygodę.

Uśmiechnął się do niej. Jej rumieńce pogłębiły się. Mrugnął do niej.

– Rozejrzyjmy się jeszcze raz – mruknęła. Wędrowali po apartamencie. Jej pokój, jego, kuchnia.

Dotknęła gałki programatora żywnościowego.

– Moglibyśmy zjeść tutaj – zaproponowała. – Może tak wolisz? Mamy tu wszystko, co potrzeba.

– Nie, pójdziemy do miasta.

– Dobrze.

Nie musiał się golić ani nawet myć. To zalety jego nowej skóry.

Łona była jednak zmuszona postępować jak człowiek. Zostawił ją w pokoju wpatrzoną w prysznic wibracyjny. Jego tablica kontrolna była niemal tak skomplikowana, jak sterownia statku kosmicznego. Niech się nim pobawi.

Obejrzał swoją szafę.

Wyposażyli go, jak gdyby miał być gwiazdą w trójwymiarowym dramacie. Na jednej z półek stało chyba ze dwadzieścia puszek odzieży natryskowej. Każda barwnie przedstawiała swoją zawartość.

W tej był zielony smoking i lśniąca tunika przetykana purpurową nicią. W następnej

jednocześnie luźna szata emanująca światło.

Jeszcze w innej uroczysty, pawi strój z epoletami i poszerzaną klatką piersiową. Burris wolał jednak prostsze wzory i bardziej konwencjonalne tkaniny – len, bawełnę, tradycyjne materiały.

Jego prywatne gusty nie liczyły się jednak w tym przedsięwzięciu. Gdyby miał pozostać przy swoich gustach, wciąż kryłby się w swoim zapuszczonym pokoju w Martlet Towers i rozmawiał ze swym własnym duchem. Przebywał jednak tutaj i z własnej woli odgrywał rolę marionetki pociąganej za sznurki przez Chalka. Musiał zatem wykonywać zaplanowane ruchy. To był jego czyściec. Wybrał epolety.

Jak sprawdzi się odzież natryskowa?

Jego skóra różniła się od ludzkiej. Przede wszystkim nie była tak porowata. Burris obawiał się, że może odrzucić ubranie. Albo, jak w złym śnie, powoli osłabiać powiązania między molekułami stroju, tak że jego odzież nagle rozpadnie się w Sali Galaktycznej, pozostawiając [go nie tylko nagim wśród tłumu, ale również ujawniając i całą jego odmienność. Zaryzykuje. Niech patrz! Niech zobaczą wszystko! Przypomniawszy sobie obraz Elise Prolisse, która jednym dotknięciem ukrytego przycisku pozbyła się swojej czarnej osłony, ujawniając białe piękno swego ciała. Na takiej odzieży nie można było polegać. Ale niech tak będzie. Burris rozebrał się i wsadził puszkę a wybranym strojem do rozpraszacza. Stał pod ,mm.

Ubranie w sprytny sposób zaczęło budować się wokół jego ciała.

Po niecałych pięciu minutach proces zakończył się. Nie bez przyjemności oglądał się w lustrze w swoim uroczystym stroju. Łona będzie z niego dumna.

Czekał na nią. Minęła prawie godzina. Z jej pokoju nie dochodziły żadne odgłosy. Chyba jest już gotowa.

– Łona? – zawołał, ale nie było żadnej odpowiedzi.

Poczuł przyływ paniki. Ta dziewczyna miała skłonności samobójcze. Przepych i elegancja hotelu mogły wystarczyć, żeby przekroczyła próg. Byli o tysiąc stóp ponad poziomem ulicy. Tym razem jej się powiedzie. Nie powinienem był zostawiać jej samej – pomyślał wściekły.

– Łona!

Przekroczył rozsuwającą się ścianę pomiędzy pokojami. Zobaczył ją natychmiast i aż nogi mu się ugięły, taką poczuł ulgę. Stała przy szafie, naga, zwrócona do niego tyłem. Wąskie ramiona, wąskie biodra tak, że nawet nie zauważało się wąskiej talii. Kręgosłup znaczył się pod jej skórą jak podskórny grzbiet górski, stromy, obrzeżony cieniem. Chłopięce pośladki. Żałował, że tak nagle wtargnął do jej pokoju.

– Nie słyszałem żadnych odgłosów – powiedział – więc kiedy nie odpowiedziałaś na wołanie, zaniepokoiłem się...

Odwróciła się do niego i Burris stwierdził, że martwiła się czymś więcej niż swą wystawioną na próbę skromnością. Oczy miała zaczerwienione, mokre policzki. W odruchu skromności przysłoniła swoje małe piersi szczupłą ręką. Gest był automatyczny i nic właściwie nie zakryła.

Usta jej drżały. Pod skórą wyczuwał szok, jaki wywołało w nim jej nagie ciało. Zaczął zastanawiać się, dlaczego ta nagość tak niewinna, wywarła na nim takie wrażenie. Chyba dlatego – pomyślał – że dotąd była za barierą, która w tej chwili została usunięta.

– Och, Minner, Minner, wstydziłam się zawołać cię. Stoję tu od pół godziny.

– A co się stało?

– Nie mam w co się ubrać!

Podszedł bliżej. Odsunęła się na bok, otwierając mu drogę do szafy. Stała teraz obok niego w dalszym ciągu zasłaniając piersi ręką.

Zajrzał do szafy. Stały tam dziesiątki puszek z odzieżą natryskową.

Było ich może nawet około setki.

– Jak to?

– Przecież nie mogę włożyć tego!

Wybrał jedną. Obrazek na etykiecie przedstawiał sukienkę jakby utkaną z nocy i mgły, elegancką, niezrównaną.

– Dlaczego?

– Chciałabym coś skromnego. Tutaj nic takiego nie ma.

– Coś skromnego? Do Sali Galaktycznej?

– Boję się, Minner.

Rzeczywiście się bała. Cała pokryta była gęsią skórką.

– Czasami jesteś jak dziecko! – warknął. Słowa te ubodły ją.

Cofnęła się. Wyglądała jeszcze bardziej nago niż przedtem. Nowe łzy spłynęły jej po policzkach.

Okrucieństwo tych słów zdawało się jeszcze i trwać w pokoju, jak śliski osad, chociaż same słowa już i umilkły.

– Jeśli jestem dzieckiem – powiedziała zduszonym głosem – to dlaczego zabieracie mnie do Sali Galaktycznej?

Objąć ją? Pocieszyć? Burrisem targała niepewność. Starał się nadać swemu głosowi brzmienie pośrednie pomiędzy ojcowskim gniewem a niepokojem.

– Nie wygłupiaj się, Łona – powiedział. – Jesteś i ważną

osobistością. Cały świat będzie cię dziś oglądać i mówić, jaka jesteś piękna i szczęśliwa. Włóż coś, w co i chciałyby ubrać się Kleopatra. I wyobraź sobie, że jesteś i Kleopatram.

– A czy wyglądam jak Kleopatra?

Przyjrzał się jej ciału. Wyczuł, że o to jej właśnie chodziło.

Musiał przyznać, że nie wyglądała zmysłowo. Może właśnie takie wrażenie chciała na nim

wywrzeć. A jednak była na swój sposób atrakcyjna, nawet kobieca. Coś pośredniego pomiędzy

figlarną dziewczęcością a nerwową kobiecością.

– Wybierz jedną z nich i włóż. Rozkwitniesz w niej i wszystko będzie pasować. Nie krępuj się. Ja też włożyłem ten wariacki kostium, chociaż wydaje mi się niezwykle śmieszny. Musisz się do mnie dopasować. Spróbuj.

– Z tym też jest kłopot. Tego jest tyle, że nie mogę wybrać!

Tu miała trochę racji. Burris zajrzał do szafy. Wybór rzeczywiście był ogromny. Nawet Kleopatra byłaby oszołomiona.

Rozglądał się niepewnie w nadziei, że trafi na coś, co wyda się od razu odpowiednie dla Lony.

Żadna z tych sukien nie została jednak zaprojektowana dla nieszczęśliwych dziewcząt i tak długo, jak myślał o niej w tej kategorii, nie mógł dokonać wyboru. Na koniec powrócił do tej, którą wybrał na początku przypadkiem, do tej eleganckiej i gustownej.

– To – powiedział – myślę, że to będzie właściwe. Patrzyła z powątpiewaniem na etykietę.

– Będę czuła się skrępowana w czymś tak wymyślnym.

– Myślałem, że tę sprawę już załatwiliśmy. Włóż suknię.

– Nie wiem, jak się obsługuje maszynę.

– Najprostsza rzecz na świecie – wybuchnął i znowu miał do siebie pretensje, że tak łatwo wpada w ton pouczający, rozmawiając z nią. – Instrukcja jest na puszcze. Wkładasz ją do pojemnika...

– Zrób to dla mnie.

Zrobił to. Stała pod maszyną szczupła, blada i naga, podczas gdy strój wypływał z dyszy w postaci przejrzystej mgły i owijał się wokół niej. Burris zaczął podejrzewać, że manipulowano nim, i to całkiem zręcznie. Jednym, wielkim skokiem przekroczyli barierę nagości i teraz pokazywała mu się z taką swobodą, jak gdyby była jego żoną od dziesięcioleci. Szukając jego porady w sprawie stroju, zmuszając go, żeby stał blisko podczas, gdy obracała się pod dyszą maszyny stając się elegancka.

Mała wiedźma!

Podziwiał ją. Łzy, skulone nagie ciało, ta poza biednej, małej dziewczynki. A może wyobrażał sobie znacznie więcej niż było w rzeczywistości? Może. Prawdopodobnie.

– Jak wyglądam?

– Wspaniale! – Był o tym przekonany. – Tu jest lustro.

Zobacz sama.

Blask przyjemności promieniujący z niej miał moc kilku kilowatów.

Burriss stwierdził, że błędnie zrozumiał jej zachowanie. Była znacznie mniej skomplikowana.

Prawdziwie przerażona myślą o tym, że ma być elegancka, a teraz szczerze zachwycona ostatecznym efektem.

A efekt był wspaniały. Dysza wypluła suknię, nie całkiem przejrzystą i obcisłą, która otaczała ją jak chmura, przysłaniając szczupłe uda i opadające ramiona, udatnie sugerując zmysłowość, której wcale nie było. Nikt nie nosił bielizny pod odzieżą natryskową. Jej nagie ciało skryło się zaledwie pod wzrokiem obserwatora. Przebiegłość projektantów polegała na tym, że luźny krój sukienki jak gdyby powiększał i wzmacniał jej właścicielkę. Kolory również zachwycały.

Magia molekuł powodowała, że polimery nie wiązały się trwale jednym fragmentem widma.

Każdy ruch Lony powodował zmianę odcieni – od szarego jak przedświt do błękitu letniego nieba, od czerni i stalowego brązu po perłowy i fiołkoworóżowy.

Lonę ogarnął nastrój wyrafinowania, jaki sugerowała suknia.

Wydawała się wyższa, starsza, bardziej czujna i pewna siebie. Wyprostowała ramiona i jej piersi wysunęły się do przodu, ulegając zaskakującej przemianie.

– Podoba ci się? – spytała cicho.

– Jest wspaniała.

– Czuję się tak dziwnie. Jeszcze nigdy nic takiego nie miałam.

Stałam się nagle Kopciuszkiem jadącym na bal!

– A Duncan Chalk jest twoją babcią-wróżką? Wybuchnęli śmiechem.

– Mam nadzieję, że o północy zmieni się w dynię – powiedziała. Podeszła do lustra.

– Minner, za pięć minut będę gotowa. Wrócił do swojego pokoju. Potrzebowała nie pięciu, ale piętnastu minut, żeby usunąć ślady łez z twarzy. Przebaczył jej jednak. Kiedy w końcu pojawiła się, z trudem ją rozpoznał. Upiększyła twarz w sposób, który ją zupełnie odmienił. Oczy miała obramowane lśniącem pyłem, usta lśniły bogatą fosforescencją, uszy przykryła złotymi klipsami. Wpłynęła do pokoju, jak strzępek porannej mgły.

– Możemy iść – powiedziała gardłowo.

Burriss wydawał się zadowolony i rozbawiony. W pewnym sensie była małą dziewczynką przebraną za kobietę. Z drugiej strony to kobieta, która zaczyna odkrywać, że przestała już być dziewczynką.

Czy rzeczywiście poczwarka już przeistoczyła się? W każdym razie podobała mu się taka właśnie, po prostu śliczna. Może ze względu na nią mniej ludzi będzie patrzeć na niego.

Razem ruszyli do szybu windowego.

Tuż przed wyjściem z pokoju zawiadomił Aoudada, że idą na kolację. Zjechali na dół. Burriss poczuł budzący się strach i stłumił go z ponurą determinacją. Po raz pierwszy od powrotu na Ziemię pokaże się tak szerokiej publiczności. Kolacja w najsławniejszej restauracji. Jego zmieniona twarz może zepsuć smak kawioru tysiącom gości. Ze wszystkich stron oczy zwracały się ku niemu. Rozejrzał się tytułem próby. Zaczerpnął w jakiś sposób siły od Lony i przywdział zbroję odwagi, tak jak ona włożyła obcy jej elegancki strój.

Kiedy znaleźli się w holu, Burriss usłyszał westchnienia widzów.

Przyjemność? Groza? Poczucie zachwycającej odrazy? Nie był w stanie odczytać motywów, słysząc te nagłe westchnienia. Patrzyli, reagowali na tę dziwną parę, która pojawiła się w szybie windowym.

Burriss prowadząc Lonę opartą na jego ramieniu zachował twarz bez wyrazu. Przyjrzyjcie się nam dobrze – pomyślał gniewnie. – Jesteśmy parą stulecia. Zniekształcony astronauta i dziewicza matka setki dzieci. Epokowe widowisko.

Wszyscy patrzyli. Burriss czuł ich spojrzenia na pozbawionej uszu głowie, na poruszających się poziomo powiekach, na odmienionych ustach. Zaskoczony własnym brakiem reakcji na ich wulgarną ciekawość. Patrzyli również na Lonę. Ona miała jednak mniej do zaoferowania. Jej blizny były wewnętrzne.

Nagle po lewej stronie sali nastąpiło poruszenie.

W chwilę później z tłumu wyłoniła się Elise Prolisse i ruszyła w ich stronę wołając chrapliwie: –
Minner! Minner!

Wyglądała jak rozszalała wojowniczką ze skandynawskiej sagi. Miała przedziwny makijaż – dziką i monstualną parodię elegancji – błękitne policzki, czerwone obrzeża nad oczami. Zrezygnowała z

natryskowego stroju. Miała na sobie suknię z jakiejś szeleszczącej, uwodzicielskiej tkaniny naturalnej, głęboko wyciętą i odsłaniającą mlecznobiałe półkule jej piersi. Ręce zakończone lśniącymi szponami wyciągnęła ku nim.

– Próbowałam się dostać do ciebie – wysapała – ale mnie nie dopuścili. Oni... Aoudad przecisnął się ku nim.

– Elise...

i Rozorała mu policzek paznokciami. Aoudad zatoczył [się wstecz, klnąc. Elise zwróciła się do Burrisa. Jadowi-

tym wzrokiem zmierzyła Lonę. Pociągnęła Burrisa za rękę.

– Chodź ze mną. Teraz, kiedy cię znowu znalazłam, nie opuszczę cię.

– Zabierz od niego ręce! – włączyła się Łona. Słowa jej były jak lśniące noże.

Starsza kobieta popatrzyła z wściekłością na dziewczynę. Burris zmieszany pomyślał, że zaraz zaczną się bić. Elise ważyła dobre czterdzieści funtów więcej niż Łona, a Burris dobrze wiedział, że była bardzo silna. Ale Łona zyskała również nieoczekiwane siły.

Scena w holu hotelowym – pomyślał z niespodziewaną wyrazistością – nic nam nie będzie oszczędzone.

– Kocham go, ty mała suko! – wykrzyknęła Elise chrapliwie.

Łona nie odpowiedziała. Jednakże jej ręka wyciągnęła się błyskawicznym, tnącym ruchem, w kierunku wyciągniętego ramienia Elise. Kant jej dłoni zderzył się z trzaskiem z mięsistym przedramieniem Elise. Ta z sykiem cofnęła rękę. Zagięła palce, jak szpony. Łona wyprostowała się, przygięła kolana szykując się do skoku.

Wszystko to trwało kilka sekund. Zareagowali zaskoczeni goście hotelowi. Burris opanowując początkowy paraliż, wstąpił między nie, zasłaniając Lonę przed furią Elise. Aoudad chwycił ją za rękę.

Chciała się wyrwać, a jej nagie piersi drżały. Z drugiej strony nadbiegł Nikolaides. Elise krzyczała, kopała, szarpała się. Hotelowe roboty utworzyły krąg. Burris patrzył, jak Elise odciągano na bok. Łona oparła się o onyksową kolumnę. Miała zaróżowioną twarz, ale nawet jej makijaż nie został naruszony. Była bardziej zaskoczona niż przestraszona.

– Kto to był? – spytała.

– Elise Prolisse. Wdowa po jednym z członków załogi.

– Czego chciała?

– Kto wie? – skłamał Burris.

– Powiedziała, że cię kocha – Łona nie dawała za wygraną.

– To jej sprawa. Żyła ostatnio w wielkim napięciu.

– Widziałam ją w szpitalu. Odwiedzała cię. Zielone ogniki zazdrości zapłonęły w oczach Lony.

– Czego od ciebie chciała? Dlaczego zrobiła tę scenę? Aoudad przyszedł mu z pomocą.

Przytrzymując chusteczkę przy zakrwawionym policzku zawiadomił: – Daliśmy jej środek uspokajający. Już nam nie będzie zawracać głowy. Strasznie mi przykro. Głupia, histeryczna baba...

– Wracajmy na górę – powiedziała Łona – nie mam ochoty iść do Sali Galaktycznej.

– Ach, nie – zaprotestował Aoudad – nie wycofujmy się. Dam ci coś na uspokojenie i natychmiast lepiej się poczujesz. Nie można pozwolić, żeby taki głupi incydent zepsuł nam wspaniały wieczór.

– Wyjdźmy przynajmniej z holu – zaproponował Burris krótko.

Mała grupka pospieszyła ku jasno oświetlonej sali. Łona opadła na sofę. Burris boleśnie odczuwał minione napięcie. Czuł ból w udach, nadgarstkach, piersiach. Aoudad wydobył pudełeczko pastylek. Jedną zażył sam, drugą podał Łonie. Burris odtrącił podawaną pastylkę, wiedząc, że nie pomoże. Po chwili Łona znów się uśmiechała.

Wiedział, że nie pomylił się co do uczucia zazdrości widocznego w jej oczach. Elise wpadła jak tajfun, grożąc, że zabierze wszystko, co Łona posiadała, a Łona broniła się zajadle. Burris był zarówno mile połączony, jak i zaniepokojony. Nie mógł zaprzeczyć, że odczuł przyjemność, jak każdy mężczyzna, który staje się powodem takiej rywalizacji. Unaocniło mu to jednak, jak bardzo Łona zaangażowała się w tę znajomość. Sam nie czuł jeszcze tak głębokiego zaangażowania. Lubił dziewczynę, był wdzięczny za jej towarzystwo, ale nie czuł do niej miłości.

Miał poważne wątpliwości, czy w ogóle zakocha się w niej lub w kimkolwiek innym. Ale ona, nawet pomimo braku kontaktów fizycznych, które by ich zbliżyły > wyraźnie stworzyła sobie jakąś wewnętrzną fantazję romansu. Burris wiedział, że tu tkwią załączki kłopotów.

Łona szybko przysła do siebie po ataku Elise. Pastylki Aoudada działały szybko. Wstali z sofy.

Aoudad znowu uśmiechnięty mimo skaleczonego policzka.

– Idziemy na kolację? – zapytał.

– Czuję się znacznie lepiej – powiedziała Łona. – To wszystko stało się tak nagle... byłam wstrząśnięta.

– Po pięciu minutach w Sali Galaktycznej zapomnisz o wszystkim – powiedział Burris.

Znowu podał jej rękę. Aoudad poprowadził ich do specjalnego szybu windowego prowadzącego do Sali Galaktycznej. Wstąpili na płytę grawitacyjną i pomknęli wzwyż. Restauracja znajdowała się na szczycie hotelu z widokiem otwartym ku niebu, jak jakieś prywatne obserwatorium albo świątynia żywności dla sybarytów. Wciąż drząc pod wpływem niespodziewanego ataku Elise, Burris poczuł nowy przypływ niepokoju w miarę, jak zbliżali się do wejścia do restauracji. Zachowywał spokój, ale czy nie ogarnie go panika wobec boskiego przepychu Sali Galaktycznej?

Kiedyś już raz tu był, dawno temu. Ale to było w innym ciele, a tamta dziewczyna już nie żyła.

Płyta grawitacyjna zatrzymała się. Wstąpili w kaskadę żywego światła.

Aoudad ogłosił złowieszczo: – Sala Galaktyczna. Wasz stolik czeka. Bawcie się dobrze.

Zniknął. Burris uśmiechnął się w napięciu do Lony, która wyglądała na otumanioną i oszołomioną pod wpływem szczęścia i przerażenia. Kryształowe drzwi otwarły się przed nimi. Weszli.

Rozdział 19 LE JARDIN DES SUPPLICES

Od czasów Babilonu takiej restauracji jeszcze nie było. Tarasy wznosiły się rząd za rzędem ku gwiazdzistej kopule. Nie stosowano tu załamania światła i wydawało się, że restauracja otwiera się ku niebu, ale w rzeczywistości goście byli całkowicie osłonięci przed zmianami pogody. Zastłona z czarnego światła otaczająca fasadę hotelu osłaniała restaurację przed oddziaływaniem światła miejskich tak, że gwiazdy zawsze lśniły nad Salą Galaktyczną, jak nad opuszczonym lasem.

Dalekie światy zdawały się być w zasięgu spojrzenia. Przedmioty pochodzące z tych światów, gwiazdne żniwo, dodawały świetności tej sali. Struktura jej zaokrąglonych ścian wynikała ze zgromadzonych tu cacek pochodzących z innych planet. Kamienie o ostrych kolorach, skorupy, obrazy, dźwięczące magiczne drzewa wykonane z magicznych stopów, zygzakowate konstrukcje z

żywego światła, a każdy przedmiot umieszczony w oddzielnej niszy na poszczególnych rzędach tarasów. Stoły zdawały się wyrastać z podłogi, którą pokrywał dywan wykonany z żywego, nierozumnego organizmu, znalezionej na jednej z planet Aldebarana. Szczerze mówiąc dywan ten niewiele różnił się od ziemskiej pleśni, ale kierownictwo nie przejmowało się tym nadmiernie, a efekt, jaki stwarzał, świadczył o przepychu lokalu.

W wybranych miejscach Sali Galaktycznej znajdowały się jeszcze inne rzeczy. Krzewy w donicach, słodko pachnące kwiaty, nawet karłowate drzewa, a wszystko (jak mówiono) pochodzi z innych planet. Sam kandelabr stanowił produkt innej cywilizacji.

Gigantyczny wykwit składający się jak gdyby ze złotych łez, wykonanych z podobnej do bursztynu wydzieliny zwalistej bestii morskiej żyjącej u szarych wybrzeży jednej z planet w gwiazdozbiorze Centaura.

Kolacja w Sali Galaktycznej kosztowała bająnskie sumy. Co wieczór wszystkie stoliki były zajęte. Należało dokonać rezerwacji na kilka tygodni wcześniej. Ci, którzy przyszli tu tego wieczora, przeżyli niezwykłą chwilę oglądając astronautę i dziewczynę, mającą tak wiele dzieci. Goście, którzy sami byli wybitnymi osobistościami, wykazali jedynie przelotne zainteresowanie tą sławną parą. Krótki rzut oka, a później uwaga ich koncentrowała się na cudach na własnym talerzu.

Łona przywarła ciasno do ramienia Burrisa, gdy przechodzili przez grube, przezroczyste drzwi. Jej drobne palce wbiły się tak głęboko, że wiedziała, iż musi sprawiać mu ból. Stała na wąskiej – wzniesionej nad poziom sali platformie, patrząc w bezkresną pustkę, z niebem płonącym gwiazdami nad głową. Kopuła nad restauracją miała setki stóp średnicy. Rzędy stołów były przymocowane jak łuski do kopuły restauracji i w ten sposób każdy z gości miał miejsce przy oknie.

Odniosła wrażenia, że spadnie w głębinę otwierającą się przed nią.

Och, wykrzyknęła. Kolana jej drżały, w gardle miała sucho, zachwiała się na wysokich obcasach i

szybko zamknęła i otworzyła oczy. Strach przeszywał jej mózg w tysiącu miejsc. Może spaść i zginąć w głębinie albo jej natryskowa sukienka rozsypie się i zostanie naga wśród tego odzianego w modne stroje tłumu, albo ta wiedźma z wielkimi cyckami pojawi się znowu i zaatakuje ich, gdy będą jedli, może popełnić jakiś straszny błąd przy stole lub nagle się rozchorować i zabrudzić dywan. Wszystko może się zdarzyć. Ta restauracja była jak sen, niekoniecznie piękny sen. Niski głos płynący znikąd odezwał się nagle: – Pan Burris, panna Kelvin, witamy w Sali Galaktycznej. Prosimy...

– Musimy wejść na tę płytę grawitacyjną – ponaglił Burris.

Miedziana płyta w kształcie grubego na cal dysku tkwiła u brzegu platformy. Burris wprowadził ją na tę płytę, która natychmiast oderwała się od platformy ruszyła do przodu i ku górze. Łona nie patrzyła w dół.

Płynąca wolno płyta przeniosła ich w odległy koniec sali zatrzymała się przy nie zajęтым stoliku, ulokowanym, dawało się niebezpiecznie, na skraju wspornika. Burris pomógł Łonie zejść z dysku na parapet. Dysk odpłynął wracając na swoje miejsce. Łona przez chwilę widziała jego krąg lśniący odbitym światłem.

Stół na jednej nodze zdawał się wyrastać ze wspornika i stanowić jego integralną część. Łona z ulgą usiadła na krześle, które natychmiast dopasowało się do konturu jej pleców i pośladków. Było coś obscenicznego w tym nacechowanym pewnością uchwycie, a jednak budziło w niej zaufanie.

Pomyślała, że krzesło nie upuści jej, gdy zakręci jej się w głowie i nie pozwoli jej zsunąć się po stromej pochyłości otwierającej się po jej lewej stronie.

– Jak ci się podoba? – spytał Burris spoglądając jej w oczy.

– To jest niepojęte. Nie wyobrażałam sobie, że to może tak wyglądać.

Nie powiedziała mu, że z wrażenia prawie dostała mdłości.

– Stolik mamy specjalnie dobrany. Pewnie jada Ełlzy nim Chalk, kiedy tu przychodzi. ? – Nigdy

nie wiedziałam, że gwiazd jest aż tyle!

Spojrzeni ku górze. Z miejsca, w którym siedzieli, mogli widzieć sklepienie niebieskie pod kątem stu pięćdziesięciu stopni. Burris zaczął pokazywać jej gwiazdy i planety.

– Mars – powiedział – łatwo go dostrzec. To ten duży, pomarańczowy. Czy widzisz Saturna?

Pierścieni oczywiście nie widać, ale...

Wziął ją za rękę i wskazywał odpowiednie miejsca, opisywał niebo, aż zrozumiała, o co mu chodzi.

– Niedługo tam będziemy, Łono. Tytana stąd nie widać gołym okiem, ale dotrzemy tam niedługo. I wtedy zobaczymy pierścienie!

O, patrz tam – Orion. I Pegaz...

Nazywał poszczególne konstelacje i gwiazdy ze zmysłową przyjemnością wymawiając dźwięczne imiona: Syriusz, Arktur, Polaris, Bellatrix, Rigel, Algol, Antares, Aldebaran, Betelgeza, Procjon, Markab, Deneb, Wega, Alfeka.

– Każda z nich, to słońce. Większość ma planety, a wszystkie możemy oglądać.

– Czy odwiedziłeś wiele innych słońc?

– Jedenaście. Dziewięć miało planety.

– Odwiedziłeś jakieś z tych, o których mówiłeś? Podobają mi się te nazwy. Potrząsnął głową.

– Nie. Te, które odwiedziłem, nosiły numery, a nie nazwy.

Przynajmniej nie miały nazw nadanych przez ludzi. Większość nosiła inne nazwy. Nauczyłem się niektórych z nich.

Zauważyła, że kąciki jego ust otwarły się, a następnie natychmiast zamknęły. Łona wiedziała już, że to znak narastającego napięcia. Czy powinnam rozmawiać z nim o gwiazdach? Może nie chce, żeby mu przypominać!

Jednakże pod tym rozświetlonym sklepieniem trudno było o gwiazdach nie rozmawiać.

– Czy kiedyś tam wrócisz? – spytała.

– Poza system słoneczny? Wątpię. Jestem już na emeryturze. Nie ma lotów turystycznych do pobliskich gwiazd. Ale z Ziemi wyjadę.

Wyjedziemy razem na wycieczkę planetarną. To nie to samo, ale bezpieczniej.

– Czy możesz... czy możesz... – zastanawiała się przez chwilę, a potem zapytała z pośpiechem – ... pokazać planetę, gdzie cię złapali?

Znowu szybkie skurcze warg.

– To błękitne słońce. Nie widać go z tej półkuli. A nawet i stamtąd nie widać go gołym okiem.

Sześć planet. Manipool jest czwartą od słońca. Gdy byliśmy na orbicie i przygotowaliśmy się do lądowania, czułem dziwne podniecenie. Jak gdyby przeznaczenie kierowało mnie w to miejsce.

Może jestem trochę jasnowidzem? Oczywiście Manipool odegrała wielką rolę w moim życiu, ale jasnowidzem chyba nie jestem. Czasami opanowuje mnie przekonanie, że jeszcze tam wrócę. To absurd. Jechać tam jeszcze raz... znowu stanąć twarzą w twarz z nimi.

Jego pięść zacisnęła się nagle konwulsyjnym ruchem, który szarpnął całym ramieniem. Wazon wypełniony kwiatami o błękitnych, mięsistych płatkach o mało nie runął w przepaść pod nimi.

Łona schwyciła go. Zauważyła, że gdy zacisnął pięść, mała zewnętrzna | macka owinęła się zręcznie wokół palców. Uchwyciła (jego ręce w obie dłonie i przytrzymała dopóki napięcie | nie minęło i zaciśnięte pięści nie rozluźniły się.

– Nie mówmy o Manipool – zaproponowała. – Ale gwiazdy są piękne.

– Tak. Właściwie nigdy o nich nie myślałem w ten | sposób, dopóki nie wróciłem na Ziemię z pierwszej | wyprawy. Stąd widać tylko punkty świetlne. Kiedy jednak podróżuje się w ich świetle, dzięki ich sile widzi się to inaczej. Zostawiają w tobie swój ślad. Czy wiesz, Łono, że z tej sali widać gwiazdy prawie tak samo wyraźnie, jak z okien statku kosmicznego?

– Jak oni to robią? Nigdy dotąd nie widziałam czegoś podobnego.

Usiłował wyjaśnić jej działanie kurtyny czarnego światła. Łona przestała jednak rozumieć już po

trzecim zdaniu, ale patrzyła z uwagą w jego dziwne oczy, udając, że słucha i czując, że nie powinna go oszukiwać. Tyle wiedział! A jednak w tej wspaniałej sali bał się tak samo jak ona. Tak długo, jak trwała rozmowa, istniała bariera pomiędzy nimi a strachem. Gdy zapadała cisza, Łona zaczynała zdawać sobie sprawę z istnienia setek bogatych, wyrafinowanych ludzi wokół nich, z przytłaczającego luksusu sali, z głębi otwierającej się tuż obok nich i z własnej ignorancji i braku doświadczenia. Czowała się naga w blasku tych wszystkich gwiazd. W przerwach w rozmowie nawet Burris stawał się osobą obcą, a jego deformacje, które już przestawała zauważać, nagle znowu zaczynały rzucać się w oczy.

– Napijiesz się czegoś? – zapytał.

– Tak, proszę, ale ty zamów! Ja nie wiem co. W pobliżu nie było żadnego kelnera – ani człowieka, ani robota. Nie zauważyła również, żeby inne stoliki były obsługiwane. Burris złożył zamówienie, mówiąc po prostu do otworu przysłoniętego złotą siatką znajdującą się obok jego lewego łokcia. Jego chłodna znajomość rzeczy obudziła w niej podziw. Podejrzewała, że właśnie o to chodziło.

– Czy często tu przychodziłeś? Wydaje się, że doskonale wiesz, co trzeba robić.

– Byłem tu raz. Ponad dziesięć lat temu. Tego miejsca łatwo się nie zapomina.

– Czy już byłeś wtedy astronautą?

– Tak. Już zaliczyłem parę podróży. Spędzałem urlop z dziewczyną, na której chciałem wyrzucić wrażenie...

– Och.

– Nie wywarłem na niej wrażenia. Wyszła za mąż za

...kogoś innego. Zginęli, kiedy zawaliło się Koło. Byli w podróży poślubnej.

Ponad dziesięć lat temu. Miała wtedy siedem lat. Uczuła się przytłoczona swoją młodością. Z ulgą zauważyła, że pojawiły się napoje.

Przypłynęły przez pustkę na niewielkiej antygravitacyjnej tacce.

Wydawało się niepojęte, że żadna z tac, których jak Łona zauważyła, było sporo, nie zderzyła się z inną, gdy wznosiły się ku stolom. Ale oczywiście oprogramowanie nieprzecinających się orbit nie stanowiło zbyt trudnego zadania.

Jej napój przybył w miseczce z polerowanego, czarnego kamienia, która w rękę wydawała się gruba, ale była gładka i wysmukła, kiedy dotknęły jej usta. Automatycznie podniosła miseczkę do warg, ale na ułamek sekundy, zanim napiła się, zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Burris czekał uśmiechając się. Jego szklanka wciąż stała na stole.

Wygląda jak cholerny dyrektor szkoły z tym swoim uśmiechem – pomyślała. – Zwraca mi uwagę bez słów. Wiem, co sobie myśli.

Myśli, że jestem ignorantką, zwykłą niewychowaną dziewczuchą.

Jej gniew powoli opadał. Gniew ten właściwie był skierowany przeciwko niej samej, a nie przeciw niemu, z czego po chwili zdała sobie sprawę. To jej pozwoliło uspokoić się jeszcze bardziej.

Spojrzała na jego napój. Coś w nim pływało. Szklanka wykonana była z przezroczystego kwarcu,

W trzech piątych wypełniona była gęstym zielonym płynem. Małe zwierzątko w kształcie łązki poruszało się w nim leniwie tam i z powrotem. Jego fioletowa skóra pozostawiała za sobą słaby, fosforyzujący ślad w głębi płynu.

– Czy to powinno tam być? Burris roześmiał się.

– To nazywa się „Deneb martini”. Przedziwna nawa.

Specjalność zakładu.

– A to, tam w środku?

– To właściwie jest kijanka. Pływające żyjątko z jednej z planet Aldebarana.

– I ty to wypijesz?

– Tak, żywe.

– Żywe? – Lonę wstrząsnął dreszcz. – Dlaczego? Czy to jest smaczne?

– Nie. Właściwie to jest zupełnie bez smaku. To jest zwykła dekoracja. Pełen cykl wyrafinowania.

Powrót do barbarzyństwa.

Jeden łyk i koniec.

– Ale ono jest żywe! Jak można je zabijać?

– Czy jadłaś kiedyś ostrygi, Łono?

– Nie. Co to są ostrygi?

– Skorupiaki. Kiedyś całkiem popularna potrawa. Podawane były w muszlach. Żywe. Polewało się je sokiem cytrynowym, wiesz, kwaskiem cytrynowym. Wtedy kurczyły się. Można je było wtedy jeść. Smakowały morzem. Widzisz, tak już jest. Ostrygi nie wiedzą, co się z nimi dzieje. Nie mają nadziei, obaw, marzeń. To samo dotyczy tego żyjątko.

– Ale zabijać...

– Zabijamy po to, żeby jeść. Prawdziwa moralność w dziedzinie żywności, pozwoliłaby nam jeść tylko syntetyki.

Burriss uśmiechnął się dobrotliwie.

– Przykro mi. Nie zamówiłbym tego napoju, gdybym wiedział, że cię to obruszy. Czy mam go zwrócić?

– Nie. Wypije go ktoś inny. Nie chciałam tego wszystkiego mówić. Trochę się zdenerwowałam.

Ale to twój napój, Minner. Pij.

– Odeślę go.

– Proszę...

Dotknęła macki na jego lewej ręce.

– Wiesz dlaczego się sprzeciwiałam? To jest jakby udawanie Boga. Połknąć żywą istotę. Jesteś przecież

ogromny i zniszczysz żywą istotę, która nawet nie będzie wiedziała dlaczego. Tak samo... –

przerwała.

– Tak samo, jak istoty z innej cywilizacji mogą zoperować istotę niższą bez potrzeby wytłumaczenia się? – zapytał. – Tak samo, jak lekarze mogą przeprowadzać zawiłe eksperymenty z jajnikami dziewczyny bez zastanawiania się nad konsekwencjami psycho- logicznymi? Boże, Łono! Musimy odrzucić takie myśli i nigdy do nich nie wracać!

– Co zamówiłeś dla mnie?

– Gaudax. Aperitif z planety systemu Centaura.

Będzie ci smakować. Na zdrowie.

– Na zdrowie.

Zetknęli swoje naczynia w pozdrowieniu. Wypili.

Aperitif z Centaura łaskotał ją w język, był z lekka oleisty, delikatny, wyśmienity. Przebiegł ją dreszcz przyjemności. Po trzech szybkich łykach odstawiła miseczkę.

| W szklance Burrisa żyjątko już nie było.

– Chciałabyś spróbować mojego? – spytał.

– Nie. Proszę... Skinął głową.

– Zamówimy w takim razie kolację. Wybaczysz mi ten nietakt?

Dwa ciemnozielone sześciany o boku długości około czterech cali stały obok siebie na stole. Łona myślała, że | stanowią po prostu ozdobę. Burris jednak popchnął jeden z nich w jej kierunku i zdała sobie sprawę, że to (było menu. Gdy wzięła go do ręki, w głębi sześcianu | zapłonęło światło i litery pojawiły się około cala nad | gładką powierzchnią. Obracała sześcian w rękach. Zupy, mięsa, zakąski, desery... Nie rozpoznała żadnych nazw [potraw.

– Minner, ja tu w ogóle nie powinnam była przyjść. Jadam zwyczajne rzeczy, a to wszystko jest tak wyszukane, że nie wiem od czego zacząć. Czy mam zamówić dla ciebie?

– Tak będzie lepiej. Ale tu nie ma potraw, na które naprawdę mam ochotę. Lubię mielony białkowy

befszyk i szklanę mleka.

– O tym zapomnij. Spróbuj coś bardziej niezwykłego.

– To takie sztuczne. Ja udająca smakosza.

– Niczego nie udawaj. Jedz i ciesz się smakiem. Mielony befszyk białkowy nie jest jedynym daniem na świecie.

Jego spokój docierał do niej, czuła go wyraźnie, ale nie wpłynęło to na poprawę jej nastroju.

Zamówił dla obojga. Łona była dumna z jego znajomości rzeczy. Nie było nic nadzwyczajnego w umiejętności posługiwania się menu w takim lokalu, a jednak on tak wiele umiał.

Złapała się na myśli: gdybym tylko poznała go, zanim..., ale odepchnęła ją od siebie natychmiast.

Trudno było wyobrazić sobie taki zbieg okoliczności, który mógłby doprowadzić do spotkania jej z

Minnerem Burrisem, zanim uległ okaleczeniu. Nawet by na nią nie spojrział. Musiał zajmować się takimi kobietami, jak ta zwariowana, stara Elise. Nadal go pożądała, ale teraz nie będzie go mieć.

Jest mój – pomyślała Łona gniewnie. – Jest mój! Rzucili mi go, jak zepsuty przedmiot, ale ja pomogę go naprawić i nikt mi go nie zabierze.

– Czy zjesz i zupę, i zakąskę?

– Nie jestem właściwie głodna.

– Ale w każdym razie czegoś spróbuj.

– Tylko się zmarnuje.

– Nikt tu się nie przejmuje marnotrawstwem, a my i tak za to nie płacimy. Spróbuj.

Zaczęły pojawiać się potrawy. Każda stanowiła specjalność z jakiegoś odległego świata. Były albo importowane, albo stanowiły ich imitacje wykonane na Ziemi z niezwykłą umiejętnością. Szybko stół zappełnił się niezwykłościami. Talerze, miseczki, kubeczki zawierające przedziwne przysmaki pojawiały się w oszalamiającej

obfitości. Burris podawał ich nazwy i wyjaśniał istotę potrawy. Była jednak zbyt oszołomiona,

żeby to wszystko pojąć. Co to było, to płateczkowate, białe mięso? A ta przejrzysta zupa zasypana aromatycznym serem? A te złociste jagódki zalane miodem? Na Ziemi powstało tak wiele różnorodnych kuchni. Wybór potraw z całej galaktyki był tak oszałamiający, że zupełnie przytępił jej apetyt.

Jadła po troszeczku z każdej potrawy. Wszystko jej się myliło.

Kęsek tego, łyżeczek tamtego. Bała się, że w kolejnym naczyniu, do którego zajrzy, będzie znowu ^pływało coś żywego. Najadła się na długo przedtem, nim dotarło do nich główne danie. Otrzymali dwa gatunki wina. Burris zmieszał je i zmieniły kolor. Turkusowy i rubinowy przemieszały się dając nieoczekiwany opalizujący efekt.

– Reakcja katalityczna – wyjaśnił – dbają tu także o estetykę, niezależnie od smaku. Mogła wypić jednak tylko mały łyżeczek.

Zewsząd Dobiegał do niej szmer rozmów. Przez ponad godzinę Udało jej się wyobrazić, że są sami. Teraz jednak zaczęła ^zdawać sobie sprawę z obecności innych gości. Patrzyli.

Komentowali.

Przemieszczali się między stolikami na swoich płytach antygravitacyjnych. Widziałeś? Co o tym Umyślisz? Czarujące!

Dziwaczne! Groteskowe! – Minner, chodźmy stąd! – Nie zjadłaś jeszcze deseru.

– Wiem. Nie mam ochoty.

– Likier z Procjona? Kawa Galaktyczna? – Nie.

Zauważyła, że jego oczy otworzyły się na całą szerokość i wiedziała, że wyraz jej twarzy musiał go urazić. Było jej niedobrze.

Może zdawał sobie z tego sprawę? – Pójdziemy. Wrócimy na deser kiedy indziej. ' – Przykro mi – szepnęła – nie chciałam zepsuć ^tego wieczoru. Ale ta restauracja... Czuję się w niej nie na miejscu. Wszyscy się na nas gapią. Lepiej wróćmy do pokoju.

Przywołał płytę antygravitacyjną. Krzesło wypuściło ją z intymnego uchwytu. Wstając czuła, że nogi uginają się pod nią. Bała się zrobić krok, żeby się nie przewrócić. Dziwna ostrość widzenia pozwalała jej dostrzegać oderwane sceny. Otyła kobieta o kilku podbródkach, cała w klejnotach. Złotowłosa dziewczyna w przezroczyściej sukience, niewiele starsza od niej, ale za to znacznie bardziej pewna siebie. Ogród wypełniony miniaturami, rozgałęzionymi drzewami dwa piętra niżej. Węży żywego światła rozwieszane w przestrzeni. Taca z trzema kuflami czegoś dziwnego, przecinająca powietrze. Łona zachwiała się. Burris podtrzymał ją i prawie przeniósł na płytę antygravitacyjną, choć dla postronnego obserwatora nie wydawało się to tak oczywiste. Patrzyła z uporem przed siebie, gdy przekraczali przestrzeń dzielącą ich od wyjścia.

Twarz jej była zaróżowiona i pokryta kropelkami potu.

Wydawało jej się, że w żołądku odżyły te wszystkie obce istoty i pływały cierpliwie, kąpiąc się w sokach trawiennych. Udało jej się jakimś sposobem przekroczyć kryształowe drzwi wejściowe.

Następnie w dół do holu pospiesznym szybem windowym. Znowu w górę innym szybem do pokoju. W głębi korytarza zauważyła Aoudada, kryjącego się szybko za kolumną.

Burris przyłożył dłoń do drzwi. Otworzyły się.

– Źle się czujesz? – zapytał.

– Nie wiem. Dobrze, że wyszliśmy stamtąd. Tu jest znacznie spokojniej. Zamknąłeś drzwi?

– Oczywiście. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Pozwól mi odpocząć. Chciałabym być sama przez kilka minut.

Zaprowadził ją do sypialni i usadowił na okrągłym łóżku.

Wyszedł. Łona była zaskoczona tym, że tak szybko odzyskiwała równowagę po wyjściu z restauracji.

Pod koniec wydawało jej się, że nawet niebo stało się, podpatrującym ją okiem.

Uspokojona już nieco, wstała, zdecydowana odrzucić resztki obcego jej przepychu. Stanęła pod

prysznicem wibracyjnym. Jej wspaniała sukienka natychmiast zniknęła. Od razu poczuła się mniejsza i młodsza. Naga szykowała się do łóżka.

Włączyła przyćmione światło. Powyłączała wszystkie lampy i wsunęła się pod kołdrę.

Prześcieradła były chłodne i miłe w dotyku.

Tablica kontrolująca ruch i układ łóżka tuż pod bokiem, ale zignorowała ją. Łagodnym głosem powiedziała do interkomu.

– Minner, czy możesz przyjść?

Wszedł od razu. Wciąż jeszcze ubrany w wyzywający strój, w którym jadł kolację. Występy w kształcie żeber były tak dziwaczne, że prawie eliminowały tę inną dziwność – dziwność jego ciała.

Ta kolacja to prawdziwa klęska! – pomyślała. Ta restauracja.

Taka rozświetlona, a była jak izba tortur. Ale można jeszcze ocalić resztki.

– Przytul mnie! – powiedziała cichutko. – Jestem cięż roztrzęsiona.

Burriss podszedł do niej. Usiadł obok, a ona uniosła się lekko, pozwalając, żeby prześcieradło zsunęło się i odsłoniło jej piersi.

Wyciągnął do niej rękę, ale żebra jego kostiumu tworzyły twardą, nie dającą się pokonać przeszkodę uniemożliwiającą kontakt. . – Lepiej to zdejmę – powiedział. – Prysznic jest tam.

– Czy zgasić światło? , – Nie.

- Nie spuszczała z niego oczu, gdy szedł przez pokój. Wszedł pod prysznic i włączył go. Prysznic wibracyjny oczyszczał skórę z każdej obcej substancji. Odzież natryskowa zniknęła pierwsza. Tak też zniknął niezwykle kostium Burrisa. Łona nigdy przedtem nie widziała jego ciała. Bez drgnienia powiek i gotowa na wszystko patrzyła, jak nagi odwracał się ku niej. Jej twarz, podobnie jak i jego, wyrażała napięcie. Była to próba dla nich obojga. Miała pokazać, czy ona wytrzyma szok nie znanego widoku i czy on wytrzyma szok wywołany jej reakcją.

Przez wiele dni obawiała się tej chwili. Teraz jednak kiedy już ta chwila nadeszła, ku swemu

wielkiemu zdziwieniu stwierdziła, że udało się jej przeżyć ją bez większego wrażenia.

Burriss nie był wcale taki straszny, jak się tego spodziewała. Był, oczywiście, dziwny. Skóra na ciele podobnie jak na rękach i twarzy, lśniąca nienaturalnie wyglądała jak gładki pokrowiec, jakiego żaden człowiek nigdy nie używał. Bezwłosy, nie miał ani brodawek piersiowych, ani pępka, co stwierdziła dopiero po chwili zastanawiając się nad przyczynami dziwnego wyglądu Ramiona i nogi łączyły się z tułowiem w niezwykły sposób, i w miejscach o kilka cali oddalonych od miejsc normalnych. Jego klatka piersiowa wydawała się zbyt masywna w porównaniu z biodrami.

Kolana nie wystawały, a gdy poruszał się, jego mięśnie drgały dziwnie.

To wszystko jednak to za ledwie drobiazgi. To nie były prawdziwe deformacje. Nie miał jakichś okropnych blizn, żadnych dodatkowych, ukrytych członków, niespodziewanych dodatkowych oczu, ani ust na ciele. Prawdziwe kryły się wewnątrz ciała i na twarzy. Również i w tej sprawie, która w tej chwili Lonę najbardziej interesowała, odczuła ulgę. Mimo obaw, wydawał się normalnym mężczyzną, o ile mogła się zorientować.

Burriss podszedł do łóżka. Podniosła ręce. W chwili później leżał koło niej. Ich ciała zetknęły się. Jego był w dotyku dziwny, ale nie nieprzyjemny. Wydawał się wielce skrępowany. Lona przysunęła się bliżej. Zamknęła oczy. Nie chciała widzieć w tej chwili jego odmienionej twarzy, a w każdym razie oczy jej stały się nagle zbyt czułe na światło, nawet to, które płynęło z przyćmionej lampy. wyciągnęła ku niemu rękę. Ich usta spotkały się.

Nie całowała się często. Nigdy jednak nikt tak jej nie całował. Ci, którzy zmienili kształt jego ust, nie robili go z myślą o całowaniu i musiał to robić w nieco inny sposób. Ale znowu nie było to nieprzyjemne. Lona poczuła jego palce na swoim ciele. Po sześć palców na każdej ręce. Jego skóra wydzielala słodki, ostry zapach.

Światło zgasło.

Gdzieś w głębi jej ciała jakaś sprężyna napinała się coraz ciaśniej, coraz ciaśniej.

Sprężyna, która napinała się coraz ciaśniej od siedemnastu lat... i nagle cała jej siła wyzwoliła się w jednym gwałtownym momencie.

Cofnęła głowę, szeroko otworzyła usta. Coś w głębi jej gardła drżało gwałtownie. Przez jej umysł przebiegł przez chwilę obraz siebie na stole chirurgicznym, znieczulonej, jej ciało otwarte na instrumenty ludzi w bieli. Zniszczyła ten obraz gwałtownym wysiłkiem woli, jak uderzeniem błyskawicy.

Chwyciła go mocno.

Nareszcie! Nareszcie!

Nie będzie miała z nim dzieci. Wyczuwała to, ale to jej nie przeszkadzało.

– Łona – powiedział z twarzą przywartą do jej imienia, zduszonym, niskim głosem – Łona, Łona, ona...

Ujrzała blask, jak gdyby wybuchającego słońca. Jej ręka przebiegła w górę i w dół po jego plecach i na chwilę, zanim się połączyli, pomyślała, że jego skóra jest sucha i nigdy się nie poci.

Gwałtownie wciągnęła powietrze czując ból i przyjemność w konwulsyjnej jedności i ze sumieniem słuchała dzikich, dźwięcznych okrzyków namiętności, które mimo woli wydobywały się z jej oszalałego gardła.

Rozdział 20 PO NAS DZIKI BÓG

Czas apokalipsy minął. Przeznaczenie, które przepowiadali prorocy, nigdy się nie ziściło. Gdyby się sprawdziło, świat nie doczekałby lepszych czasów. Przewidywali najgorsze.

Powszechne niezadowolenie, czas topora, czas miecza, wichrów i wilków – aż zadrży świat. Ale żadnej tarczy nie rozłupano i ciemności nie zapadły. Co się stało i dlaczego? Duncan Chalk, jeden z tych, którzy najbardziej skorzystali z nadejścia nowej ery, nieraz zastanawiał się nad tym miłym pytaniem.

Miecze przekuto na lemieszce.

Głód nie istniał.

Wzrost ludności kontrolowano.

Człowiek nie zanieczyszczał już każdym swym działaniem środowiska naturalnego. Niebo było jasne. Rzeki czyste. Błękitne jeziora zawierały kryształową wodę a parki jasną zieleń.

Szczęśliwość nie była oczywiście zupełna. Nawet teraz wciąż jeszcze istniały przestępstwa, choroby i głód. Ale te wyjątki zdarzały się gdzieś m uboczu. Ludziom żyło się łatwo. Ci, którzy zawsze poszukiwali kryzysu, dopatrywali się go właśnie w te, łatwości.

Łączność na całym świecie działała błyskawicznie Transport był nieco wolniejszy, ale również szybki. Nie zamieszkane planety systemu słonecznego rabowanie metali, minerałów, nawet powłok gazowych. Dotarto do najbliższych gwiazd. Ziemia przeżywała okres dobrobytu. Ideologia ubóstwa niknie w kłopotliwy sposób w dobie obfitości.

Obfitość jest jednak pojęciem względnym. Potrzeby i zawiści pozostały jako materialistyczne popędy. Głębsze, bardziej mroczne żądze nie zawsze można zaspokoić wysokimi zarobkami.

Każda epoka sama określa swoje typowe formy rozrywki. Chalk był jednym z tych, którzy kształtowali obecnie formy tej rozrywki.

Jego imperium rozciągało się na połowę systemu. Przynosiło mu bogactwo, potęgę, zadowolenie i sławę w takim zakresie, w jakim tego pragnął. Prowadziło to pośrednią drogą do zaspokojenia wewnętrznych potrzeb, które wynikały z jego struktury fizycznej i psychicznej i które ciążyłyby mu nieznośnie, gdyby żył w innej epoce. Teraz jednak znalazł się w tej wygodnej sytuacji, że mógł podjąć kroki, prowadzące go do celu, o jakim marzył.

Musiał jeść często, a mięso i jarzyny nie były jego jedynym pożywieniem.

Z centrum swego imperium Chalk śledził swoją parę kochanków.

Właśnie znajdowali się w drodze na Antarktydę. Otrzymywał regularnie sprawozdania od Aoudada Nikolaidesa, którzy tkwili przy łożu kochanków. Jednak w tym stadium Chalk nie potrzebował już

swoich pachółków, żeby dowiedzieć się, co się dzieje. Obecnie nawiązał bezpośrednio specyficzny, sobie właściwy kontakt z dwojgiem odszczepieńców, których ze sobą połączył.

Wszystko, co teraz uzyskiwał, było informacją o szczęściu. To dla niego nie miało znaczenia. Był w tej rozgrywce cierpliwy. Wzajemna sympatia zbliżyła ich do siebie, ale czy sympatia stanowi wystarczający fundament dla nieśmiertelnej miłości? Chalk przypuszczał, że nie. Był gotów poświęcić fortunę, żeby potwierdzić swój punkt widzenia. Zmienią swój wzajemny stosunek. I wtedy Chalk osiągnie to, czego pragnął. Właśnie Aoudad skontaktował się z nim.

– Dojeżdżamy. Jadą do hotelu.

– Dobrze, dobrze. Dopilnuj, żeby niczego im nie brakowało.

– Oczywiście.

– Nie spędzaj zbyt wiele czasu w ich towarzystwie. Chcą być sami, a nie w towarzystwie przyzwoitek. Rozumiesz, Aoudad?

– Będą mieli cały biegun do swojej dyspozycji. Chalk uśmiechnął się. Ta wycieczka spełni marzenia kochanków. Była to elegancka epoka, a ci, którzy posiadli właściwy klucz, mogli docierać do wszelkich przyjemności, jedna po drugiej. Burris i Łona będą się dobrze bawić. Czas apokalipsy nadejdzie później.

Rozdział 21 ZBIEGLIŚMY NA POŁUDNIE

– Nie rozumiem – powiedziała Łona – w jaki sposób może panować tutaj lato. Przecież kiedy wyjeżdżaliśmy była zima!

– Tak, na półkuli północnej – przyznał Burris i z westchnieniem – ale teraz jesteśmy poniżej równika to tak daleko, jak to tylko możliwe. Pory roku są tutaj odwrotne. Kiedy u nas jest lato, u nich jest zima. Teraz tutaj panuje lato. – Tak, ale dlaczego?

– To wynika z nachylenia osi ziemskiej. W swojej drodze dookoła Słońca, raz jedna strona Ziemi jest lepiej przez nie ogrzewana, raz druga. Gdybym miał globus, pokazałbym ci to.

– Jeżeli tu jest lato, to dlaczego wszędzie tak dużo lodu?

Cienki, piskliwy ton jej głosu zdenerwował go, bardziej niż same pytania. Odwrócił się nagle.

Wewnątrz poczuł dziwny skurcz, gdy tajemnicze organy w głębi ego ciała pompowały wydzielinę gniewu do krwi.

– Do diabła, Łono, czy nigdy nie chodziłaś do szkoły? – wybuchnął. Cofnęła się.

– Nie krzycz na mnie, Minner. Proszę, nie krzycz.

– Czy nic cię nie nauczyli?

– Wcześniej porzuciłam szkołę. Nie byłam dobrą uczennicą.

– A teraz ja jestem twoim nauczycielem?

– Nie musisz być – powiedziała spokojnie, a oczy jej nabrały nadmiernego blasku – nie musisz być niczym dla mnie, jeżeli nie chcesz.

Znalazł się nagle w defensywie.

– Nie chciałem krzyczeć.

– Ale krzyczałeś.

– Straciłem cierpliwość. Wszystkie te pytania...

– Wszystkie te głupie pytania. Czy właśnie to chciałeś powiedzieć?

– Skończmy tę dyskusję, Łono. Przykro mi, że tak wybuchnąłem. Jestem niewyspany i zdenerwowany. Chodźmy na spacer. Wyjaśnię ci mechanizm zmian pór roku.

– Wcale mnie to nie interesuje, Minner.

– No, to zapomnijmy o porach roku. Chodźmy na spacer.

Uspokoimy się.

– Czy myślisz, że ja wyspałam się zeszłej nocy? Pomyślał, że należało się uśmiechnąć.

– Nie. Myślę, że nie.

– A czy krzyczę i narzekam?

– W zasadzie, tak. Dajmy temu spokój i chodźmy na spacer.

Dobrze?

– Dobrze – powiedziała nadąsana – letni spacer.

– Tak, letni spacer.

Włożyli lekkie kombinezony z kapturami i rękawice.

Temperatura była dość wysoka jak na tę część świata – kilka stopni powyżej zera. Antarktyda przeżywała falę upałów. Hotel polarny Chalka położony był o kilkadziesiąt mil na północ od bieguna, tak jak wszystko na Antarktydzie, w kierunku Lodowca Szelfowego Rossa. Była to rozległa kopuła, wystarczająco mocna, żeby przetrzymać noc polarną, i dość przewiewna, żeby utrzymać treść klimatu antarktycznego.

Podwójna komora wyjściowa wyprowadziła ich w świat lodów na zewnątrz. Kopuła była otoczona pasem brązowej gołej ziemi, szerokim na dziesięć stóp, ułożonym przez budowniczych jako warstwa izolacyjna. Za nim rozciągała się już biała równina. Jak tylko Burris pojawił się z dziewczyną, podbiegł do nich barczysty, uśmiechnięty przewodnik.

– Chcecie przejechać się saniami motorowymi? Zawiozę was na biegun w ciągu piętnastu minut.

Zobaczycie zrekonstruowany obóz Amundsena. Muzeum Scotta. A może chcecie zobaczyć lodowce?

Powiedzcie tylko...

– Nie.

– Rozumiem. To wasz pierwszy dzień tutaj. Chcecie się po prostu trochę przespacerować.

Doskonale was rozumiem. A jak zdecydujecie się na dłuższą wyprawę...

– Proszę – powiedział Burris – czy można przejść?

Przewodnik obrzucił go ponurym spojrzeniem i odsunął się na bok.

Łona wsunęła rękę pod ramię Burrisa i weszli na lód. Oglądając się Burris zobaczył, że ktoś

wyszedł spod kopuły i odwołał przewodnika na bok. Aoudad. Prowadzili poważną rozmowę.

– Tu jest tak pięknie! – zawołała Łona.

– I sterylne. To jest ostatnia granica. Teren prawie nienaruszony. Jest tu tylko kilka muzeów.

– I hoteli.

– To jest jedyny hotel. Chalk ma monopol. Słońce tkwiło wysoko na niebie. Świeciło jasno, ale wydawało się małe. Tak blisko bieguna letni dzień nigdy się nie kończy. Słoneczny blask miał trwać jeszcze przez dwa miesiące, zanim wszystko zacznie pogrążyć się w mroku. Cała równina lodowa lśniła. Lodowa równina wzniesiona na milę nad poziomem morza, jak arkusz bieli kryła pod sobą góry i doliny. Lód pod stopami był twardy. Po dziesięciu minutach pozostawili hotel daleko za sobą.

W której stronie jest biegun południowy? Tam. Prosto przed nami. Pojedziemy tam później.

– A za nami?

– Góry Królowej Maud. Góry opadają ku Lodowcowi Szelfowemu Rossa. To ogromny kawał lodu, gruby na siedemset stóp i większy niż Kalifornia. Wcześni badacze Antarktydy zakładali tam swoje obozy. Za kilka dni odwiedzimy Małą Amerykę.

– Tu jest tak płasko, a odbicie światła takie jasne... Łona pochyliła się, zebrała garść śniegu i rzuciła ją radośnie w górę.

– Chciałabym zobaczyć pingwiny. Minner, czy zadaję zbyt wiele pytań? Czy za dużo gadam?

– Czy mam być szczery czy taktowny?

– Nieważne. Chodźmy.

Wędrowali. Burris stwierdził, że wyjątkowo dobrze chodzi się po śliskim lodzie. Podłóże przy każdym kroku leciuteńko się poddawało, co wyjątkowo odpowiadało zmodyfikowanym stawom jego nóg.

Cieszył się tą odmianą po nocy spędzonej w napięciu i wypełnionej bólem.

Żałował, że tak warknął na Lonę. Jego cierpliwość się wyczerpała. Była zaskakująco niedouczona, chociaż wiedział o tym od samego początku. Nie wiedział natomiast, jak szybko jej ignorancja przestanie być czarująca, a zacznie go drażnić.

Obudził się, zbyt zbolaty i cierpiący, by odpowiadać na nie kończące się pytania...

Spójrz na to z innej strony! – pomyślał. Obudził się w środku nocy. Śnił o Manipool i obudził się z krzykiem. Zdarzało mu się to już wcześniej, ale nigdy przedtem nie miał koło siebie kogoś ciepłego i miękkiego, który by go pocieszył. Tak właśnie zachowała się Łona.

Nie robiła mu wymówek, że przerwał jej sen. Głaskała go i uspokajała, dopóki mara senna nie zniknęła. Był jej wdzięczny. Była taka łagodna i kochająca. I taka głupia.

– Czy widziałeś kiedyś Antarktydę z Kosmosu? – spytała Łona.

– Wiele razy.

– Jak ona wygląda?

– Tak samo, jak na mapie. Prawie okrągła, z pół-wyspem sterczącym w kierunku Ameryki Południowej. Jest biała. Wszędzie.

Zobaczysz ją, jak będziemy lecieli na Tytana.

Idąc przytuliła się do niego. Stawy ramienia można było adaptować w miarę potrzeby. Wyciągnął rękę, żeby objąć ją wygodniej. To nowe ciało miało swoje zalety.

– Chciałabym któregoś dnia wrócić tutaj i zobaczyć wszystko – biegun, muzea dawnych badaczy, lodowce. Chciałabym tu przyjechać z dziećmi.

Poczuł coś, jakby sopel lodu w gardle.

– Z jakimi dziećmi, Łono?

– Będzie dwoje. Chłopiec i dziewczynka. Za jakieś osiem lat nastąpi najlepszy moment, żeby je tu przywieźć.

Jego powieki zaczęły mrugać gwałtownie i nie mógł ich opanować. Niskim, stłumionym głosem

powiedział: – Powinnaś wiedzieć, Łono, że nie mogę dać ci dzieci. Lekarze to dokładnie sprawdzili. Organy wewnętrzne po prostu...

– Tak, wiem. Nie miałam na myśli dzieci, które my mielibyśmy mieć, Minner.

Odniósł wrażenie, jak gdyby jego wnętrzności wysypały się na lód.

Ona ciągnęła dalej ze słodyczą w głosie: – Miałam na myśli te dzieci, które już mam. Te, które wyjęto z mego ciała. Mam dostać dwoje z nich. Nie mówiłam ci o tym?

Burriss poczuł dziwną ulgę na wieść, że nie planowała porzucić go dla biologicznie pełnego mężczyzny. Był równocześnie zaskoczony, jak wielką odczuł ulgę. Jak spokojnie zakłada, że jedyne dzieci, jakie ona może mieć, mogą być tylko jego! Jak go zaskoczyła myśl, że mogłaby mieć dzieci z innym mężczyzną!

Przecież już miała cały legion dzieci. Prawie o tym zapomniał.

– Nie. Nie mówiłaś mi – powiedział. – To znaczy, że uzgodniono, że otrzymasz kilkoro dzieci na wychowanie?

– Coś w tym rodzaju.

– Jak to?

– Nie wydaje mi się, żeby to już uzgodniono. Chalk powiedział, że to załatwi. Obiecał mi. Dał słowo. Wiem, że jest na tyle ważną osobistością, że może to załatwić. Tyle jest tych dzieci. Mogą oddać parę prawdziwej matce, jeżeli zechce je wychować. A ja chcę. Ja chcę. Chalk powiedział, że zdobędzie te dzieci dla mnie jeżeli...

jeżeli...

Umilkła. Przez chwilę usta jej były otwarte, a później je zacisnęła.

– Jeżeli co, Łono?

– Nic.

– Zaczęłaś coś mówić.

– Powiedziałam, że zdobędzie dla mnie dzieci, jeżeli będę chciała.

– Nie to chciałaś powiedzieć. Wszyscy już wiedzą, że chcesz je mieć. Co obiecałaś Chalkowi w zamian za zdobycie tych dzieci?

Poczucie winy uwidoczniło się na jej twarzy.

– Co ukrywasz przede mną? – dopytywał się. Potrząsnęła głową w milczeniu. Ujął jej rękę, ale ona cofnęła ją szybko. Stał nad nią przytłaczając ją swoim wzrostem i jak zawsze, kiedy wybuchały jakieś silniejsze emocje, w jego nowym ciele pojawiały się jakieś dziwne wibracje i pulsowania.

– Co mu obiecałaś? – spytał.

– Minner, tak dziwnie wyglądasz. Twoja twarz jest cała w plamach. Masz czerwone i purpurowe plamy na policzkach...

– Co to było, Łono?

– Nic. Nic. Wszystko, co mu powiedziałam... co mu obiecałam, to...

– To?

– Że będę dla ciebie miła – powiedziała cichym głosem – że uczynię cię szczęśliwym. On miał zdobyć dla mnie dzieci na własność. Czy to coś złego, Minner?

Poczuł, że powietrze ucieka zeń, jak gdyby miał wielki otwór w klatce piersiowej. A więc to Chalk zaaranżował. Chalk przekupił ją, żeby się nim zajęła. Chalk!

– Minner, czy coś jest nie w porządku? Hulały w nim sztormowe wichury. Ziemia przechylała się na swej osi, kontynenty odrywały się i waliły na niego potężną lawiną.

– Nie patrz tak na mnie – prosiła.

– Gdyby Chalk nie obiecał ci tych dzieci, to czy zbliżyłabyś się do mnie kiedykolwiek? – zapytał ze ściśniętym gardłem. – Czy w ogóle dotknęłabyś mnie, Łono?

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Widziałam cię w ogrodzie szpitalnym. Było mi cię żal. Nawet nie wiedziałam, kim jesteś.

Myślałam, że padłeś ofiarą pożaru czy coś w tym rodzaju. Dopiero później cię spotkałam. Kocham cię, Minner.

Chalk nie mógłby mnie zmusić, żebym cię kochała. Mógłby najwyżej skłonić mnie, żebym była dla ciebie miła, ale to nie to samo co miłość.

Czuł się głupio, idiotycznie, zdeptany, jak błoto. Gapił się na nią.

Wyglądała tajemniczo. Nagle schyliła się, zebrała trochę śniegu, ulepiła kulę i ze śmiechem rzuciła mu w twarz.

– Przestań być taki dziwaczny. Goń mnie, Minner! Goń mnie!

Uciekła. Po chwili była już zupełnie daleko. Zatrzymała się.

Ciemny punkt wśród bieli. Znowu zebrała trochę śniegu. Patrzył, jak lepila następną kulę. Rzuciła ją niezgrabnie, z łokcia, jak robią to dziewczyny, ale nawet mimo to rzut był dobry i kula wylądowała kilkanaście jardów od niego.

Obudził się z otępienia, w jakie wprawiły go jej słowa.

– Nie złapiesz mnie! – wrzasnęła, a on zaczął biec po raz pierwszy od powrotu z Manipool, sadząc wielkimi skokami po śniegowym dywanie. Łona również biegła wymachując rękami, rozgarniając łokciami rzadkie, mroźne powietrze. Burris poczuł, jak wstępuje weń siła. Nogi w wielu stawach, które wydawały mu się tak nieprzydatne, pracowały obecnie w idealnej koordynacji, niosąc go gładko i szybko. Serce prawie nie przyśpieszyło. Pod wpływem impulsu zrzucił kaptur i pozwolił, by chłodne powietrze owiewało mu policzki.

Wystarczyło mu zaledwie kilka minut wyteżonego biegu, żeby ją dogonić. Łona roześmiana i bez tchu zawróciła, kiedy się zbliżył i rzuciła mu się w ramiona. Jego rozpęd spowodował, że przebiegli jeszcze pięć kroków, zanim się przewrócili. Przetoczyli się kilka razy, rękami rozpylając śnieg. Zerwał jej kaptur, zebrał garść śniegu i rzucił jej w twarz. Śnieg rozpuścił się i ściekał po szyi, pod ubranie, między piersiami i po brzuchu. Wrzasnęła z przyjemności i oburzenia.

– Minner, nie! Minner! Nie.

Rzucił w nią śniegiem jeszcze raz, a ona w niego. Wijąc się ze śmiechu wpychała mu śnieg za kołnierz. Był taki zimny, że zdawał się parzyć. Razem tarzali się w śniegu, a w chwilę później trzymał ją w ramionach mocno i przyciskał do powierzchni tego kontynentu bez życia. Długo nie wstawali.

Rozdział 22 ODTĄD PRZEKŁĘTA MELANCHOLIA

Tej nocy znowu obudził się z krzykiem. Łona spodziewała się tego. Przez większą część nocy nie spała, leżąc obok niego w ciemności i czekając, kiedy nieustępliwe demony znowu go dopadną.

Zauważyła, że przez większą część wieczoru był zamyślony i smutny.

Dzień upłynął dość przyjemnie, poza tym przykrym zgrzytem na samym początku. Łona żałowała tego wyznania, które uczyniła, choć to właśnie Chalk skłonił ją, żeby się do niego zbliżyła.

Przynajmniej nie wypaplała tego, że to Nikolaides pomyślał o daniu mu kaktusa w prezencie, że to Nikolaides podyktował jej ten mały liścik. Teraz wiedziała, jaki efekt by to wywołało. Wyznanie, że Chalk obiecał zdobyć dla niej dzieci, było głupie. Teraz widziała to wyraźnie. Było jednak za późno, żeby odwołać to, co powiedziała.

Odzyskał równowagę po tej chwili pełnej napięcia. Walka na śnieżki, wędrówka po lodowych bezdrożach. Łona przeraziła się, kiedy stwierdziła, że stracili z oczu hotel. Widziała dokoła tylko białą równinę. Nie było drzew rzucających cień, nie było ruchu słońca, który wskazywałby kierunek, nie mieli kompasu. Przeszli już wiele mil wśród tego płaskiego krajobrazu.

– Czy będziemy mogli wrócić? – spytała.

Burris skinął głową.

– Jestem zmęczona. Chciałabym już wracać.

W rzeczywistości wcale nie czuła się zmęczona. Przestraszyła się tylko, że zgubią się na tej równinie. Zawrócili, a przynajmniej Burris tak twierdził. Ten nowy kierunek niczym nie różnił się

od poprzedniego. Kilka stóp od nich coś ciemniało pod śniegiem.

Martwy pingwin, wyjaśnił Burris, a Lonę przebiegł dreszcz. Wkrótce jednak hotel w cudowny sposób pojawił się przed nimi. Jeżeli teren był tu zupełnie płaski, to dlaczego hotel zniknął? Burris wyjaśnił, jak wyjaśniał już setki razy (ale tym razem znacznie cierpliwszym tonem), że świat nie jest tu idealnie płaski, ale wypukły prawie tak samo, jak w każdym innym miejscu i wystarczy przejść tylko niewiele mil, aby znajome cechy krajobrazu zniknęły za horyzontem, tak jak zniknął hotel.

Hotel jednak znów się pojawił, a apetyty mieli ogromne, więc zjedli obfity lunch suto zapijany piwem. Tu nikt nie pił zielonych koktajli z pływającymi żyłkami. Piwo, ser, mięso – to było właściwe jedzenie w kraju wiecznej zimy.

Po południu jeździli motorowymi saniami. Najpierw pojechali na biegun południowy.

– Wygląda tak samo, jak wszystko dookoła – stwierdziła Łona.

– A czego się spodziewałaś? Masztu w pasy wystającego ze śniegu?

Znowu stał się sarkastyczny. Zauważyła żal w jego oczach, który pojawił się zaraz po tej złośliwej uwadze, i pomyślała sobie, że nie chciał jej urazić. To była jego naturalna cecha. To wszystko.

Może odczuwał ból, prawdziwy ból, który powodował, że stawał się agresywny.

W rzeczywistości jednak biegun różnił się od pustki polarnego płaskowyzu. Stały tu budynki, a wokół tego dna Ziemi wytyczono krąg o średnicy około dwudziestu jardów, który był nienaruszalny. W pobliżu odtworzono namiot norweskiego podróżnika Roalda Amundsena, który przybył tu saniami w psim zaprzęgu sto czy dwieście lat temu.

Pasiasta flaga powiewała nad ciemnym namiotem. Zajrzeli do środka.

Nic. Nie opodal stał mały budynek z bali.

– Dlaczego z bali? – spytała Łona. – Przecież chyba nie ma drzew na Antarktydzie?

Po raz pierwszy jej pytanie było wnikliwe. Burris roześmiał się.

Budynek poświęcono pamięci Roberta Falcona Scot-ta, który dotarł do bieguna po Amundsenie i w odróżnieniu od Norwega zmarł w drodze powrotnej. Wewnątrz zgromadzono pamiątki, śpiwory i różne przedmioty należące do podróżników. Łona przeczytała plakietkę. Scottijego ludzie nie zmarli tu. Zdarzyło się to wiele mil stąd, gdy wyczerpani i osaczeni przez zimowe burze, usiłowali dotrzeć do bazy. To, co zebrano tutaj, było zrobione na pokaz.

Sztuczność tej wystawy nie podobała się Łonie i wydawało się jej, że nie podobała się również Burrisowi.

Jednak stanie na samym biegunie zrobiło na nich duże wrażenie.

– Cały świat leży na północ od nas – powiedział Burris. – Wisimy u samego dołu. Wszystko jest ponad nami, ale nie spadniemy.

Roześmiała się. Jednakże świat w jej oczach nie wyglądał wcale niezwykle. Ziemia dookoła rozciągała się na boki, a nie w górę czy w dół. Starła się wyobrazić sobie świat takim, jaki widać z promu kosmicznego, w kształcie kuli wiszącej na niebie i siebie mniejszą niż mróweczka, wiszącą u dołu z nogami ku górze i głową zwróconą ku gwiazdom. Wydawało się jej to niezbyt sensowne.

Niedaleko od bieguna znajdował się bufet, przykryty śniegiem, nie rzucał się w oczy. Burris i Łona wypili po kubku parującej czekolady.

Nie odwiedzili podziemnej bazy naukowej położonej o kilkaset jardów dalej, choć gości tam mile widziano.

Brodaci naukowcy spędzali tam cały rok badając magnetyzm, pogodę i inne zjawiska. Ale Łona nie chciała już nigdy w życiu wejść do jakiegokolwiek laboratorium, i Wymieniła spojrzenia z Burrisem, a on skinął głową. Przewodnik odwiózł ich z powrotem do hotelu.

Było już zbyt późno, żeby wybrać się na Lodowiec Szelfowy Rossa. Jechali jednak jeszcze ponad godzinę na północny zachód w kierunku łańcucha górskiego, który zdawał się wcale nie przybliżać i dotarli do tajemniczego, ciepłego miejsca, gdzie ziemia pozbawiona była śniegu, a pokryta

jedynie jakąś czerwoną substancją i warstwą alg. Otaczające skały pokrywał nalot żółtozielonych porostów. Łona dopytywała się o pingwiny, ale powiedziano jej, że o tej porze roku trudno je spotkać w głębi lądu.

– Pingwiny to ptaki wodne – wyjaśnił przewodnik – pozostają na wybrzeżu i wyruszają w głąb lądu tylko po to, by składać jaja.

– Ale mamy przecież lato. Właśnie powinny wysiadywać jaja.

– Nie. One składają jaja w środku zimy. Małe pingwiny rodzą się w czerwcu i lipcu. Są to najciemniejsze i najzimniejsze miesiące roku. Jeśli chce pani zobaczyć pingwiny, powinna pani wybrać się na wycieczkę do Ziemi Adeli. Tam je pani zobaczy.

Wydawało się, że w czasie długiej drogi powrotnej saniami Burris jest w dobrym nastroju.

Żartował z Lony w dobroduszny sposób i nawet zatrzymał sanie, żeby mogli poślizgać się na gładkim, lodowym zboczu. W miarę jednak, jak zbliżali się do hotelu, Łona dostrzegła zachodzącą w nim zmianę. Wyglądało to, jak gdyby zapadał zmrok, a przecież na biegunie trwał właśnie wieczny dzień.

Burris spochmurniał. Twarz mu zakrzepła, przestał śmiać się i żartować. Kiedy wchodzili do budynku przez podwójne drzwi, wyglądał już jak figura wykuta z lodu.

– Co się stało? – zapytała.

– Kto mówi, że coś się stało?

– Napijesz się czegoś?

Weszli do baru. Była to duża sala wykładana drzewem, z prawdziwym kominkiem, który nadawał jej dwudziestowieczny wygląd. Kilkanaście osób siedziało przy ciężkich dębowych stołach rozmawiając i pijąc. Łona zauważyła, że to pary. Był to właściwie ośrodek dla par wyjeżdżających na miesiąc miodowy. Przybywały tu młode małżeństwa, żeby rozpocząć wspólne życie w lodowatej czystości Antarktydy. Podobno jazda na nartach w górach Ziemi Marie Byrd należała do

najwspanialszych.

Gdy Burris i Łona weszli, wszystkie głowy zwróciły się natychmiast w ich stronę i równie szybko odwróciły się w gwałtownym odruchu odrazy. Przepraszam. Nie chciałem się gapić.

Człowiek z twoją twarzą prawdopodobnie nie lubi, jak się na niego gapią. Patrzyliśmy po prostu, czy to nie nasi przyjaciele, czy państwo Smith nie przyszli na drinka.

– Demon na weselu! – mruknął Burris.

Łona nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Nie prosiła jednak o powtórzenie.

Robot przyjął ich zamówienie. Ona wybrała piwo, a on rum.

Stwierdzili nagle, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Rozmowy wokół nich rozbrzmiewały nienaturalnie głośno. Mówiono o wakacjach, sporcie i o różnych wycieczkach.

Nikt się do nich nie przyłączył.

Burris siedział sztywny, wyprostowany, w pozycji, która musiała sprawiać mu ból. Wypił szybko i nic więcej nie zamówił. Białe słońce na zewnątrz w ogóle nie zachodziło.

– Byłoby tu bardzo pięknie, gdybyśmy obserwowali romantyczny zachód słońca – powiedziała

Łona – błękitne i złociste smugi na lodzie. Ale nic takiego nam się nie zdarzy, prawda?

Burris uśmiechnął się, lecz nic nie powiedział. Ludzie ciągle wchodzili i wychodzili z baru.

Wszyscy omijali ich stół z daleka. Byli jak skały w strumieniu. Ludzie witali się, całowali. Łona słyszała, jak wzajemnie przedstawiają się sobie. Było to miejsce, w którym jedna para mogła podejść do innej, zupełnie nieznajomej, i spotkać się z miłym przyjęciem. Do nich nie podszedł nikt.

– Wiedzą, kim jesteśmy – powiedziała Łona. – Wiedzą, że jesteśmy wybitnymi osobistościami i nie chcemy, żeby nam przeszkadzano. Dlatego zostawiają nas w spokoju. Nie chcą się narzucać.

– To dobrze.

– Dlaczego nie podejźmy do kogoś? Dlaczego nie przełamiemy lodów, nie pokażemy, że nie

trzymamy się na uboczu?

– Nie. Raczej posiedźmy tutaj.

Wydawało się jej, że wiedziała, co go trapi. Był przekonany, że ludzie ich unikali dlatego, że był brzydki, a przynajmniej inny. Nikt nie chciał spojrzeć mu prosto w twarz. A trudno było przecież prowadzić rozmowę patrząc gdzieś w bok. Dlatego inni goście trzymali się na uboczu. Czy właśnie to go nurtowało? Przywracało jego zakłopotanie? Nie pytała. Miała nadzieję, że sama będzie mogła coś zaradzić.

Do pokoju wrócili mniej więcej na godzinę przed kolacją. Było to duże pomieszczenie zaaranżowane ze sztuczną prostotą. Ściany wykonano z rozpołowionych nieciosanych pni. Działała klimatyzacja i wszystkie inne nowoczesne udogodnienia. Burris siedział przez chwilę spokojnie. Później jednak wstał i zaczął oglądać swoje nogi, wymachując nimi w przód i w tył. Był tak ponury, że aż poczuła strach.

– Przepraszam – powiedziała – wrócę za pięć minut.

– Gdzie idziesz?

– Zobaczyć, jakie wycieczki proponują na jutro.

Pozwolił jej wyjść. Ruszyła krętym korytarzem do głównego holu.

Gdzieś w połowie drogi napotkała grupę gości hotelowych oglądających na wielkim ekranie zorzę polarną. Zielone, czerwone i purpurowe wzory wiły się na szarym tle ekranu. Wyglądało to, jak gdyby nastąpił koniec świata.

W holu zebrała garść broszur na temat wycieczek i wróciła do pomieszczenia z ekranem.

Zauważyła parę, którą już widziała w barze. Kobieta była młodą blondynką po dwudziestce.

Niektóre pasma włosów miała zabarwione na zielono. Jej oczy patrzyły chłodno. Jej mąż, jeżeli to jej mąż, był człowiekiem starszym, około czterdziestki, w kosztownym ubraniu. Ruchomy pierścień pochodzący z dalekiej planety wił się na jego lewej ręce.

Łona zbliżyła się ku nim cała spięta. Uśmiechnęła się.

– Cześć, jestem Łona Kelvin. Może zauważyliście nas w barze?

Powitały ją powściągliwe, nerwowe uśmiechy. Wiedziała, że myślą, czego ona może chcieć.

Przedstawili się. Łona nie dosłyszała ich nazwisk, ale to nie miało znaczenia.

– Pomyślałam sobie, że byłoby miło, gdybyśmy razem usiedli do kolacji. Jestem pewna, że znajdziecie w Minnerze bardzo interesującego rozmówcę. Był na ; tylu planetach...

Wyglądali jak schwytni w pułapkę. Blondynka omal nie wpadła w panikę. Jej uprzejmy mąż przyszedł jej z pomocą.

– Oczywiście, z wielką przyjemnością... ale niestety jesteśmy już umówieni... jesteśmy z przyjaciółmi... może innym razem.

Stoły w jadalni nie były czteroosobowe, ani nawet sześćoosobowe. Zawsze można było się przysiąc. Odrażona Łona zrozumiała, co odczuwał Burris parę go-

dzin wcześniej. Nie stanowili pożądanego towarzystwa. Był człowiekiem o złym spojrzeniu, psującym zabawę. Ściskając w rękę broszury, Łona pośpiesznie wróciła do pokoju. Burris stał przy oknie i patrzył na śnieg.

– Chodź, Minner, przejrzymy te broszury.

Głos Lony był może trochę zbyt wysoki, zbyt ostry.

– Czy któraś z nich wygląda ciekawie?

– Wszystkie. Nie mogę się zdecydować. Wybierz ty! Usiedli na łóżku i zaczęli przeglądać lśniące zeszyty. Mogli odbyć kilkugodzinną wycieczkę do Ziemi Adeli żeby zobaczyć pingwiny.

Mogli wybrać się na całodniową wycieczkę na Lodowiec Szelfowy Rossa z wizytą w Małej Ameryce i w innych stacjach badawczych w Zatoce McMurdo. Przewidziano specjalny postój dla obejrzenia czynnego wulkanu Erebus. Mogli odbyć dłuższą wycieczkę na Półwysep Antarktyczny, by obejrzyć foki i morsy. Była wycieczka narciarska do Ziemi Marie Byrd i wycieczka do gór

nadbrzeżnych, do jeziora lodowcowego Mertza poprzez Ziemię Wiktorii, i jeszcze z tuzin innych.

Wybrali pingwiny i schodząc na kolację wpisali się na listę.

Przy kolacji siedzieli samotnie.

– Powiedz mi o swoich dzieciach, Łono. Czy widziałaś je?

– Właściwie nie. Nie tak, żebym mogła je dotknąć. Tylko raz. A tak, to tylko na ekranie.

– I rzeczywiście Chalk ma zdobyć kilkoro dla ciebie na wychowanie?

– Tak powiedział.

– Wierzysz mu?

– A co mogę zrobić? – spytała. Przykryła jego dłoń swoją.

– Bolą cię nogi?

– Właściwie nie.

Żadne z nich nie jadło dużo. Po kolacji pokazywano filmy, żywe, trójwymiarowe obrazy antarktycznej zimy.

Ciemność była ciemnością śmierci. Śmiercionośny wiatr szalał na płaskowyżu. Zrywał z ziemi warstwę śniegu, jakby milionami noży.

Łona zobaczyła pingwiny stojące nad swymi jajami, ogrzewające je.

Zobaczyła pingwiny gnane wicherem. Wędrujące w głąb lądu, podczas gdy kosmiczny werbel grzmiał w niebiosach, a niewidzialne piekielne psy gończe skakały na cichych łapach z jednego górskiego szczytu na drugi. Film zakończył się wschodem słońca. Lód zabarwił się krwistą czerwienią jutrzzenki następującej po sześciomiesięcznej nocy.

Zamarznięty ocean zaczął pękać. Ogromne kry zderzały się i kruszyły.

Większość gości hotelowych ruszyła z sali projekcyjnej do baru. Łona i Burris poszli spać. Nie kochali się tej nocy. Łona wyczuwała budzącą się w nim burzę i wiedziała, że wybuchnie nim nadejdzie świt.

Leżeli przytuleni w ciemności. Okno musiało być zasłonięte, żeby odciąć blask niezmordowanego słońca. Łona leżała na plecach obok niego, oddychając powoli. ^ Zdrzemnęła się. Zasnęła płytkim, niespokojnym snem. ; Pojawiły się jej własne koszmary. Obudziła się spocona, żeby stwierdzić, że leży naga w nieznanym pokoju z nieznanym mężczyzną u boku. Serce jej biło gwałtownie.

Przycisnęła ręce do piersi i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, gdzie jest. Burris poruszył się i jęknął.

j Podmuchy wiatru uderzały w budynek. Było lato, | przypomniała sobie Łona. Chłód przeniknął ją do kości. Usłyszała daleki śmiech.

Ale nie opuściła Burrisa, nie | próbowała już zasnąć.

Jej oczy przyzwyczajone do półmroku obserwowały jego twarz.

Jego usta usiłowały coś wyrazić otwierając się, zamykając i znów się otwierając. Raz też otworzył ; oczy. Jest znowu na Manipool – pomyślała Łona. Właśnie wylądowali, on i ci dwaj o włoskich nazwiskach. Za chwilę te istoty przyjdą po niego.

Łona starała się wyobrazić sobie Manipool. Spalona czerwona ziemia i powykęcane, kolczaste rośliny. Ja| wyglądały miasta? Czy były tam drogi, samochody telewizory? Burris nigdy jej o tym nie mówił. Wiedziała jedynie, że była to sucha planeta, stary świat, świat gdzie chirurdzy posiadali ogromne umiejętności. , Teraz Burris zaczął krzyczeć.

Dźwięk zaczynał się gdzieś głęboko, bulgocący, nie rozumiały krzyk i stawał się coraz wyższy i głośniejsza w miarę, jak wydobywał się na zewnątrz. Łona odwróciła się i przytuliła go mocno.

Czy skóra jego pokryta była potem? Nie. Niemożliwe. To musiał być jej własny pot. Burris wił się i kopał. Zrzucił kołdrę na podłogę. Czują jak jego mięśnie prężą się i napinają pod gładką skórą.1

Gwałtownym ruchem mógłby przełamać mnie na pół – pomyślała.

– Już dobrze, Minner. Jestem tu. Jestem tu. Już dobrze!

– Noże... Prolisse... o Matko Boska, noże! – Minner!

Nie puszczała go. Jego lewa ręka zwieszała się bez- i władnie i wydawało się, że w łokciu wygięta jest w niewłaściwą stronę.

Uspokajał się. Jego natężony oddech był głośny jak tętent kopyt. Łona sięgnęła nad nim i zapaliła światło. Zamrugał kilkakrotnie na boki w ten swój okropny sposób, a następnie przyłożył rękę do ust. Puściła go i usiadła cała drżąca. Dzisiaj atak był znacznie bardziej gwałtowny niż poprzedniej nocy.

– Wody? – spytała.

Skinał głowę. Ścisnął materac tak mocno, że pomyślała, iż go rozedrze. Przełknął.

– Bardzo było źle? Sprawili ci ból?

– Śniło mi się, że patrzyłem, jak operują. Najpierw Prolisse.

Umarł. Później pokroili Malcondotto. Umarł. A później...

– Przyszła twoja kolej?

– Nie – powiedział powoli. – Nie. Na stole położyli Elise.

Przecięli ją między piersiami. Otworzyli klatkę piersiową. Widziałem żebra i serce. Potem sięgnęli do środka...

– Biedny Minner...

Musiała mu przerwać, zanim opowie jej te wszystkie okropności.

Dlaczego śniła mu się Elise? Czy był to dobry znak, że widział, jak ją okaleczano? Czy byłoby lepiej, gdyby śnił o mnie? Gdyby mnie przemieniono w coś takiego, jak on?

Wzięła jego rękę i pozwoliła jej rozluźnić się w ciepłe swego ciała.

Znała tylko jeden sposób na złagodzenie ego bólu. Zastosowała go.

Burriss zareagował. Uniósł ię, zagarnął ją pod siebie. Poruszali się pośpiesznie, harmonijnie.

Po czym zaczął zapadać w sen. Łona, nieco roztrzęsiona, odsunęła się od niego i czekała, aż drzemka znów ją ogarnie. Męczyły ją jakieś zmy. Zdawało jej się, że powracający astronauta

przywiózł ze sobą jakąś pasożytniczą istotę, coś w rodzaju pulchnego wampira, która przyłgnęła do jej ciała, wysysała i osłabiała ją. Było to przykre, nie na tyle jednak, żeby ją obudzić, i po chwili zapadła w głębszy sen.

Kiedy obudzili się, Łona miała podkrążone oczy, ściągniętą i bladą twarz. Po Burrisie nie było widać skutków zmarnowanej nocy. Jego skóra nie była w stanie reagować tak wyraziście na krótkotrwałe efekty sataboliczne. Wydawał się nawet prawie wesół, szykując się na spotkanie nadchodzącego dnia.

– Cieszysz się na spotkanie z pingwinami? – zapytał. Czy zapomniał o ponurej depresji poprzedniego wieczora i o nocnej zmurze? Czy tylko usiłował o nich zapomnieć?

Jak dalece był człowiekiem? – zastanawiała się Łona.

– Tak – powiedziała chłodno – będziemy się świetnie bawić.

Nie mogę się już doczekać.

Rozdział 23. MUZYKA SFER

– Zaczynają się już nienawidzić – powiedział Chalk z miłym uśmiechem.

Był sam, ale to wcale nie przeszkadzało mu wyrażać głośno swoich myśli. Często mówił do siebie.

Kiedyś lekarz powiedział mu, że wypowiedzenie swych myśli nawet w samotności było pozytywne z punktu widzenia neuropsychiatrycznego.

Pławił się w kąpielii wypełnionej aromatycznymi solami. Wanna była głęboka na dziesięć stóp, długa na dwadzieścia i miała ponad dwanaście stóp szerokości. Znajdowało się w niej dość miejsca nawet dla Duncana Chalka. Miała marmurowe ściany, alabastrowe krawędzie i otoczona była porcelanowymi kafelkami w kolorze ciemnej czerwieni. Łazienkę nakrywała gruba, przejrzysta kopuła, która otwierała Chalkowi rozległy widok nieba. Z zewnątrz natomiast nie można było zobaczyć Chalka. Zadbał o to pomysłowy inżynier, specjalista od optyki. Z zewnątrz kopuła wydawała się mleczno biała z dodatkiem różowych, wijących się pasm.

Chalk unosił się leniwie, uwolniony od przyciągania ziemskiego, i myślał o swych cierpiących kochankach. Zapadła noc, nie pojawiły się jednak gwiazdy. Dostrzec mógł jedynie czerwony poblask odbity od niewidocznych chmur. Znowu padał śnieg. Płatki śniegu wykonywały skomplikowane ewolucje, opadając na powierzchnię kopuły.

– Znudził się nią – powiedział Chalk. – Ona boi się go. Jest zbyt mało intensywna, żeby mu się podobać. Dla niej jego napięcie jest zbyt wysokie. Podróżują jednak razem. Razem jedzą. Razem śpią.

Wkrótce będą głęboko skłóceni.

Taśmy okazały się bardzo dobre. Aoudad i Nikolaides pozostając na uboczu, ale w pobliżu, wybierali interesujące, radosne momenty do przekazania oczekującej publiczności. Walka na śnieżki – mistrzowskie ujęcie. Podróż saniami. Minner i Łona na biegunie południowym.

Publiczność je chłonęła.

Chalk chłonał je również na swój sposób.

Przymknął oczy, uczynił kopułę nad łazienką nieprzezroczystą i unosił się swobodnie w ciepłej, aromatycznej kąpieli. Odbierał oderwane, fragmentaryczne sygnały niepokoju.

...mieć stawy, które nie zachowują się jak stawy ludzkie...

...czuć się pogardzanym, odrzuconym przez ludzkość...

...bezdzielne macierzyństwo...

...jasne błyski bólu, jasne jak termoluminescencyjne porosty rzucające swój złocisty blask na ściany biura...

...ból ciała i ból duszy...

...samotny...

...nieczysty...

Chalk stęknął, jak gdyby prąd elektryczny przebiegł przez jego ciało. Przez chwilę jeden z palców

jego dłoni naprężył się. Pies gończy z ociekającymi śliną szczękami galopował w jego mózgu. Pod obwisłym ciałem na piersiach mięśnie rytmicznie kurczyły się i rozprężały.

...demony nawiedzające we śnie...

...gąszcz patrzących oczu na końcach czulek, świecących...

...świat suszy... cierni... cierni...

...chrzęst i drapanie dziwnych istot łązących po ścianach...

próchno duszy... cała poezja obrócona w popiół, cała miłość w rdzę...

...oczy z kamiennym wyrazem zwrócone na wszechświat... a wszechświat przyglądał się...

W ekstazie Chalk zaczął kopać wodę, gwałtownie wzbijając fontanny bryzgów. Uderzył płaszczyzną dłoni w wodę. Harpuny.

Harpuny! Ahoj! Ahoj!

Ogarnęła go rozkosz.

A to – powiedział sobie z zadowoleniem kilka chwil później – to dopiero początek.

Rozdział 24 TAK W NIEBIE, JAK I NA ZIEMI

Wyjechali do Luna Tivoli w słoneczny dzień, rozpoczynając kolejny etap rozrywek zaplanowanych przez Chalka. Dzień był jasny, choć zimowy. Uciekali od prawdziwej zimy północy i zimowego lata południa, ku zimie kosmosu pozbawionej pór roku. W porcie kosmicznym potraktowano ich jak bardzo ważne osobistości. Kronika filmowa, specjalny samochód wiozący ich przez pole startowe, podczas gdy gapie patrzyli z podziwem i wiwatowali na cześć znakomitości, choć nie wiedzieli, kim właściwie są.

Burriss tego nie znosił. Każde, nawet przypadkowe spojrzenie w swoim kierunku odbierał jak bolesne ukłucie.

– Dlaczego w takim razie zdecydowałaś się na to wszystko? – dopytywała się Łona. – Jeżeli nie chcesz, żeby ludzie się tak na ciebie gapili, dlaczego pozwoliłaś Chalkowi wysłać się w tę podróż?

– Za karę. Świadomie wybrałem taki sposób odpokutowania za odwrócenie się od świata, a także dla wyrobienia w sobie dyscypliny.

Te abstrakcje nie potrafiły jej przekonać. Nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

– Ale czy nie miałeś konkretnego powodu?

– Moje własne powody.

– To tylko słowa.

– Nigdy nie kpij ze słów, Łono. Jej nozdrza rozdęły się na chwilę.

– Znowu się ze mnie naśmiewasz!

– Przepraszani.

Rzeczywiście łatwo było się z niej naśmiewać.

– Wiem, co to znaczy, jak się na ciebie gapią. Krępuje mnie to.

Musiałam to jednak zrobić, żeby Chalk zdobył dla mnie kilkoro moich dzieci.

– Mnie też coś obiecał.

– A widzisz. Wiedziałałam, że się przyznasz.

– Transplantacja do innego ciała – potwierdził Bur-ris – przeniosą mnie do zdrowego, normalnego ciała ludzkiego. Muszę tylko wydać się na pastwę kamer przez kilka miesięcy.

– Czy rzeczywiście można coś takiego zrobić?

– Łono, jeżeli dziewczyna, której mężczyzna nigdy nie dotknął, może urodzić setkę dzieci, to znaczy że można wszystko zrobić.

– Ale... przenieść z ciała do ciała...

– Technika nie jest jeszcze doskonała – powiedział ze znużeniem – może będę musiał poczekać kilka lat.

– Och, Minner! To będzie wspaniałe. Znajdziesz się w prawdziwym ciele!

– To jest moje prawdziwe ciało.

– W innym ciele. To nie jest bez znaczenia. Nie będzie cię bolało. Żeby się tylko udało!

– Tak, żeby się tylko udało.

Była bardziej podniecona tą perspektywą niż on sam. Wiedział już o tym pomysle od miesiący i zaczynał wątpić, czy to będzie możliwe. A teraz przedstawił jej go, jak lśniącą, nową zabawkę. Ale cóż ją to mogło obchodzić? Nie byli małżeństwem. Dostanie swoje dzieci od Chalka w nagrodę za ten kaprys i zniknie gdzieś w bezosobowości na swój sposób zaspokojona i zadowolona, że pozbyła się swego irytującego, dokuczliwego, sarkastycznego towarzysza. On pójdzie swoją drogą skazany prawdopodobnie na zawsze na to groteskowe ciało, a może przeniesie się do eleganckiego normalnego ciała.

Samochód zatrzymał się przy rampie. Weszli do statku. Pokrywa luku otworzyła się. Powitał ich Bart Aoudad.

– Jak się macie, zakochani?

Nic nie odpowiedzieli. Nawet się nie uśmiechnęli. Aoudad, zaniepokojony, uwijał się dookoła nich.

– Wszyscy zadowoleni? Zrelaksowani? Nie boicie się choroby kosmicznej? Chyba nie ty, Minner?

Cha, cha, cha!

– Cha – odpowiedział Burris.

Był tu również i Nikolaides zajęty stosem dokumentów, broszur i czeków. Dante potrzebował tylko Wergiliusza do oprowadzenia go po kręgach piekieł, a ja mam dwóch przewodników. Żyjemy w czasach inflacji. Burris podał Łonie rękę i poprowadził do wnętrza statku. Palce jej były napięte. Denerwuje ją perspektywa wyruszenia w kosmos – pomyślał. A może to ciągle napięcie w czasie ich wyprawy tak na nią oddziaływało?

Podróż trwała krótko. Osiem godzin pod wpływem niewielkiego, ale stałego przyspieszenia koniecznego dla pokonania 240 000 mil.

Statek ten dawniej zatrzymywał się przy satelicie rozrywkowym unoszącym się 50000 mil nad

Ziemią. Dziesięć lat temu satelita ten jednak eksplodował na skutek jednego z niewielu błędów w obliczeniach, jakie popełniono w tej epoce bezpieczeństwa. Zginęły tysiące ludzi. Przez miesiąc szczątki sypały się na ziemię. Nagie dźwigary strzaskanej ogromnej kuli unosiły się w kosmosie, jak kości olbrzyma, przez trzy lata, dopóki nie zakończono operacji ratunkowej.

Ktoś, kogo Burris kochał, znalazł się na pokładzie satelity w chwili tragedii. Była z kimś innym, ciesząc się

grami hazardowymi, widowiskami, wyszukaną kuchnią, atmosferą życia, dniem dzisiejszym.

Niespodziewanie nadeszło jutro.

Kiedy zerwała z nim, był przekonany, że już nic gorszego nie może mu się w życiu przydarzyć.

Romantyczna fantazja młodego człowieka. Zmarła jednak krótko po zerwaniu i było to znacznie gorsze dla niego niż to, że go porzuciła. Martwej już nie mógł odzyskać i przez pewien czas sam zdawał się martwy, choć przecież żył. Później jednak ból zaczął ustępować, aż zniknął\ zupełnie.

Czy najgorszą w życiu rzeczą było stracić dziewczynę na rzecz rywala, a następnie stracić ją w katastrofie? Chyba nie. W dziesięć lat później Burris stracił samego siebie. Teraz chyba już wiedział, co może być w życiu najgorsze.

– Panie i panowie, witamy na pokładzie Aristrachusa IV. W imieniu kapitana Yilleparisisa składam państwu życzenia przyjemnej podróży. Prosimy o pozostanie w kojach w okresie maksymalnego przyspieszenia. Po oderwaniu się od Ziemi, będziecie państwo mogli swobodnie pospacerować i nacieszyć się widokiem przestrzeni kosmicznej.

Statek zabierał czterystu pasażerów, fracht i pocztę. W tyle statku znajdowało się dwadzieścia kabin, z których jedną przeznaczono dla Burrisa i Lony. Inni pasażerowie siedzieli obok siebie we wspólnej kabinie, starając się wyrzeć przez iluminatory.

– No, to ruszamy – powiedział Burris miękko. Czuł jak silniki odrzutowe chłoscą ziemię potokami spalin, jak włączają się silniki raketowe, jak statek unosi się bez wysiłku. Potrójne

baterie grawitronów osłaniały pasażerów od najgorszych efektów przyspieszenia startowego, chociaż nie można było całkowicie wyeliminować zjawisk grawitacyjnych na tak wielkim statku, co mógł osiągnąć Chalk na swym niewielkim spacerowcu.

Oddalająca się Ziemia wisiała jak zielona śliwka, tuż za iluminatorem. Burris zorientował się, że Łona nie podziwia widoku, ale wpatruje się weń z zafascynowaniem.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Świetnie. Świetnie.

– Nie wyglądasz na odprężonego.

– To efekty grawitacyjne. Czy myślisz, że denerwuję się lotem w kosmos? Wzruszyła ramionami.

– To jest twój pierwszy lot od czasu... od czasu Manipool.

– Lecieliśmy statkiem Chalka, nie pamiętasz?

– To co innego. To był lot nadatmosferyczny.

– Myślisz, że będę się kurczyć ze strachu dlatego, że lecimy w kosmos? Czy myślisz, że wyobrażam sobie, że ten prom to ekspres non-stop na Manipool?

– Przekręcasz moje słowa.

– Tak? Powiedziałem, że czuję się świetnie, a ty tu zaczynasz wymyślać jakąś fantastyczną chorobę.

Ty... – Przestań, Minner.

Jej oczy były bez wyrazu. Słowa ostro akcentowane, najeżone, kanciaste. Rozparł się wygodniej na koi i starał się zmusić macki na rękach, żeby się rozwinęły. Udało jej się. Był zrelaksowany, a teraz napięcie po-| wróciło. Dlaczego musiała mu tak matkować? Nie jest przecież kaleką. Nie trzeba było uspokajać go w momencie startu.

Startował już na długo przed tym, zanim się | urodziła. Co go zatem teraz denerwowało? Jak mogło do (tego dojść, że jej słowa tak łatwo rozwiały jego pewność [siebie?

| Ich kłótnia zakończyła się nagle, jak gdyby ktoś [zerwał taśmę.

Postrzępione brzegi jednak pozostały. – Nie przegap widoku, Łono!

Nigdy nie widziałaś Ziemi z takiej odległości – powiedział tak łagodnie, jak tylko mógł.

Ziemia pozostała już daleko. Było ją widać całą. Zwracała się do nich półkulą zachodnią, skąpaną w blaskach słońca. Antarktydy, gdzie byli zaledwie kilka godzin temu, nie widzieli wcale. Jedyne półwysep wyciągał się w kierunku przylądka Horn.

Starając się nie przybierać tonu nauczyciela, Burris pokazywał jej, jak słońce pada na planetę pod kątem, ogrzewając o tej porze roku jej część południową i zaledwie rozjaśniając północną. Mówił o płaszczyźnie ekliptyki, o zmianie pór roku. Łona słuchała z powagą, często kiwając głową, wydając uprzejme pomruki oznaczające zrozumienie, kiedykolwiek przerywał swoje wywody. Podejrzewał jednak, że nadal nie rozumiała. W tej chwili jednak gotów był zgodzić się choćby na cień porozumienia, jeżeli nie mógł osiągnąć wszystkiego, a ona mu to umożliwiała.

Wyszli z kabiny i zaczęli zwiedzać statek. Widzieli ziemię pod różnymi kątami. Kupili coś do picia. Najedli się. Aoudad uśmiechał się do nich ze swego fotela w sekcji turystycznej. Bez przerwy ludzie się na nich gapili.

Wrócili do kabiny. Zdrzemnęli się. Przespali mistyczną chwilę zwrotu, kiedy przyciąganie ziemskie zaczynało ustępować grawitacji księżycowej. Burris obudził się nagle, patrząc na śpiącą dziewczynę i w ciemność za iluminatorem. Zdawało mu się, że widzi osmalone dźwi-gary roztraskanego satelity. Nie, to niemożliwe. Widział je jednak lecąc tędy dziesięć lat temu. Ciała, które wysypały się z satelity, wciąż znajdowały się na orbicie poruszając się po rozległych parabolach wokół słońca O ile Burris się orientował, od lat nikt już nie widział takiego wędrowca. Większość ciał, chyba prawie wszystkie zostały zebrane przez statki ratownicze i wywiezione a chciał wierzyć, że reszta już do tego czasu dotarła do Słońca, na najpiękniejszy ze wszystkich pogrzebów Jednak zawsze prześladowała go myśl, że kiedyś przelatując przez tę strefę zobaczy za iluminatorem jej wykrzywioną twarz.

Statek obrócił się delikatnie i w iluminatorze pojawiła się białe, krostowate, ukochane przez niego oblicze Księżyca.

Burriss dotknął ramienia Lony. Poruszyła się, zamrugła, spojrzała na niego, potem na zewnątrz. Obserwując ją, zauważył wyraz zdumienia na jej twarzy, mimo że odwrócona była do niego plecami.

Na powierzchni Księżyca można było dostrzec z pół tuzina lśniących kopuł.

– Tivoli! – zawołała.

Burriss wątpił, czy jakaś z tych kopuł była rzeczywiście parkiem rozrywki. Na Księżycu wznosiło się wiele budowli przykrytych kopułami, budowanymi od dziesięcioleci z powodów militarnych, gospodarczych lub naukowych i żaden z nich nie odpowiadał jego wyobrażeniom o Tivoli. Nie poprawił jej jednak. Był pojętym uczniem.

Prom zwalniał. Spiralą zmierzał ku płycie lądowiska.

Był to wiek kopuł. Wiele z nich postawił Duncan Chalk. Na Ziemi były to na ogół wsparte na dźwigarach kopuły geodezyjne. Tutaj przy niskiej grawitacji kopuły stanowiły konstrukcje prostsze, mniej usztywnione, jednoczęściowe. Imperium rozrywki Chalka również ograniczały kopuły, poczynając od kopuły nad jego prywatnym basenem, poprzez kopułę nad antarktycznym hotelem, nad Salą Galaktyczną, nad Luną Tivoli i tak dalej, aż do gwiazd.

Lądowanie przebiegło bez wstrząsów.

– Będziemy się tu dobrze bawić, Minner! Zawsze marzyłam, żeby tu przyjechać!

– Będziemy się dobrze bawić – obiecał. Oczy jej błyszczały.

Była po prostu dzieckiem. Niewinnym, entuzjastycznym, prostym dzieckiem. Takie widział w niej zalety. Była również ciepła.

Pielęgnowała go, karmiła, matkowała mu aż do przesady. Wiedział, że jej nie docenia. W życiu jej było tak mało przyjemności że nawet najmniejsze niespodzianki wprawiały ją w za chwyt.

Reagowała z gotowością i otwartym sercem ni rozrywki oferowane przez Chalka.

Była młoda, ale nil pusta – przekonywał się Burris. Cierpiała.

Nosiła blizny tak jak i on.

Opuszczono rampę. Zbiegła ze statku pod gościnni kopułę, a on poszedł za nią, odczuwając jedynie nie wielkie kłopoty przy koordynacji pracy nóg. j

Rozdział 25. ŁZY KSIĘŻYCA

Łona obserwowała z zapartym tchem, jak lufa działa cofnęła się na skutek odrzutu i ładunek fajerwerków pomknął szybem ku otworom w kopule i w czerń na zewnątrz. Znowu wstrzymała oddech. Ładunek wybuchnął.

Noc zapłonęła barwami. Na zewnątrz nie było powietrza. Nic nie powstrzymywało cząsteczek w ich locie. Nie opadały. Pozostawały mniej więcej tam, gdzie zaniósł je wybuch. Wzór był piękny.

Dzisiaj pokazywano zwierzęta. Dziwne, pozaziemskie kształty. Obok niej Burris również patrzył w górę, z równym zainteresowaniem.

– Czy widziałeś już coś takiego?

Było to zwierzę o grubych jak liny mackach, nie kończącej się szyi i płaskich, wiosłowały ch stopach. Wylęgło się gdzieś, na jakimś bagnistym świecie.

– Nigdy.

Wybuchł następny ładunek. Tym razem jednak był to ładunek niszczący poprzedni obraz i pozostawiający tablicę nieba gotową na przyjęcie poprzedniego obrazu.

Następny wystrzał. Następny i następny.

– One są tak różne od fajerwerków na Ziemi. Nie ma huk, wybuchu, a następnie wszystko pozostaje w górze. Gdyby ich nie kasowali, jak długo utrzymywałyby się nie zmienione?

– Kilka minut. Tutaj również działa przyciąganie. Cząsteczki w końcu opadną, a obraz zostanie żarna; przez gruz kosmiczny. Mnóstwo różnych śmieci spadał Księżyc z kosmosu.

Zawsze był gotów odpowiedzieć na każde pytań Z początku ta zdolność budziła w niej podziw.

Teraz stała się irytująca. Chciała, żeby kiedyś nie odpowiesz i ciągle, próbowała. Wiedziała, że jej pytania drażnią prawie tak samo, jak ją drażniły jego odpowiedzi.

Ale fajna z nas para. Nie mamy jeszcze swego miesiąca miodowego, a już zastawiamy na siebie pułapki W ciszy obserwowali fajerwerki przez pół godzina Wreszcie Łona poczuła się znużona i odeszli.

– Dokąd? – zapytał.

– Połazimy trochę.

Był napięty i rozdrażniony. Wyczuła to. Wiedziała, gotów byłby rzucić się jej do gardła, gdyby popełniła błąd. Jakżeż on musi nienawidzić tej wizyty w tym głupim parku rozrywki! Cały czas się na niego gapią. Na nią też, ale ona wzbudza zainteresowanie tym, co z nią zrobiono, a nie tym, jak wygląda i oczy gapiów długo się na niej nie zatrzymywały.

Szli wzdłuż korytarza z kabinami po obu stronach. | Później skręcili w inny, podobny.

Trwał karnawał w tradycyjnym stylu, ustalonym całe wieki temu. Zmieniła się technologia, ale nie treść. Były gry zręcznościowe i lalki, tanie restauracje sprzedające pięknie udekorowane świństwa, karuzele, które zadowolilyby każdego derwisza, gabinety strachu, dansingi, sale gry, przyciemnione salki teatralne (tylko dla dorosłych), w których ujawniano różne tajemnice ciała, cyrk pcheł i mówiący pies, fajerwerki, wrzaskliwa muzyka, pylony świateł. Tysiąc akrobów tanich rozrywek, ubranych w najnowsze sztuczki techniczne.

Najistotniejszą różnicą pomiędzy Luna Tivoli Chalka a tysiącem innych Tivoli z przeszłości było jego położenie w obszernym

wnętrzu krateru Copernicus z widokiem na wschodnią ścianę otaczających gór. Oddychało się tu czystym powietrzem i tańczyło przy mniejszej sile przyciągania. To była Luna.

– Wir? – zapytał modulowany głos. – Wir dla pana i pani?

Łona ruszyła naprzód z uśmiechem. Burris rzucił kilka monet na kontuar i wpuszczono ich.

Kilkanaście aluminiowych muszli wyglądających jak resztki po gigantycznych ostrygach, kołysało się na srebrzystym, jakby wypełnionym rtęcią jeziorze. Przysadzisty mężczyzna, o skórze miedzianego koloru, w koszuli rozpiętej na piersiach, poprowadził ich.

– Muszla na dwoje? Proszę tędy.

Burris pomógł Łonie wgramolić się do jednej z muszli. Usiadł koło niej. Zamknięto szczelnie pokrywę. W środku było ciemno, gorąco i duszno. Ledwo się we dwoje mieścili.

– Jak wspomnienia z macicy – powiedział. Wzięła go za rękę i trzymała mocno. Przez srebrzyste jezioro przebiegła iskra siły napędowej. Ruszyli w nieznane. Pędzili ciemnymi korytarzami przez ukryte gar-' dziele, kołysani gwałtownym prądem. Łona krzyknęła ; kilka razy.

– Boisz się? ; – Nie wiem. Pędzimy tak szybko!

– Nic nie może nam się stać!

Płynęli, a może lecieli. Prawie nie odczuwali siły i ciężenia i tarcie nie hamowało ich pędu, kiedy mknęli tu i tam zaułkami i kanałami trasy. Otwarły się ukryte wentyle i dotarł do nich zapach.

– Co czujesz? – zapytała. ; – Pustynię. Zapach upału. A ty?

– Las w deszczu. Gnijące liście. Minner, jak to jest możliwe?

Może jego zmysły nie odbierają bodźców, jak moje, jak ludzkie? Jak on może czuć zapach pustyni? Te; dojrzały, ciężki zapach pleśni i wilgoci. Mogła wyobrazi sobie czerwone muchomory, wychylające się z ziemi. Małe stworzonka w wielu norach, kryjące się i zakopujące! Lśniące dżdżownica. A on – pustynia?

Przez chwilę muszla zdawała się przewracać. Potem opadła płasko na płyn, po którym płynęli i wyprostowała się. Zapach zmienił się i Łona od razu zauważyła tę zmianę.

– A teraz zapach Arkadii nocą – powiedziała. -Prażona kukurydza... pot... śmiech. Jak pachnie śmiech Minner? A ty, co czujesz?

– Pomieszczenia paliwowe statku w okresie wymiany rdzenia.

Coś paliło się parę godzin temu. Spalony tłuszcz, gdzie przeciekały pręty. Zapach wyraźny, jak gdyby wbijano gwóźdź do nosa.

– Jak to może być, że nie czujemy tych samych rzeczy?

– Psychowariacja zapachowa. Czujemy te rzecz; tak, jak tłumaczy nam nasz umysł. Tutaj nie rozprasza; żadnego konkretnego zapachu. Dostarczają nam tyłki surowiec. My sami tworzymy wzory.

– Nie rozumiem, Minner.

Milczał. Napłynęły nowe zapachy. Szpital, światło księżycy, stal, śnieg. Nie pytała o jego reakcję na tego rodzaju ogólną stymulację.

Raz gwałtownie wciągnę powietrze, raz zachnął się i wbił palce w jej udo.

Defilada zapachów skończyła się.

Gładka muszla płynęła dalej minuta po minucie Teraz pojawiły

się dźwięki. Cichutkie dzwoneczki, wibracje organowe, rytmiczne drapania pilników Żadnego wrażenia nie pominięto.

Wnętrze muszli stał się chłodne, następnie znowu się ociepliło.

Wilgotność zmieniała się w skomplikowanym cyklu. Muszla skręcała się w lewo i w prawo.

Wirowała oszalamiająco w ostatecznym szaleństwie ruchu, aż nagle znaleźli się w bezpiecznym porcie. Jego ręka objęła jej dłoń i wyłuskał ją z muszli.

– Dobra zabawa? – zapytał bez uśmiechu.

– Nie wiem. W każdym razie niezwykła. Kupił jej cukrową watę.

Minęli stoisko, gdzie rzucało się małe szklane kulki, złociste cele na ruchomym ekranie. Trzy trafienia na cztery rzuty dawały wygraną.

Mężczyźni o mięśniach przyzwyczajonych do warunków na Ziemi, usiłowali uporać się z mniejszą

siłą ciężenia i przegrywali, podczas gdy nadąsane dziewczyny obserwowały ich z boku. Łona wskazała na wygrane. Subtelne, niezwykle wzory, abstrakcyjne, subtelne formy wykonane w kosmatej tkaninie.

– Wygraj dla mnie jedną, Minner! – prosiła. Przesunął się do przodu i obserwował grających, rzucających bez powodzenia.

Większość rzucała zbyt mocno, inni znów zbyt słabo i patrzyli, jak ich kulki opadają powoli nie osiągając celu. Stoisko było zatłoczone i gapie niechętnie robili miejsce dla Burrisa, gdy przeciskał się między nimi. Łona zauważyła ich niechęć i miała nadzieję, że on jej nie zauważył. Zapłacił i dostał kulki. Jego pierwszy rzut chybił celu o sześć cali.

– Dobra robota, chłopie! Zróbcie mu miejsce! On wie, jak rzucać!

Właściciel stoiska przyjrzał się z niedowierzaniem twarzy Burrisa. Łona miała nadzieję, że Burris tego nie zauważył.

Zaczerwieniła się. Dlaczego muszą się gapić? Czy rzeczywiście on tak dziwnie wygląda?

Rzucił znowu. Klang. A po tym: klang, klang.

– Trzy pod rząd! Nagroda dla panienki! Dostała coś ciepłego, kosmatego, prawie żywego.

Wycofali się ze stoiska, pozostawiając za sobą szmer rozmów.

– Są rzeczy, które należy cenić w tym cholernym ciełe – powiedział Burris.

Kilka chwil później, kiedy odłożyła na moment swoją nagrodę, a potem wróciła po nią, wygranej nagrody już nie było. Chciał wygrać dla niej drugą, ale Łona powiedziała, żeby się nie przejmował.

Nie poszli oglądać pokazów na żywo. Kiedy zbliżyli się do budynku osobliwości, Łona zawahała się chcąc wejść do środka, a równocześnie była niepewna, czy należy to zaproponować. To wahanie okazało się fatalne. Z budynku wyłoniły się trzy otumanione piwem postacie, popatrzyły na Burrisa i wybuchnęły śmiechem.

– Popatrz. Jedna uciekła!

Łona rozpoznała ognistoczerwone plamy furii na policzkach Burrisa. Odciągnęła go szybko, ale rana została zadana. Ile tygodni wysiłków w celu wyleczenia osobowości zostało w tej chwili zmarnowane?

Cały wieczór zmienił się od tego momentu. Do tej pory Burris był tolerancyjny, nieco rozbawiony i tylko trochę znudzony. Teraz stał się wrogi. Oczy miał szeroko otwarte, a jego zimny wzrok był gotów zniszczyć park rozrywki, jak kwas. Szedł sztywny i napięty i nienawidził każdej chwili spędzonej w parku.

– Łono, jestem zmęczony. Chcę wrócić do pokoju.

– Zostańmy jeszcze chwilkę.

– Możemy tu przyjść jutro wieczorem.

– Ale jest jeszcze wcześnie.

– Zostań tu zatem sama – jego usta przebiegły dziwne grymasy.

– Nie! Boję się! Chciałam powiedzieć... co to byłaby za zabawa bez ciebie?

– Ja się nie bawię.

– Wydawało mi się, że bawiłeś się... przedtem.

– To było przedtem. Teraz jest teraz – pociągnął ją za rękaw. – Chodźmy!

– Nie. Tak szybko mnie stąd nie zabierzesz. W pokoju nie ma nic do roboty poza spaniem, kochaniem się

i patrzeniem na gwiazdy. To jest Tivoli, Minner. Tivoli! Chcę cieszyć się każdą minutą pobytu tutaj.

Powiedział coś, czego nie mogła zrozumieć i ruszyli w kierunku innej części parku. Szarpiący nim niepokój jednak zwyciężył. Po paru minutach znowu poprosił, żeby wrócili.

– Spróbuj się zabawić, Minner.

– Czuję się tu chory. Ten hałas... zapach... te oczy.

– Nikt na ciebie nie patrzy.

– Bardzo zabawne. Czy słyszałaś, co oni powiedzieli, kiedy...

– Byli pijani.

Dopraszał się współczucia, ale tym razem nie miała ochoty go okazywać.

– Och, wiem, zraniono twoje uczucia. Tak łatwo je zranić.

Chociaż raz przestań się nad sobą rozczulać! Przyjechałam tu, żeby dobrze się bawić i ty mi tego nie zepsujesz.

– Jesteś złośliwa!

– A ty samolubny!

Nad ich głowami wybuchły fajerwerki. Oślepiający wąż o siedmiu ogonach rozparł się na niebie.

– Jak długo chcesz tu zostać? – zapytał zimno.

– Nie wiem. Pół godziny... godzinę...

– Piętnaście minut?

– Nie targujmy się. Nie widzieliśmy nawet jednej dziesiątej tego, co tu jest.

– Będą jeszcze inne wieczory.

– Znowu to samo, Minner. Przestań! Nie chcę się z tobą kłócić, ale nie ustąpię. Nie ustąpię.

Wykonał dworski ukłon zginając się niżej, niż by to było możliwe u kogoś, kto miał normalny kościec ludzki.

– Jestem do usług, o pani!

Słowa te były pełne jadu. Łona postanowiła je zignorować i ruszyli zaśmieconą ścieżką. Była to jak dotąd ich najgorsza kłótnia.

W przeszłości ich spory były

chłodne, urywane, sarkastyczne, powściągliwe. Nigdy jednak nie stali tak twarzą w twarz warcząc na siebie. Zebrało się nawet kilkoro gapiów. Co się stało? Dlaczego się sprzecjali? Zastanawiała

się, dlaczego wydawało się jej czasami, że jej nienawidzi? Dlaczego jej się czasami wydawało, że może jego zniechęcić?

Powinni wspierać się nawzajem. Tak było na początku. Połączyły ich więzy wzajemnego współczucia, ponieważ oboje cierpieli. Co się z tym stało? Pojawiło się tyle goryczy, oskarżeń, pretensji, napięć.

Przed nimi trzy przecinające się żółte kręgi wykonywały skomplikowany, płomienny taniec. Pulsujące światła podnosiły się, opadały, migotały. Wysoko na kolumnie pojawiła się naga dziewczyna, otulona żywym światłem. Kiwała rękami i wzywała, jak muezin wzywający wiernych, do świątyni pożądania. Jej ciało było niezwykle kobiece. Piersi sterczały dumnie do przodu, pośladki były jak ogromne półkule. Nikt się takim nie rodzi. Musiała być zmieniona przez lekarzy. Członkini naszego klubu – pomyślała Łona. – Nie przejmuję się. Stoi tam, wszyscy na nią patrzą i bierze za to pensję. Jak ona się z tym czuje o czwartej rano? Czy jej to przeszkadza?

Burriss patrzył z uporem na dziewczynę.

– To tylko kawał ciała – powiedziała Łona. – Czym się podniecasz?

– To jest Elise!

– Mylisz się, Minner. Co ona by tu robiła, tam na tej kolumnie.

– Mówię ci, że to Elise. Mam lepszy wzrok niż ty. Nie wiesz, jak ona wygląda. Coś zrobili z jej ciałem. Jest jakby pulchniejsza, ale wiem, że to Elise.

– No, to leć do niej. Stał jak skamieniały.

– Wcale nie powiedziałem, że chcę.

– Ale tak pomyślałeś.

– Cóż to, zazdrosna jesteś o dziewczynę na kolumnie?

– Kochałeś ją, zanim mnie poznałeś.

– Nigdy jej nie kochałem – wykrzyknął, ale wiedziała, że kłamie.

Z tysiący głośników popłynęły pochwały dla dziewczyny, dla parku, dla gości. Wszystkie dźwięki wymieszały się w jeden bezładny ryk. Burris podszedł bliżej do kolumny. Łona szła za nim.

Dziewczyna tańczyła, wymachiwała nogami, dziko płaśała. Ciało jej lśniło. Obfite ciało trzęsło się i drżało. Było uosobieniem namiętności.

– To nie jest Elise – powiedział Burris nagle i cały czar przysł.

Odwrócił się i z pociemniałą twarzą zatrzymał się. Wokół nich wszyscy goście zmierzali w kierunku kolumny, która nagle stała się centralnym punktem parku. Łona i Burris nie ruszyli się z miejsca.

Byli odwróceny tyłem do tancerki. Burris drgnął nagle i skrzyżował ramiona na piersi. Usiadł na ławce ze spuszczoną głową.

Nie był to snobizm ani znudzenie. Łona zdała sobie sprawę, że był chory.

– Czuję się taki zmęczony – powiedział zduszonym głosem – zupełnie pozbawiony sił. Czuję się, jakbym miał tysiąc lat, Łono.

Wyciągnęła do niego rękę. Zakaszlała. Nagle z oczu zaczęły jej płynąć łzy. Opadła na ławkę obok niego, starając się złapać oddech.

– Czuję się tak samo. Zupełnie wyczerpana.

– Co się dzieje?

– Czegoś nawdychaliśmy się w czasie tej jazdy? Coś zjedliśmy?

– Nie. Spójrz na moje ręce.

Drżały. Maleńkie macki zwisały bezwładnie. Jego twarz poszarzała.

Ona czuła się, jakby tej nocy przebiegła ze sto mil lub jakby urodziła sto dzieci.

Kiedy znowu zaproponował powrót, nie protestowała.

Rozdział 26 MRÓZ O PÓLNOCY

Na Tytanie Łona zerwała z Burrisem i opuściła go. Od szeregu dni Burris wiedział, że ta chwila

nadchodzi i wcale nie był zaskoczony. Nawet poczuł pewną ulgę.

Napięcie między nimi narastało od czasu wizyty na biegunie południowym. Nie był pewien, dlaczego. Podejrzywał, że po prostu do siebie nie pasowali. Kłócili się od tego czasu prawie bez przerwy, początkowo po cichu, a później otwarcie. W końcu odeszła.

W Luna Tivoli spędzili sześć dni. Układ każdego dnia był taki sam. Wstawali późno. Jedli obfite śniadanie. Zwiedzali Księżyc, a następnie wyruszali do parku. Teren był tak duży, że codziennie odkrywali coś nowego, ale trzeciego dnia Burris stwierdził, że podświadomie ograniczali swoje wyprawy, a piątego dnia miał już serdecznie dość. Starał się być tolerancyjny wobec Lony, która odczuwała wyraźną przyjemność z pobytu w Tivoli. W końcu jednak jego cierpliwość wyczerpała się i znowu doszło do kłótni. Każda następna kłótnia stawała się bardziej zajadła niż poprzednia. Czasami kłótnie kończyły się gwałtowną miłością, czasami bezsennością i obrazą.

Zawsze w czasie i tuż po kłótni pojawiała się zmęczenie i gwałtowna, wyczerpująca utrata energii. Nigdy wcześniej nic podobnego Burrisowi się nie przydarzyło.

Fakt, że te ataki osłabienia czuła jednocześnie dziewczyna, czynił to zjawisko jeszcze bardziej dziwnym. Nie mówili nic Aoudadowi i Nikolaidesowi, których widywali od czasu do czasu w tłumie.

Burris wiedział, że złośliwe argumenty pogłębiały jeszcze bardziej przepaść między nimi. W czasie mniej burzliwych chwil żałował, że wypadki przybrały taki obrót, bo Łona była łagodna i dobra, i cenił sobie jej ciepło. Zapominał jednak o tym w chwilach gniewu.

Wydawała mu się wówczas pusta, nieprzydatna i denerwująca. Była ciężarem dodanym do jego innych ciężarów. Głupie, nic nie umiejące, nieznośne dziecko. Powiedział jej to, kryjąc początkowo prawdziwe znaczenie w łagodzących formułkach, a później rzucając jej te słowa bezpośrednio w twarz.

Zerwanie musiało nastąpić. Wyczerpywali się nawzajem, tracąc całą energię w tych walkach.

Chwile miłości godziły ich coraz rzadziej. Częściej pojawiała się gorycz.

Rano, szóstego dnia pobytu w Luna Tivoli, Łona zdecydowała: – Odwołajmy dalszą rezerwację i jedźmy na Tytana.

– Mamy spędzić tu jeszcze pięć dni.

– Czy masz na to ochotę?

– Szczerze mówiąc, nie.

Obawiał się, że spowoduje kolejny wybuch gniewnych słów, a na kłótnię było jeszcze za wcześnie.

Tego ranka jednakże Łona była w nastroju ofiarnym.

– Myślę, że mam dość, a że ty masz dość to oczywiste! Dlaczego więc mamy tu siedzieć?

Przypuszczam, że Tytan jest znacznie ciekawszy.

– Możliwe.

– A poza tym byliśmy tu tacy niemili dla siebie. Może zmiana środowiska coś pomoże.

Powinna pomóc. Każdy barbarzyńca z wystarczająco grubym portfelem mógł sobie pozwolić na bilet do Luna

Tivoli; spotykali tu prostaków, pijaków i łobuzów. Tivoli opierało się na gościach pochodzących z warstw znajdujących się znacznie poniżej ziemskiej elity. Tytan był znacznie bardziej selektywny.

Jedynie bogaci i wyrafinowani trafiali na Tytana. Byli to ludzie, dla których wydanie dwóch średnich pensji rocznych na krótką wyprawę to głupstwo. Tacy ludzie są przynajmniej na tyle

delikatni, że będą udawać, że nie widzą jego zniekształceń. Pary spędzające miesiąc miodowy na Antarktydzie i zamykające oczy na wszystko, co je niepokoiło, traktowały go, jak gdyby był

niewidzialny. Goście Luna Tivoli śmiali mu się w twarz i przedrzeźniali jego deformacje. Na

Tytanie natomiast dobre wychowanie będzie wymagało traktowania jego zniekształceń, jak gdyby w ogóle nie istniały. Spójrz na obcego człowieka, uśmiechnij się, porozmawiaj i nigdy nie daj mu

poznać słowem ani czynem, że zdajesz sobie sprawę, że jest inny. Tego wymagały dobre manieri.

Burrisowi wydawało się, że spośród tych trzech form okrucieństwa woli tę ostatnią.

Przy świetle fajerwerków wytropił Aoudada.

– Mamy już dość. Zrób rezerwację na Tytana.

– Ale przecież macie...

– ... jeszcze pięć dni. Tak, ale nie chcemy tu zostać. Zabierz nas na Tytana.

– Zobaczą, co się da zrobić – obiecał Aoudad. Aoudad obserwował ich kłótnie. Burris był nieszczęśliwy z powodów, którymi sam pogardzał. Aoudad i Nikolaides byli dla nich jak swatki i Burris uważał się do pewnego stopnia zobowiązany, żeby zachowywać się jak oczarowany kochanek. Czuł, że w pewien sposób sprawia Aoudadowi zawód, kiedy warczy na Lonę. Dlaczego przejmuję się tym, że sprawiam zawód Aoudadowi? Przecież on z tego powodu nie narzeka. Nie stara się nas pogodzić. Nic nie mówi.

Aoudad zdobył bilety na Tytana bez żadnych trudno-

ści. Jak spodziewał się Burris. Zasygnalizował ich wcześniejszy przyjazd i wystartowali.

Start z Księżyca nie dał się porównać do startu z Ziemi. Przy sześciokrotnie mniejszej sile przyciągania wystarczyło ledwie lekkie pchnięcie, żeby wyruszyć w drogę. W porcie kosmicznym panował duży ruch. Codziennie startowały statki na Marsa, Wenus, Tytana, Ganimede i na Ziemię. Co trzy dni startował statek na planety zewnętrzne, a raz na tydzień startował statek na Merkurego. Zwyczajowo nie startowały stąd żadne statki na inne gwiazdy.

Zgodnie z prawem mogły startować jedynie z Ziemi i podlegały kontroli przez cały czas, dopóki nie przeszły do nadprzestrzeni, gdzieś za orbitą Plutona. Wiele statków udających się na Tytana, zatrzymywało się po drodze w ważnym ośrodku górniczym na Ganimede i taką trasę przewidywał ich oryginalny plan podróży.

Dzisiejszy statek leciał jednak bez zatrzymywania. Łona będzie żałowała, że nie zobaczy

Ganimede, ale to była jej własna wina. To ona zaproponowała wcześniejszy wyjazd. Może będą

mogli zatrzymać się na Ganimede w drodze powrotnej.

W rozmowach Lony dominowała wymuszona wesołość. Gdy statek pogrążał się w mroku przestrzeni kosmicznej, zapragnęła dowiedzieć się wszystkiego o Tytanie, tak jak chciała wiedzieć wszystko o biegunie południowym, o zmianie pór roku, o życiu kaktusów i o wielu innych rzeczach. Jednak jej pytań nie powodowała naiwna ciekawość jak dawniej, ale nadzieja, że uda się odbudować kontakt, jakikolwiek kontakt pomiędzy nią a Burrisem.

Burris wiedział, że się to nie uda.

– To największy księżyc w naszym systemie. Jest nawet większy od Merkurego, a Merkury to przecież planeta.

– Merkury porusza się dookoła Słońca, a Tytan dookoła Saturna.

– Tak. Tytan jest większy od naszego księżyca. Położony jest w odległości 750000 mil od Saturna. Będzie dobrze widać pierścienie.

Jest na nim atmosfera. Metan, amoniak – niezbyt zdrowe dla płuc.

Wszystko zamrożone. Podobno jest bardzo malowniczy. Nigdy tam nie byłem. – Dlaczego? –

Kiedy byłem młody, nie było mnie stać. Później byłem zbyt zajęty gdzie indziej. Statek płynął przez przestrzeń kosmiczną. Lona patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak mijali płaszczyznę planetoid. Mogli dobrze przyjrzeć się Jowiszowi mijając go w niewielkiej odległości i pędzili w stronę Saturna. Dotarli do Tytana. Oczywiście znowu kopuła. Ponure lądowisko na ponurym płaskowyżu. Świat lodów, ale bardzo różny od śmiertelnie groźnej Antarktydy. Każdy cal Tytana był obcy i dziwny, podczas gdy na Antarktydzie wszystko stawało się nużąco znajome.

To jednak nie było zwykłe miejsce, gdzie po prostu jest zimno, biało i wietrznie.

Zaciekawiał przede wszystkim Saturn. Otoczona pierścieniami planeta wisiała nisko na niebie.

Znacznie większa niż Ziemia widziana z Księżyca. W atmosferze Tytana było dość metanu i amoniaku, żeby zabarwić niebo na niebieskawy kolor. Tworzyło to piękne tło dla lśniącego,

złościstego Saturna z jego ciemnym obramowaniem atmosfery i węzłem Midgarda złożonym z drobnych kamieni.

– Te pierścienie są takie cienkie – narzekała Łona – ledwo je widać pod tym kątem!

– Wydają się cienkie, ponieważ Saturn jest tak wielki. Będzie je lepiej widać jutro. Zobacysz, że to nie jest jeden pierścień, tylko kilka. Wewnętrzne pierścienie poruszają się szybciej niż zewnętrzne.

Wszystko dobrze szło, gdy rozmowa obracała się wokół obojętnych tematów. Burris wahał się przed przejściem do tematów bardziej osobistych i podobnie zachowywała się Łona. Ich nerwy były poszarpane. Stali zbyt blisko skraju przepaści po ostatnich kłótniach.

Zajęli jeden z najlepszych pokoiów w lśniącym hotelu. Wokół nich wszędzie gościli posiadacze, najwyższa kasta Ziemi. Zrobili pieniądze na rozwoju planet, transporcie w nadprzestrzeni i systemach napędowych. Zdawało się, że wszyscy się nawzajem znają. Kobiety niezależnie od wieku były szczupłe, energiczne, uważne. Mężczyźni potężni, ale poruszali się ze zdecydowaniem i energią. Nikt nie wygłaszał niegrzecznych uwag pod adresem Burrisa i Lony. Nikt się nie gapił.

Wszyscy byli przyjaźni w chłodny sposób.

Pierwszego wieczora jedli kolację w towarzystwie przemysłowca posiadającego rozległe tereny na Marsie. Był już dobrze po siedemdziesiątce. Miał opaloną, pobrużdżoną twarz i wąskie, ciemne oczy. Jego żona miała najwyżej lat trzydzieści. Rozmawiali głównie o eksploatacji gospodarczej zewnętrznych planet.

– Miała na ciebie oko – powiedziała Łona po kolacji.

– Nie zawiadomiła mnie o tym.

– To zupełnie oczywiste. Mogę się założyć, że dotykała twojej stopy pod stołem.

Wyczuł, że znowu szykuje się kłótnia. Pospiesznie poprowadził Lonę do okna widokowego w kopule.

– Powiem ci coś – powiedział. – Jeśli mnie uwiedzie, pozwalam ci uwieść jej męża.

– Bardzo zabawne.

– Cóż w tym złego. Ma forszę. , – Nie spędziłam tu nawet pół dnia, a już znienawidziłam to miejsce.

– Przestań, Łono. Za bardzo wysilasz swoją wyobraźnię. Ta kobieta mnie nie dotknie. Sama myśl spowodowałaby u niej dreszcze przez cały miesiąc. Wierz mi. O, popatrz tam!

Zrywała się burza. Ostry wiatr uderzał w kopułę Saturn był w pełni nocy i jego odbite światło rzuca złociste refleksy na śniegu, ginące w białym blask padającym z kopuły. Ostre światełka gwiazd rozrzuconych po sklepieniu nieba, wyglądały prawie tak, jak w przestrzeni kosmicznej.

Zaczął padać śnieg. Przez chwilę obserwowali, jak wiatr przegania śnieg wokół kopuły. Usłyszeli muzyk i poszli w tamtym kierunku. Większość gości ruszyła z nimi.

– Chcesz zatańczyć? – zapytała Łona.

Pojawiła się orkiestra w strojach wieczorowych. Dźwięczne, wirujące tony nasiliły się. Instrumenty strunowe, dęte, trochę perkusji, trochę instrumentów z obcych cywilizacji tak popularnych obecnie w dużych zespołach. Elegancyjnie goście poruszali się wdzięcznie po lśniącej podłodze.

Burriss ujął Lonę sztywno w ramiona i przyłączyli się do tancerzy.

Dawniej nigdy nie tańczył dużo, a już nie zatańczył; ani razu po powrocie na Ziemię z Manipool.

Sama myśl o tańcu w takim lokalu jak ten wydawałaby mu się groteskowa jeszcze kilka miesięcy temu. Teraz zaskoczyło go, jak dobrze jego przemodelowane ciało przystosowało się do rytmu muzyki. Uczył się wdzięku korzystać z tych skomplikowanych, nowych kości. Wokół wkoło, wkoło...

Oczy Lony wpatrzyły się w jego oczy. Nie uśmiecha się.

Wydawało się, że czegoś się boi.

Nad ich głowami pojawiła się kolejna przejrzysta kopuła. Szkoła architektury Duncana Chalka – pokaż im gwiazdy, ale zapewnij ciepło! Podmuchy wiatru napędzały śnieg na wierzchołek kopuły i

równie szybko zdmuchiwały. Dłoń Lony w jego ręce wydawała się zimna. Tempo tańca uległo przyspieszeniu. Regulato termiczne, które zastąpiły w jego ciele gruczoły potów pracowały pełną parą..Czy będzie w stanie utrzymać to tempo? Czy nie potknie się?

Muzyka zamilkła. Podeszła do nich para, z którą siedzieli przy kolacji. Kobieta uśmiechnęła się. Łona patrzyła na nią groźnie.

Kobieta powiedziała z pewnością siebie, jaką mogą mieć tylko bogaci: – Czy możemy zatańczyć? Starał się tego unikać, ale obecnie nie było sposobu, żeby się taktownie wycofać. Zazdrość Lony znajdzie teraz nową pożywkę.

Cienki, wysoki dźwięk oboju wezwał tancerzy na parkiet. Burris pozostawił Lonę z kamienną twarzą w towarzystwie magnata przemysłowego.

Kobieta tańczyła świetnie. Zdawała się fruwać nad parkietem.

Zmuszała Burrisa do tytanicznych wysiłków. Płynęli wokół sali. Przy tej szybkości tańca nawet oczy Burrisa przystosowane do wycinkowych obserwacji nie mogły wysledzić Lony. Muzyka ogłuszała go. Uśmiech kobiety był zbyt szeroki.

– Jesteś wspaniałym partnerem – powiedziała – jesteś silny, masz wycucie rytmu...

– Nigdy nie byłem dobrym tancerzem przed powrotem z Manipool.

– Manipool?

– To planeta, gdzie ja... gdzie oni... Nie wiedziała. Zakładał, że każdy znał jego dzieje. Może bogacze nie zwracali uwagi na bieżące sensacyjne programy telewizyjne. Nie śledzili jego losów. Bardzo możliwe, że przyjęła do wiadomości jego wygląd, nie zastanawiając się nad jego przyczyną. Można być nadmiernie taktownym. Okazuje się, że mniej się nim interesowała, niż przypuszczał.

– Nieważne...

Gdy dokonywali drugiego okrążenia sali, zauważył, że Łona już wychodzi. Przemysłowiec stał

samotnie, wyraźnie zakłopotany. Burris natychmiast się zatrzymał. Partnerka spojrzała na niego pytająco.

– Przepraszam, może się źle poczuła...

Nie czuła się źle. Była w złym humorze. Znalazł ją w pokoju z twarzą w poduszce. Kiedy dotknął ręką jej nagich pleców, zadrżała i odsunęła się. Nie mógł jej nic powiedzieć. Spali daleko od siebie, a kiedy znowu pojawił się jego sen o Manipool, udało mu się zdławić krzyk, zanim jeszcze wyrwał mu się z piersi. Zerwał się i siedział sztywno, dopóki strach nie minął.

Żadne z nich nie wspomniało rano o tym epizodzie. Pojechali saniami oglądać widoki. Hotel i lądowisko położone były w centrum niewielkiego płaskowyzu, otoczonego ogromnymi górami. I tutaj, podobnie jak na Księżycu, widzieli wiele szczytów, przy których Everest wydawał się karzełkiem. Wydawało się dziwne, że na tak niewielkich ciałach niebieskich piętrzyły się tak ogromne pasma górskie, ale tak właśnie było. Około stu mil na zachód od hotelu znajdował się Lodowiec Martinellogo, rozległa, sunąca powoli rzeka lodu wijąca się setkami mil w dół, wypływająca z serca tutejszych Himalajów. Lodowiec kończył się sławnym na całą galaktykę, Zamarzniętym Wodospadem. Każdy gość na Tytanie musiał go zobaczyć. Burris i Łona także tam pojechali.

Po drodze napotkali mniej sławne widoki, które Burris uznał za równie wzruszające. Wijące się metanowe chmury i kłaczki zamarzniętego amoniaku zdobiące nagie szczyty i nadające im wygląd jakby wyjętych ze starych chińskich grafik. Ciemne jezioro metanu położone o pół godziny drogi od hotelu. W jego gęstej głębinie żyły małe, odporne żywe istoty Tytana, które były mniej więcej, a raczej mniej niż więcej, podobne do mięczaków czy stawonogów. Oddychały i żywiły się metanem. Ponieważ życie w systemie słonecznym występowało tak rzadko, Burrisa fascynował widok tych niezwykłości w ich naturalnym środowisku. U skraju jeziora dostrzegł ich pokarm, ziele tytanowe. Długie jak sznury rośliny, jakby umazane tłuszczem, o martwym białym kolorze,

które swobodnie znosiły ten piekielny klimat.

Sanie sunęły w kierunku Zamarzniętego Wodospadu.

I wreszcie dotarli. Błękitno-biały wodospad lśnił w odbitym świetle Saturna, zawieszony nad niezgłębioną pustką. Patrzący wydali obowiązkowe westchnienia zachwytu. Nikt nie wysiadł z sań, ponieważ wiał zbyt silny wiatr, a nie można było w pełni ufać ochronnym kombinezonom.

Okружиł wodospad, oglądając ten iskrzący się łuk lodowy z trzech stron. Później przewodnik przekazał im złą wiadomość, że muszą wracać, bo szykuje się burza.

Burza nadeszła wcześniej, zanim udało im się znaleźć schronienie pod kopułą. Zaczął padać deszcz, a raczej ulewa wytrąconego amoniaku przemieszanego z gradem, bębniącym po dachu sań. Później sypał śnieg, a raczej tumany kryształów amoniaku pędzone wiatrem. Sanie posuwały się do przodu z ogromnym trudem. Burris nigdy nie widział tak gwałtownej śnieżycy. Z wyciem silnika sanie omijały nowo powstałe wydmy i okręzały wyrastające nagle przed nim zaspasy. Pasażerowie komentowali piękno burzy. Burris, który zdawał sobie sprawę, jak łatwo mogą zostać zasypani, zamyślił się.

Śmierć mogła przynieść wreszcie uspokojenie, ale jeśli miałby wybierać, to wolałby nie zostać zasypany żywcem. Czuł już w ustach kwaśny zaduch spowodowany wyczerpywaniem się powietrza i zdawało mu się, że wyjące silniki napełniająabinę pasażerską spalinami. Wyobraźnia, nic więcej! Spróbować cieszyć się pięknem burzy.

Poczuł mimo wszystko ulgę, gdy dotarli bezpiecznie do celu i owionęło ich ciepło kopuły.

Pokłócili się wkrótce po powrocie. Ta kłótnia miała jeszcze mniej powodów niż wszystkie poprzednie. Bardzo szybko jednak osiągnęła poziom prawdziwego gniewu.

– W czasie całej wyprawy nie spojrzaleś na mnie ani razu, Minner.

– Patrzyłem na widoki. Po to tu przyjechaliśmy.

– Mogłeś mnie wziąć za rękę. Mogłeś się uśmiechnąć.

– Ja...

– Czy jestem aż tak nudna? Czuł się znużony i zrezygnowany.

– W rzeczywistości jesteś! Jesteś tępą, nieciekawą, nic nie umiejącą małą dziewczynką! Wszystko to zostało zmarnowane! Nie potrafisz docenić jedzenia, ubrania, seksu, podróży...

– A ty czym jesteś? Po prostu okropny wybryk natury!

– To już mamy dwa.

– Ja też jestem wybrykiem natury? – wrzasnęła. – Tego po mnie nie widać! Jestem przynajmniej istotą ludzką. A ty?

Wtedy rzucił się na nią. Jego gładkie palce zacisnęły się na jej gardle. Broniła się. Walila go pięściami, drapała mu policzki paznokciami. Nie mogła jednak uszkodzić mu skóry i to wzbudziło w niej jeszcze większą furję. Trzymał ją mocno i potrząsał, aż głowa jej chybotąła się na wszystkie strony, a ona cały czas okładała go pięściami i kopała. W jego arteriach pulsowały wszystkie uboczne produkty wściekłości.

Tak łatwo mogę ją zabić – pomyślał. Jednak ta chwila przerwy na sformułowanie rozsądnej myśli uspokoiła go. Puścił ją. Przyglądał się swoim rękóm, a ona przyglądała się jemu. Na jej szyi wystąpiły czerwone plamy, podobnie do plam wściekłości pojawiających się na jego policzkach. Oddychając gwałtownie, cofnęła się. Nie powiedziała ani słowa. Wskazywała tylko na niego drżącą ręką.

Zmęczenie powaliło go na kolana. Cała jego siła w jednej chwili gdzieś się rozplynęła. Wszystkie stawy rozluźniły się i opadł, jak gdyby roztopiał się, nie mogąc nawet podeprzeć się rękami. Leżał bez siły przywołując w milczeniu jej imię. Nigdy przedtem nie czuł się tak słaby, nawet wtedy, kiedy przychodził do siebie po tym, co zrobiono z nim na Manipool.

Tak jest, gdy opuszczą cię wszystkie siły – pomyślał. Zupełnie, jakby przystawiono mu pijawki. Boże! Czy kiedykolwiek będę miał siłę wstać? Pomocy! Krzyczał w ciszy. Łona, gdzie jesteś?

Kiedy odzyskał już siły na tyle, że mógł podnieść głowę, odkrył, że jej nie ma. Nie wiedział, ile czasu upłynęło. Cał po calu dźwignął się i usiadł na skraju łóżka czekając, aż minie okres największej słabości. Czy to była kara za to, że ją uderzył? Słabość ta ogarniała go podczas każdej kłótni.

– Łona?

Wyszedł do hallu trzymając się blisko ściany. Eleganckim kobietom, które mijały go, musiał wydawać się pijany. Uśmiechały się. Chciał odwzajemnić się uśmiechem. Lony nie znalazł.

W kilka godzin później odszukał Aoudada. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Widziałeś ją? – wychrypiał Burris.

– Jest w pół drogi do Ganimede. Wyjechała wieczornym statkiem.

– Wyjechała. Aoudad skinął głową.

– Nick z nią pojechał. Wracają na Ziemię. Co z nią zrobiłeś?

Poobijałeś ją trochę?

– Pozwoliłeś jej odjechać? – mruknął Burris. – Pozwoliłeś jej mnie zostawić? Co na to Chalk?

– Chalk wie. Czy myślisz, że nie skontaktowaliśmy się z nim?

Powiedział, że jeśli chce wracać do domu, to niech wraca.

Powiedział, żeby wysłać ją najbliższym statkiem. I tak zrobiliśmy.

Źle wyglądasz, Burris. Myślałem, że twoja skóra nie może być blada.

– Kiedy będzie następny statek?

– Jutro wieczorem. Chyba nie będziesz jej gonił?

– A co innego mi zostało?

– W ten sposób daleko nie zajdziesz – powie dział Aoudad z uśmiechem. – Niech jedzie. Jest tu pełno kobiet gotowych zająć jej miejsce. Nawet nie wyobrażasz sobie ile. Kilka z nich dowiedziało się, że jestem z wami i przychodziło do mnie prosząc, żebym zaaranżował spotkanie. To twoja

twarz je fascynuje, Minner.

Burris odwrócił się od niego.

– Jesteś wstrząśnięty – powiedział Aoudad. – Posłuchaj, chodźmy się napić.

– Jestem zmęczony. Chcę odpocząć – odparł Burris nie oglądając się na niego.

– Czy mam przysłać do ciebie jedną z tych kobiet?

– Czy tak wyobrażasz sobie odpoczynek?

– Właściwie tak – uśmiechnął się Aoudad mile. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zająć się jedną z nich osobiście.

Chyba rozumiesz. Ale niestety one chce ciebie.

– Czy można połączyć się z Ganimedem? Może będę mógł z nią porozmawiać w czasie, kiedy statek będzie pobierał paliwo.

– Ona odeszła. Teraz powinieneś o niej zapomnieć. Cóż ona takiego miała poza problemami?

Zwykle, wychudzone dziecko! Nie zgadzaliście się ze sobą. Wien dobrze, sam widziałem. Tylko wrzeszczeliście na siebie. Po co ci ona potrzebna? Powiem ci o...

– Czy masz jakieś środki uspokajające?

– Wiesz przecież, że ci nie pomagają. Burris jednak wyciągnął rękę i Aoudad podał mi jedną fiolkę wzruszając ramionami. Burris przytknął je wylot do skóry. Złudzenie spokoju było warte prawie tyle samo co prawdziwy spokój. Rzucił mu zdawkowe po dziękowanie i ruszył spieszenie do pokoju.

Po drodze spotkał kobietę, której włosy wyglądały jak różowe włókno szklane, a oczy jak ametysty. Jej strój był skromnie nieprzyzwoity. Dotarł do niego jej delikatny jak puszek głos.

Minął ją pośpieszenie, drząc cały, i wszedł do pokoju.

Rozdział 27. PRAWDZIWI STRAŻNIK GRAALA

– Zepsuł się tak piękny romans – powiedział Tom Nikolaides.

– Nie było w nim nic pięknego – powiedziała Łona bez uśmiechu. – Jestem zadowolona, że wyjechałam.

– Dlatego, że chciał cię udusić?

– Nie. To był już sam koniec. Wszystko zaczęło się psuć znacznie wcześniej. Nie trzeba być skaleczoną w ten sposób, żeby zostać naprawdę zranioną.

Nikolaides zajął jej głęboko w oczy. Rozumiał albo udawał, że rozumie.

– To niedobrze. Ale wszyscy widzieliśmy, że to nie potrwa długo.

– Chalk też?

– Chalk przede wszystkim. Przewidywał, że ze sobą zerwiecie.

Ciekawe, ile listów dostaliśmy w tej sprawie. Cały wszechświat uważa, że to straszne, że zerwaliście ze sobą.

Łona rzuciła mu krótki, bezbarwny uśmiech. Chodziła po pokoju poruszając się nierównym, niespokojnym krokiem. Podkówki przy jej butach stukały po lśniącej podłodze.

– Czy Chalk prędko tu będzie? – spytała.

– Wkrótce. Jest bardzo zajęty. Jak tylko dotrze, zabierzemy cię do niego.

– Nick, czy naprawdę da mi moje dzieci?

– Miejmy nadzieję.

Podeszła do niego. Gwałtownie chwyciła go za rękę.

– Miejmy nadzieję? Miejmy nadzieję? Przecież obiecał!

– Ale zerwałeś z Burrisem.

– Sam powiedziałeś, że Chalk się tego spodziewał. Romans nie miał przecież trwać wiecznie.

Teraz się skończył, a ja dotzymałam swojej części umowy. Teraz kolej na niego.

Czuła, że mięśnie jej ud drżą. To te dziwaczne buty. Trudno w nich stać. Wyglądała jednak na wyższą i starszą. Ważne było, żeby prezentować się tak, jak się naprawdę czuła. W czasie wyprawy

– z Burrisem postarzała się o pięć lat w pięć tygodni. Stałe napięcie..., kłótnie... a przede wszystkim to niezmiernie wyczerpanie po każdym sporze.

Spojrzy grubasowi prosto w twarz, a gdyby próbował wykręcić się z umowy, bardzo utrudni mu życie. Nieważne, jak jest potężny. Nie może jej oszukać. Opiekowała się tym niezrównoważonym uciekinierem z obcej planety wystarczająco długo, żeby uzyskać prawo do własnych dzieci. Ona... Nie. To nie było w porządku – zreflektowała się nagle. – Nie mogę się z niego naśmiewać. On nie chciał tych kłopotów. Sama się zgodziłam.

– Teraz, jak już wróciłaś na Ziemię, jakie są twoje plany? – przerwał ciszę Nikolaides.

– Przede wszystkim załatwić sprawę dzieci, a potem na dobre zniknąć z życia publicznego.

Przeżyłam dwa okresy popularności.

Pierwszy, kiedy odebrano mi dzieci i drugi, kiedy pojechałam na tę wyprawę z Minnerem.

Wystarczy.

– Gdzie pojedziesz? Opuścisz Ziemię?

– Wątpię. Zostanę. Może napiszę książkę. Nie, to nie jest dobry pomysł – uśmiechnęła się. –

Znowu rozgłos. Będę żyła spokojnie.

Może Patagonia? Nie wiesz, gdzie...

– Chalk?

– Minner.

– O ile wiem, wciąż na Tytanie. Aoudad jest z nim.

– To już siedzą tam trzy tygodnie. Myślę, że się dobrze bawią – zacisnęła gniewnie usta.

– Aoudad na pewno – powiedział Nikolaides. – Wystarczą mu przystępne kobiety i wszędzie się dobrze bawi. Nic nie wiem o Burrisie. Wiem tylko, że nie zrobili jeszcze nic w sprawie powrotu.

Ciągle jeszcze interesujesz się Burrisem.

– Nie!

– Już dobrze, dobrze – Nikolaides podniósł ręce do uszu. – Wierzę ci. Ja tylko...

Drzwi w drugim końcu pokoju wygięły się do wnętrza i otworzyły. Wszedł niewielki, brzydki mężczyzna o wąskich ustach.

Łona rozpoznała go. Był to d'Amore, jeden z ludzi Chalka.

– Czy Chalk już jest? Muszę z nim mówić.

Usta d'Amore'a rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Nabrała pani ostatnio pewności siebie! Gdzie się podziały nieśmiałość i wstydlivość? Nie, Chalka jeszcze nie ma. Sam na niego czekam.

Wszedł głębiej do pokoju i Łona zauważyła, że ktoś za nim stoi.

Był to blady mężczyzna w średnim wieku o łagodnych oczach i głupawym uśmiechu.

– Łono, to jest David Melangio – powiedział d'Amore. – Potrafi kilka sztuczek. Podaj mu datę urodzenia, a on ci powie, jaki to był dzień tygodnia.

Łona podała mu datę.

– Środa – powiedział natychmiast Melangio.

– Jak on to robi?

– To taki dar. Podaj mu kilka liczb tak szybko, jak tylko możesz, ale wyraźnie.

Łona wymieniła kilkanaście liczb. Melangio je powtórzył.

– Poprawnie? – zapytał d'Amore rozpromieniony.

– Nie jestem pewna. Sama je zapomniałam. Podeszła do idioty- mędrca, który przyglądał się jej bez zainteresowania. Patrząc mu w oczy, Łona zdała sobie sprawę, że był to kolejny dziwoląg. Tylko sztuczki, ale pozbawiony duszy. Zastanawiała się zmrożona, czy nie wymyślili dla niej nowego romansu.

– Dlaczego go przyprowadziłeś? – zapytał Nikolaides. – Myślałem, że Chalk zrezygnował z niego.

– Chalk myślał, że panna Kelvin może zechce z nim porozmawiać – powiedział d'Amore. – Kazał

go przyprowadzić.

– Co miałabym mu powiedzieć? – spytała się Łona.

– A skąd ja mogę wiedzieć? Odciągnęła d'Amore'a na bok i szepnęła: – On nie jest chyba całkiem w porządku?

– Powiedziałbym, że trochę mu brakuje.

– A zatem Chalk ma dla mnie nowe zadanie? Czy teraz jego mam potrzymać za rączkę?

Była to rozmowa jak ze ścianą. D'Amore powiedział tylko: – Zabierz go do pokoju, usiądźcie, porozmawiajcie. Chalk i tak nie będzie tutaj wcześniej niż za godzinę.

W sąsiednim pokoju stało kilka foteli i unoszący się w powietrzu stół. Łona i Melangio weszli, a drzwi zamknęły się za nimi, jak w celi więziennej.

Cisza. Spojrzenia.

– Zapytaj mnie o cokolwiek z dziedziny dat. Kołysał się rytmicznie w przód i w tył. Ani na moment uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Umysłowo Łona oceniała go na jakieś siedem lat.

– Zapytaj mnie, kiedy umarł Jerzy Waszyngton. Zapytaj mnie.

Zapytaj o kogoś innego, o kogokolwiek ważnego.

– Abraham Lincoln – powiedziała z westchnieniem.

– 15 kwietnia 1865.

– Czy wiesz, w jakim byłby wieku, gdyby żył dziś?

Odpowiedział jej natychmiast z dokładnością co do jednego dnia.

Wydawało się, że ma rację i jest zadowolony z siebie.

– Jak ty to robisz?

– Nie wiem. Po prostu potrafię. Zawsze umiałem. Pamiętam pogodę i daty. Wybuchnął śmiechem.

– Czy zazdrościsz mi?

– Nie bardzo.

– Niektórzy zazdroszczą. Chcieliby nauczyć się. Pan Chalk też chciałby wiedzieć. On chce, żebyś się ze mną ożeniła. Wiedziałaś o tym?

Łona zachnęła się. Nie chcąc być okrutną, zapytała: – Czy ci to powiedział?

– Nie. Nie słowami, ale ja wiem. Chce, ażebyśmy byli razem tak, jak byłaś z tym człowiekiem o dziwnej twarzy. Chalkowi się to podobało. Szczególnie, kiedy kłóciliście się. Byłem kiedyś z panem Chalkiem, ale on zrobił się czerwony na twarzy i wyrzucił mnie z pokoju. Później zawołał mnie z powrotem. To musiało być wtedy, kiedy ty kłóciłaś się z tamtym.

Łona starała się zrozumieć, o co chodziło.

– Czy umiesz odgadywać myśli, Davidzie?

– Nie.

– A Chalk?

– Nie. On nie umie odgadywać. To nie chodzi o słowa, ale o uczucia. To wiem. On lubi złe uczucia. Chce, żebyśmy byli nieszczęśliwi ze sobą, ponieważ wtedy on będzie szczęśliwy.

Łona, nieco zagubiona, pochyliła się w stronę Melangio i zapytała: – Czy lubisz kobiety, Davidzie?

– Lubię moją mamę. Czasami lubię siostrę. Obie lubię, chociaż sprawiły mi wiele przykrości, kiedy byłem mały.

– Czy kiedykolwiek chciałeś się ożenić?

– Nie. Żenią się dorośli.

– Ile masz lat?

– Czterdzieści, osiem miesięcy, trzy tygodnie i dwa dni. Nie wiem, ile godzin. Nie chcieli mi powiedzieć, o której się urodziłem.

– Biedny sukinsyn!

– Żalisz się nade mną, bo nie powiedzieli mi, o której się urodziłem.

– Żał mi ciebie i już, ale nie mogę nic dla ciebie zrobić, Davidzie.

Nie stać mnie już na bycie miłą. Teraz ludzie powinni stać się mili dla mnie.

– Ja jestem dla ciebie miły.

– Tak, jesteś bardzo miły.

Pod wpływem impulsu wzięła go za rękę. Jego skóra była gładka i chłodna. Nie tak gładka jednak ani tak chłodna jak skóra Burrisa.

Melangio zadrżał pod jej dotykiem, ale pozwolił trzymać się za rękę.

Po chwili puściła go i podeszła do ściany. Przebiegła po niej rękami, aż znalazła i otworzyła drzwi.

Zobaczyła Nikolaidesa i d'Amore'a szepczących coś do siebie.

– Chalk chce się z tobą zobaczyć – powiedział d'Amore. – Jak spędziłaś czas z Davidem?

– Jest czarujący. A gdzie Chalk?

Chalk przebywał w swojej sali tronowej usadowiony wysoko za biurkiem. Łona wspięła się po kryształowych szczeblach. Zbliżając się do grubasa poczuła nawrót dawnej nieśmiałości. Ostatnio nauczyła się postępować z ludźmi, ale poradzenie sobie z Chalkiem może okazać się ponad siły.

Kołysał się na swoim ogromnym fotelu. Jego rozlaną twarz wykrzywiał grymas, który uznała za uśmiech.

– Miło cię znowu zobaczyć. Jak podobała ci się wycieczka.

– Bardzo interesująca. A teraz, jeżeli chodzi o dzieci...

– Łono, proszę, nie spiesz się. Poznałaś Davida?

– Tak.

– Biedak. Tak bardzo potrzebuje pomocy. Co myślisz o jego zdolnościach?

– Zawarliśmy umowę – powiedziała Łona. – Miałam zająć się Minnerem, a ty miałeś zdobyć dla mnie dzieci. Nie rozmawiajmy o Melangio.

– Zerwałaś z Burrisem wcześniej, niż się spodziewałem – powiedział Chalk. – Nie zakończyłem

jeszcze wszystkich formalności związanych z dziećmi.

– Ale zdobędziesz je dla mnie?

– Niedługo, ale nie od razu. To są trudne negocjacje, nawet dla mnie. Łono, zaciągnę u ciebie dług wdzięczności, jeśli czekając na dzieci pomożesz Davidowi, tak jak pomogłaś Burrisowi. Wnieś trochę światła w jego życie. Chciałbym zobaczyć was razem. Ciepła, macierzyńska osoba jak ty...

– To twoja następna sztuczka – powiedziała nagle. – Cały czas będziesz się tak ze mną bawić!

Mam niańczyć jednego ozdowieńca po drugim! Burris, Melangio i kto jeszcze? Nie. Nie.

Zawarliśmy umowę. Chcę moje dzieci! Chcę moje dzieci!

Urządzenia wyciszające szumiały, ograniczając wpływ jej głosu.

Chalk wyglądał na wystraszonego. Wydawał się zarazem zadowolony i rozgniewany tym wybuchem temperamentu. Jego ciało zdawało się rozszerzać i pęcznieć, jak gdyby osiągnął wagę miliona funtów.

– Oszukałeś mnie – powiedziała spokojniejszym głosem. – Nigdy nie miałeś zamiaru załatwić mi tych dzieci.

Zerwała się. Chciała wyrwać kawały mięsa z tej tłustej twarzy.

Gęsta siatka z cienkich złocistych włókien opadła

błyskawicznie z sufitu. Łona wpadła na nią i odbiła się. Jeszcze raz rzuciła się do przodu, ale nie mogła dosięgnąć Chalka. Był osłonięty.

Nikolaides i d'Amore chwycili ją za ręce. Kopała ciężkimi butami.

– Jest zdenerwowana – powiedział Chalk. – Trzeba ją uspokoić.

W lewym udzie poczuła ukłucie. Opadła na ziemię i leżała spokojnie.

Rozdział 28. PŁAKAĆ, JAK MAM PŁAKAĆ?

Tytan zaczął go nużyć. Potraktował ten złodowaciały księżyc jak odtrutkę po odjeździe Lony.

Teraz jednak zupełnie zobojętniał.

Nic, co Aoudad mógł powiedzieć lub zrobić... lub dla niego załatwić... nie utrzyma go tu już dłużej.

Elise leżała naga obok niego. Wysoko nad nimi zwisał Zamarznięty Wodospad, nieruchoma kaskada. Wynajęli własne sanie i przyjechali tu sami, żeby zatrzymać się u stóp lodowca i kochać się w świetle Saturna, lśniącym w zamarzły m amoniaku.

– Czy żałujesz, że przyjechałam tu, do ciebie, Minner?

– Tak – powiedział szczerze.

– Ciągłe za nią tęsknisz? Nie potrzebowałaś jej.

– Niepotrzebnie ją skrzywdziłem.

– A ona, co tobie zrobiła?

– Nie chcę rozmawiać z tobą o niej.

Usiadł i uchwycił drążek sterowniczy sań. Elise także usiadła.

Przytuliła się do niego. W tym dziwnym świetle jej ciało wydawało się jeszcze bielsze niż w rzeczywistości. Czy płynęła krew w tym pulchnym ciele? Była biała jak śmierć. Sanie ruszyły powoli wzdłuż skraju lodowca. Oddalali się od kopuły. Tu i ówdzie rozlewały się kałuże metanu.

– Co byś powiedziała, gdybym otworzył dach sań?

– Umarlibyśmy – powiedziała bez niepokoju.

– Ty umarłabyś. Nie jestem pewien, czy ja bym umarł. Nie wiem, czy to ciało nie może oddychać metanem.

– Nie przypuszczam. – Przeciągnęła się zmysłowo i leniwie. – Dokąd jedziesz?

– Zwiedzać.

– Tu może być niebezpiecznie. Lód może się załamać.

– To umrzemy. Wtedy osiągniemy spokój. Płoza sań uderzyła w lodową bryłę. Sanie podskoczyły i szarpnięcie to spowodowało gwałtowny ruch Elise. Burris leniwie obserwował drzenie jej obfitego ciała. Podróżowali razem już od tygodnia. Aoudad gdzieś ją wynalazł.

Dużo można by powiedzieć o jej zmysłowości. Niewiele o duszy. Burris zastanawiał się, czy biedny Prolisse wiedział, z kim się właściwie ożenił.

Dotknęła jego skóry. Ciągłe go dotykała, jakby cieszyła się z jego inności.

– Pokochaj mnie jeszcze raz, Minner.

– Nie teraz, Elise. Co jest we mnie takiego, że cię pociągam?

– Całość.

– Wszechświat pełen jest mężczyzn, którzy mogą uczynić cię szczęśliwą w łóżku. Co ja mam w sobie takiego?

– Zmiany z Manipool.

– Kochasz mnie za to, że tak wyglądam?

– Kocham cię za to, że jesteś inny.

– A co ze ślepcami, jednookimi, garbusami, ludźmi bez nosów?

– Nie ma takich. Wszyscy są wyleczeni albo mają protezy.

Wszyscy są idealni.

– Z wyjątkiem mnie?

– Tak, z wyjątkiem ciebie. – Wbiła paznokcie w jego skórę.

– Nie mogę cię zadrapać. Nie mogę spowodować, że się spocisz.

Nie mogę nawet patrzeć na ciebie, żeby nie poczuć się dziwnie. Tego właśnie w tobie pożądam.

– Dziwności?

– Głupi jesteś.

– Elise, jesteś masochistką. Chcesz się tarzać w błocie.

Wybierasz najdziwniejszą rzecz we wszechświecie i rzucasz się na nią. I ty to nazywasz miłością?

To nie jest nawet seks. To są tortury.

Mam rację?

Popatrzyła na niego dziwnie.

– Lubisz, jak ci się sprawia ból.

Położył rękę na jej piersi. Rozczapierzył palce tak, żeby objąć całą miękką i ciepłą wypukłość.

Następnie zacisnął palce. Elise skrzywiła się. Jej nozdrza rozszerzyły się. W oczach pojawiły się łzy. Nic jednak nie mówiła, chociaż ścisnął coraz mocniej. Oddychała coraz spieszniej. Zdawało mu się, że wyczuwa dudnienie jej serca. Gotowa była przyjąć każdy ból bez jęku, nawet gdyby zupełnie oderwał tę białą półkulę od jej ciała. Gdy ją puścił, na jej białym ciele pozostało sześć jeszcze bielszych plam. Po chwili stały się czerwone.

Wyglądała jak tygrysica gotowa do skoku. Nad nimi Zamarznięty Wodospad walił się w dół w wiecznym bezruchu. Czy kiedykolwiek zaczniesz płynąć? Czy Saturn spadnie z niego i omiecie Tytana swymi pierścieniami?

– Wyjeżdżam jutro na Ziemię – powiedział. Położyła się. Była gotowa go przyjąć.

– Kochaj mnie, Minner.

– Jadę sam. Będę szukał Lony.

– Nie potrzebujesz jej. Przestań mnie denerwować. Pociągnęła go ku sobie.

– Połóż się koło mnie. Chcę znów patrzeć na Saturna, kiedy będziesz mnie kochał.

Powiodł ręką po jej jedwabistej skórze. Oczy jej lśniły.

– Wsiądźmy z sań – szepnął. – Pobiegniemy nadzy do jeziora i popływamy.

Wokół nich wiły się chmury metanu. Temperatura na zewnątrz była tak niska, że Antarktyda zimą wydawałaby się tropikiem. Czy umrą z zimna, czy od zatrucia? Nigdy nie dotrą do jeziora.

Wyobraził sobie ich ciała leżące w zaspie śniegu, białe na białym śniegu i sztywne jak marmur. On wytrzyma dłużej niż ona. Będzie wstrzymywał oddech, podczas gdy ona upadnie i będzie się miotać w kąpieli z węglowodorów. On też długo nie wytrzyma.

– Tak! – krzyknęła – Będziemy pływać! A potem będziemy kochać się na brzegu!

Sięgnęła po lewar podnoszący przejrzystą przykrywą sań. Burris podziwiał napięcie i grę mięśni jej ciała, gdy wyciągała przed siebie rękę. W miarę, jak ręka się prostowała, więzadła i ścięgna funkcjonowały bezbłędnie pod jej gładką skórą od nadgarstka aż do kostki. Jedną nogę podwinęła pod siebie, drugą wyciągnęła w przód, jak gdyby naśladowując ruch ręki. Piersi uniosła ku górze. Szyja, na której ciało zdawało się zbyt luźne, napięła się. Wyglądała ładnie.

Wystarczyło tylko, żeby szarpnęła lewar, aby pokrywa sań odskoczyła, wystawiając ich na działanie zabójczej atmosfery Tytana.

Jej szczupłe palce już dotykały dźwigni. Burris przestał ją obserwować. Chwycił za rękę właśnie w chwili, kiedy mięśnie zaczynały się napinać, odciągnął ją i pchnął na kanapę. Upadła z rozwartymi nogami. Kiedy usiadła, uderzył ją w twarz. Krew pociekła jej po brodzie, a oczy zapłonęły rozkoszą. Uderzył ją znowu. Całe jej ciało drżało od ciosów. Oddychała gwałtownie. Wyciągała rękę, żeby go schwytać. Zapach pożądania uderzył mu w nozdrza.

Uderzył ją jeszcze raz, a potem, zdając sobie sprawę z tego, że tylko sprawia jej przyjemność, cofnął się i rzucił w jej kierunku porzucony kombinezon ochronny.

– Włóż to! Wracamy.

Była uosobieniem dzikiego głodu. Wiła się w pożądaniu. Wzywała go chrapliwym głosem.

– Wracamy. Przecież nie będziemy jechać nago. Ubierała się niechętnie. Otworzyłaby ten dach – pomyślał. – Poszłaby popływać ze mną w metanowym jeziorze.

Uruchomił sanie i skierował je w drogę powrotną.

– Czy rzeczywiście odjeżdżasz jutro na Ziemię?

– Tak. Już wykupiłem bilet.

– Beze mnie?

– Bez ciebie.

– A jak pojedę za tobą?

– Nie mogę cię zatrzymać. Ale to nic ci nie da.

Sanie dotarły do śluzy powietrznej kopuły. Wprowadził je do środka i załatwił formalności w wypożyczalni. Elise wyglądała na zmaltretowaną i spoconą w swym kombinezonie.

Wchodząc do pokoju, Burris szybko zamknął drzwi za sobą i przekręcił klucz. Elise pukała kilkakrotnie, ale nie odpowiadał, więc odeszła. Oparł głowę na rękach. Powracało zmęczenie.

Wracało to całkowite wyczerpanie, jakiego nie zaznał od czasu ostatniej kłótni z Łona. Po kilku minutach jednak minęło.

Za godzinę przyszedł do niego ktoś z kierownictwa hotelu. Trzej mężczyźni z poważnym wyrazem twarzy. Nie mówili wiele. Burris nałożył kombinezon ochronny, który mu przynieśli, i wyszedł z nimi na zewnątrz.

– Jest pod kocem. Chcielibyśmy, żeby zidentyfikował ją pan, zanim wniesiemy ją do środka.

Drobne kryształki amoniakowego śniegu pokrywały koc.

Odpadły, gdy Burris go uniósł. Elise, naga, wydawała się tulić do lodu. Plamy na piersi, którą ścisnęły jego palce, były teraz ciemnopurpurowe. Dotknął jej. Była jak marmur.

– Śmierć była natychmiastowa – powiedział za nim jakiś głos.

Burris spojrział na mówiącego.

– Wypiła dużo dziś po południu. Może jest to jakieś wyjaśnienie.

Pozostał w pokoju przez resztę wieczoru i cały następny ranek. W południe wezwano go, bo nadszedł czas, by udać się na lądowisko.

Za godzinę był już w przestrzeni kosmicznej w drodze na Ziemię via Ganimede. Przez cały czas nie rozmawiał prawie z nikim.

Rozdział 29. DONA NOBIS PACEM

Trafiła do Martlet Towers, jak gdyby wyrzucona na brzeg falami przyboju. Mieszkała w jednym pokoiku. Rzadko wychodziła. Rzadko zmieniała ubranie. Z nikim nie rozmawiała. Znała teraz

prawdę i stała się jej niewolnicą.

I wtedy on ją znalazł. Stała jak wystraszony ptak gotów do walki.

– Kto tam?

– Minner.

– Czego chcesz?

– Wpuść mnie, Łono! Proszę...

– Jak mnie tu znalazłeś?

– Trzeba było trochę pomyśleć... dać parę łapówek. Otwórz drzwi, Łono!

Otworzyła. Nie zmienił się przez te kilka tygodni od czasu, gdy go opuściła. Wszedł nie uśmiechając się tym swoim grymasem, który uchodził za uśmiech, nie dotknął jej, nie pocałował.

Pokój tonął w ciemnościach. Chciała go oświetlić, ale powstrzymał ją gestem.

– Przykro mi, że tu tak nędznie.

– Wszystko jest w porządku. Wygląda tak samo, jak pokój, w którym mieszkałem dwa domy dalej.

– Kiedy wróciłeś na Ziemię, Minner?

– Kilka tygodni temu. Szukałem cię.

– Widziałeś się z Chalkiem? Burris skinął głową.

– Tak, ale wiele nie załatwiłem.

– Ja też nie.

Zwróciła się do przewodu zaopatrzenia żywnościowego.

– Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję.

Usiadł. Było coś przyjemnie znajomego w sposobie, w jakim sadowił się na jej fotelu z uwagą adaptując wszystkie dodatkowe stawy. Sam ten widok wystarczył, żeby jej serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem.

- Elise nie żyje. Zabiła się na Tytanie. Nic nie odpowiedziała.
- Wcale nie prosiłem, żeby tam przyjeżdżała. Była zupełnie zagubiona. Teraz znalazła spokój.
- Jest lepszą samobójczynią niż ja.
- Chyba ty nie...
- Nie. Żyłam sobie spokojnie. Chcę ci wyznać prawdę.

Czekałam, że przyjdiesz po mnie.

- Wystarczyło powiedzieć komuś, gdzie jesteś.
- To nie było takie proste. Nie mogłam rozgłaszać, gdzie jestem.

Cieszę się jednak, że jesteś. Mam ci tyle do powiedzenia.

- A mianowicie?
- Chalk nie ma zamiaru załatwić dla mnie żadnych dzieci.

Sprawdziłam. Nie mógłby tego zrobić, nawet gdyby chciał. Ale nie chce. Było to po prostu wygodne kłamstwo, żeby skłonić mnie do współpracy. Burris zamrugał.

- Chcesz powiedzieć, żeby cię skłonić do dotrzymania mi towarzystwa?
- Tak. Nie chcę niczego ukrywać. I tak już pewnie się domyśliłeś. Musiała być jakaś cena za tę wyprawę. Ceną tą były dzieci. Ja dotrzymałam umowy, ale Chalk nie.
- Wiem, że cię kupili, Łono. Mnie też. Chalk wynalazł przynętę, żebym wyszedł z ukrycia i przeżył romans międzyplanetarny z pewną dziewczyną.

– Transplantacja do innego ciała?

- Tak – przyznał Burris.
- Nie załatwi ci tego tak samo, jak nie załatwi dzieci dla mnie.

Czy rozwiązałam jakieś twoje złudzenia? Chalk oszukał ciebie, tak samo jak mnie.

- Domyślałem się tego od chwili powrotu. Możliwość transplantacji jest odległa co najmniej o dwadzieścia lat, a nie pięć, jak mówił. Niektórych problemów może nigdy nie rozwiążą. Można

przenieść mózg do innego ciała i utrzymać go przy życiu, ale – jak by to powiedzieć – znikła dusza.

Pozostaje żywa istota, która jest pozbawiona zdolności myślenia. Chalk wiedział o tym, kiedy składał mi propozycję.

– Uzyskał od nas ten romans, którego chciał, nie dając nic w zamian.

Łona wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Podeszła do małego kaktusa w doniczce, który dała kiedyś Burrisowi, i jednym palcem delikatnie pogładziła kolczastą powierzchnię. Burris zauważył kaktus dopiero teraz. To, że go ma, sprawiło mu przyjemność.

– Czy wiesz, po co on nas ze sobą zetknął?

– Żeby zrobić pieniądze na reportażach. Znajduje dwoje nieszczęśliwych ludzi i za pomocą różnych sztuczek skłania ich, żeby znowu zaczęli żyć. No, i opowiada o tym świecie...

– Nie. Chalk ma dość pieniędzy. Wcale mu nie chodziło o zyski.

– A o co?

– Pewien idiota powiedział mi, o co naprawdę chodziło. Nazywa się Melangio. Potrafi różne sztuczki z kalendarzem. Może widziałeś go w telewizji. Chalk wykorzystał go w kilku programach.

– Nie.

– Spotkałam go u Chalka. Czasami nawet głupiec potrafi powiedzieć prawdę. Powiedział, że Chalk chłonie uczucia. Żywi się strachem, bólem, zazdrością i smutkiem. Tworzy sytuacje, z których może wyciągnąć korzyści dla siebie. Doprowadzenie do spotkania dwojga ludzi, którzy są tak okaleczeni, że prawdopodobnie nie potrafią oddać się szczęściu i obserwowanie ich, napawanie się ich nieszczęściem, wysysanie.

Burris wyglądał na zaskoczonego.

– Nawet na taką odległość? Mógł zdobywać tę pożywkę nawet, kiedy byliśmy w Luna Tivoli czy na Tytanie?

– Za każdym razem, kiedy kłóciliśmy się... Czuliśmy się potem tacy zmęczeni... jakbyśmy utracili

dużo krwi, jakbyśmy mieli po sto lat.

– Tak!

– To był Chalk. Pasł się naszym cierpieniem. Wiedział, że znenawidzimy się i tego właśnie chciał.

Czy może istnieć wampir uczuć?

– A zatem wszystkie jego obietnice tchnęły fałszem – wyszeptał Burris. – Jeżeli to prawda, to byliśmy marionetkami w jego rękach.

– Ja wiem, że to prawda.

– Ponieważ powiedział ci o tym ten idiota?

– To bardzo mądry idiota, Minner. Sam się zresztą nad tym zastanów! Przypomnij sobie wszystko, co Chalk ci powiedział.

Przemyśl wszystko, co się wydarzyło. Dlaczego Elise zawsze była pod ręką, żeby rzucić ci się na szyję? Czy nie myślisz, że miało to swój cel? Chodziło o to, aby mnie rozzłościć? Byliśmy powiązani naszą innością... naszą nienawiścią. I to właśnie Chalkowi odpowiadało.

Burris przyglądał się jej spokojnie przez dłuższą chwilę.

Następnie bez słowa podszedł do drzwi, otworzył je, wyszedł do holu.

Łona usłyszała szamotaninę. Nie mogła zobaczyć, co się tam dzieje, dopóki

Burris nie pojawił się znowu, trzymając wyrywającego się i wijącego Aoudada.

– Pomyślałem sobie, że będziesz gdzieś w pobliżu – powiedział Burris. – Wejdz, wejdz!

Chcielibyśmy porozmawiać!

– Nie rób mu krzywdy, Minner. On był tylko narzędziem.

– Ale odpowie na kilka pytań. Prawda, Bart? Aoudad zwilżył wargi. Jego oczy przeskakiwały z niepokojem z jednej twarzy na drugą.

Burris uderzył go. Jego ręka poruszała się z taką szybkością, że Łona nic nie dostrzegła. Nic także nie zauważył Aoudad, ale jego głowa odskoczyła nagle do tyłu, a on sam zatoczył się ciężko na

ścianę. Burris nie dał mu żadnej szansy obrony. Aoudad mógł jedynie trzymać się półprzytomnie ściany, podczas gdy sypał się na niego grad ciosów. W końcu opadł na podłogę. Oczy miał wciąż otwarte, twarz zakrwawioną.

– Mów – powiedział Burris. – Opowiedz nam o Duncanie Chalku!

Później wyszli z pokoju. Aoudad pogрузzył się w spokojnym śnie.

Na ulicy znaleźli jego samochód czekający na podjeździe. Burris uruchomił go i ruszył w kierunku biura Chalka.

– Popęlniamy błąd – powiedział. – Nie powinniśmy starać się odzyskać siebie, jacy byliśmy w przeszłości. Jesteśmy, czym jesteśmy. Ja jestem okaleczonym astronautą. Ty jesteś dziewczyną, która urodziła setkę dzieci. Byłoby błędem, gdybyśmy usiłowali od tego uciec.

– Nawet gdybyśmy mogli uciec?

– Nawet gdybyśmy mogli. Może kiedyś udałoby się im obdarzyć mnie nowym ciałem. Dobrze. No, i co z tego? Straciłbym to, czym jestem teraz, a nie uzyskałbym niczego. Zatraciłbym się. Mogliby dać ci dwoje dzieci. Może. A co z pozostałymi dziewięćdziesięcioma ośmioma? Co się stało, to się nie odstanie. Rzeczywistość wchłonęła nas. Czy nie jest to dla ciebie zbyt niejasne?

– Mówisz, że musimy pogodzić się z tym, czym jesteśmy.

– Tak! Właśnie tak! Już dość uciekania. Dość dumania. Dość nienawiści.

– Ale świat... normalni ludzie...

– To nasi wrogowie. Chcą nas zniszczyć. Chcą nas zamknąć w muzeum osobliwości. Musimy się bronić, Łono!

Samochód zatrzymał się przed niskim budynkiem bez okien.

Weszli. Tak, Chalk ich przyjmie. Niech tylko poczekają chwilę.

Czekali. Siedzieli obok siebie prawie na siebie nie patrząc. Łona oburącz trzymała mały kaktus w doniczce. To była jedyna rzecz, którą zabrała ze swego pokoju. O inne rzeczy nie dbała.

– Trzeba skierować gniew na zewnątrz. Nie ma innego sposobu walki – powiedział Burris spokojnie. Pojawił się Leontes d'Amore.

– Chalk czeka.

Szli na górę po kryształowych szczelkach. Ogromna postać czekała na wysoko wzniesionym tronie.

– Łona? Burris? Znowu razem? – dopytywał się Chalk.

Zaśmiał się hałaśliwie i poklepał po brzuchu. Uderzał dłońmi po udach.

– Miałeś z naszego powodu niezłą wyżerkę, prawda, Chalk? – zapytał Burris.

Śmiech urwał się. Chalk wyprostował się nagle napięty, zaniepokojony. Wydawał się nawet zupełnie szczupły i gotów do ucieczki.

– Jest już prawie wieczór – powiedziała Łona. – Przynieśliśmy ci kolację, Duncan.

Stali twarzami do niego. Burris opasał ręką szczupłą

kibić Lony. Wargi Chalka poruszyły się. Nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk. Jego ręka sięgnęła po przycisk alarmowy na biurku. Nie dotarła jednak do niego. Pulchne palce naprężyły się.

Przyglądał się im.

– Dla ciebie – powiedział Burris – gratis i z wyrazami miłości.

Uczucia ich obojga wypłynęły z nich jak fale. Był to potok, któremu Chalk nie mógł się oprzeć.

Poruszał się z boku na bok, jakby szarpany gwałtownym prądem. Kąciki jego ust uniosły się ku górze, strużka śliny pojawiła się na brodzie. Szarpnął gwałtownie trzy razy głową. Splatał i rozplatał tłuste ramiona, jak automat.

Czy na biurku Chalka pojawiły się trzaskające płomienie? Czy strumienie elektronów stały się widoczne i lśniły zielono przed jego twarzą? Wił się, nie mogąc się poruszyć, w miarę jak paśli go swymi duszami z zawziętą intensywnością. Chalk chłonał, ale nie mógł strawić. Stawał się coraz bardziej napełniony. Jego twarz lśniła potem.

Nie padło ani jedno słowo.

Zdychaj biały wielorybie! Wal swym potężnym ogonem i toń!

Retro me, Satanas!

Oto ogień; przybądź Fauście, roznieć go!

Dobre wieści od Wielkiego Lucyfera!

Chalk wreszcie poruszył się. Odwrócił się w fotelu przerywając letarg, w jaki popadł, zaczął uderzać rękami w biurko, szarpały nim drgawki i konwulsje. Z jego warg wyrwał się krzyk, ale był to raczej cienki, słabiutki jęk. Raz był napięty jak struna, to znów szarpały nim niszczycielskie drgawki...

Wreszcie zwiotczał. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, wargi otworzyły się, potężne ramiona obwisły, policzki zwiotczały.

Consummatum est. Rachunek został wyrównany.

Wszystkie trzy postaci były nieruchome: te, które oddały swe dusze i ta, która przyjęła. Jedna z tych postaci nie poruszy się już nigdy.

Burriss ochłonał pierwszy. Nawet oddychanie oznaczało ogromny wysiłek. Poruszenie ustami i językiem zdawało się zadaniem ponad siły. Zaczął odzyskiwać władzę w członkach. Dotknął Lony rękami.

Była blada jak śmierć, znieruchomiła. Kiedy jej dotknął, zdawało się, że wstępują w nią nowe siły.

– Nie możemy tu zostać dłużej – powiedział łagodnie.

Odeszli powoli, jak staruszkowie, ale z każdym krokiem, gdy schodzili po kryształowych szczeblach, stawali się młodszy. Wracala żywotność. Minie jeszcze wiele dni, zanim w pełni odzyskają energię, ale przynajmniej nigdy jej już nie utracą.

Nikt nie zatrzymywał ich, kiedy opuszczali budynek.

Zapadła noc. Zima minęła. Miasto otulone było szarą mgiełką wiosennego wieczoru. Gwiazdy zaledwie widoczne. Panował lekki chłód. Żadnemu jednak nie przeszkadzał.

- Nie ma dla nas miejsca na tym świecie – powiedział Burris.
- Będzie chciał nas zniszczyć, jak już raz próbował.
- Pokonaliśmy Chalka, ale całego świata nie pokonamy.
- Dokąd pójdziemy? Burris spojrzał ku gwiazdom.
- Pojedź ze mną na Manipool. Wpadniemy do demonów na niedzielną herbatkę.
- Mówisz poważnie?
- Tak. Pojedziesz ze mną?
- Pojadę.

Podeszli do samochodu.

- Jak się czujesz? – zapytał.
- Bardzo zmęczona. Tak jestem zmęczona, że ledwo mogę się ruszać. Ale czuję, że żyję. Żyję z każdym krokiem coraz mocniej. Po raz pierwszy czuję, że naprawdę żyję, Minner.
- Tak, jak ja.
- Twoje ciało. Czy boli?
- Kocham moje ciało – powiedział.
- Pomimo bólu?
- Ze względu na ból. On jest dowodem, że żyję, że czuję...

Odwrócił się do niej i wyjął z jej rąk kaktus. Właśnie w tej chwili chmury rozwarły się i kolce zaśniły w świetle gwiazd.

- Życ... czuć... nawet czuć ból... jakież to ważne, Łono!

Oderwał małą cząstkę rośliny i wbił w jej dłoń. Kolce wbiły się głęboko. Drgnęła pod wpływem bólu. Pojawiły się drobne kropelki krwi. Oderwała inny kawałek. Przycisnęła do jego ręki. Trudno było przebić się przez jego odporną skórę, ale w końcu kolce wbiły się.

Uśmiechnął się na widok płynącej krwi. Przytknął jej skaleczoną dłoń do ust. Ona ucałowała jego rękę.

– Krwawimy – powiedziała – czujemy, żyjemy.

– Ból jest pouczający – powiedział Burris i ruszyli szybciej.

KONIEC